

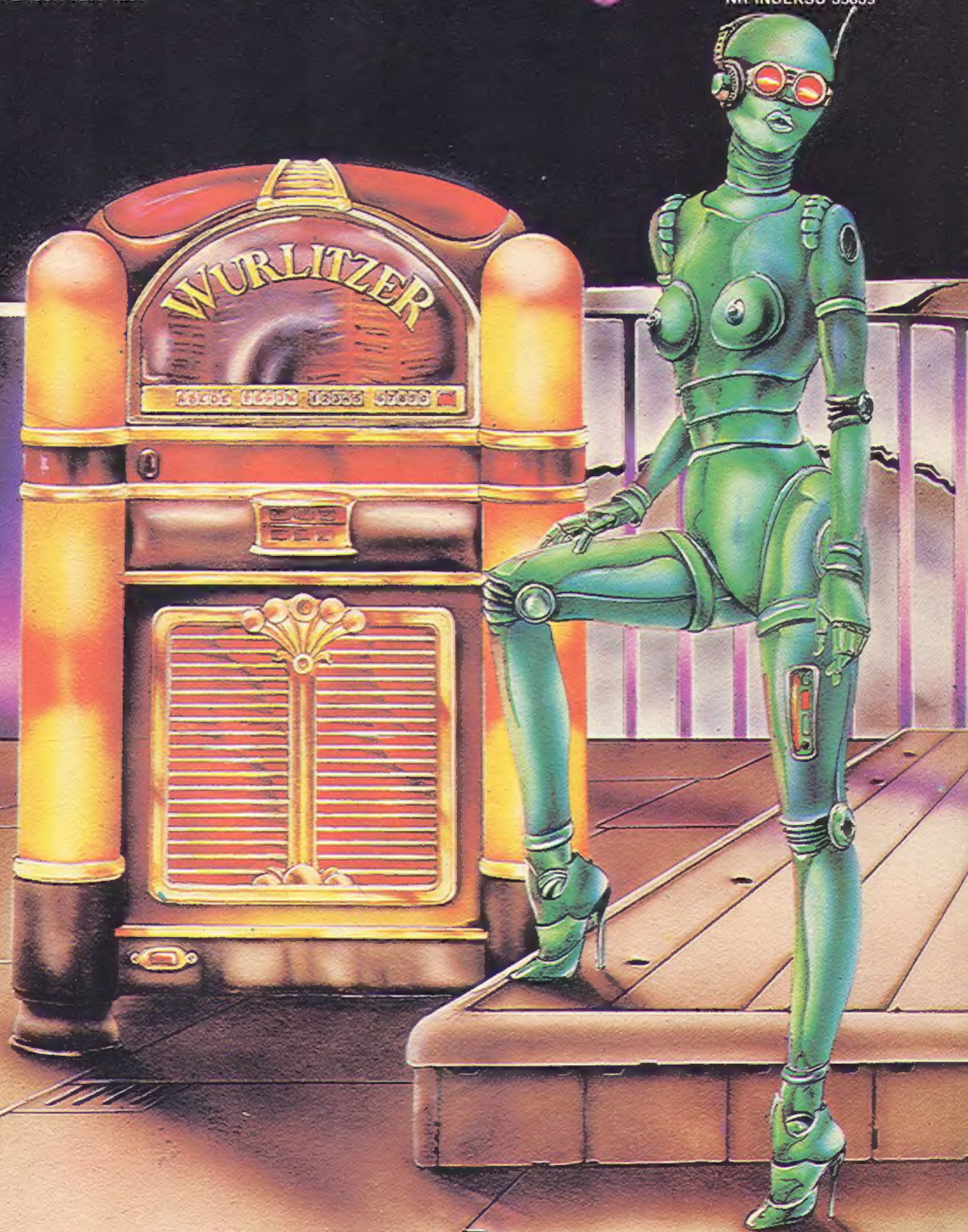
MIESIĘCZNIK

8 (59) SIERPIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

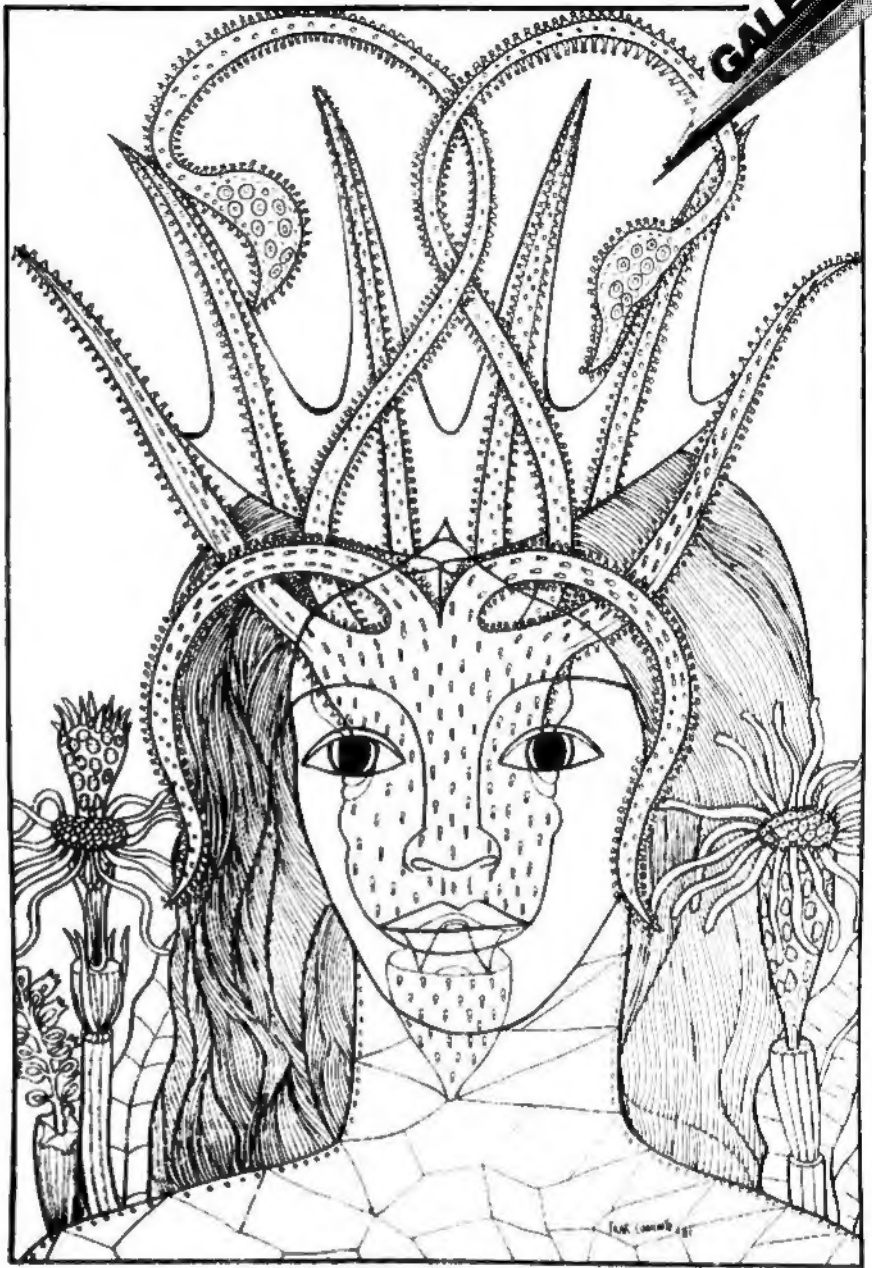
PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



ANDRZEJ BRZEZICKI

Pilar Coomonte urodziła się w Zamora (Hiszpania). Obecnie mieszka w Madrycie. Studiowała Sztukę i Pedagogikę. Pracowała przez wiele lat w „Casón del Buen Retiro” w Madrycie, restaurując dzieła sztuki. Uczestniczyła w różnych konkursach i wystawach, współpracowała z gazetami i czasopismami hiszpańskimi (m.in. „Triunfo”, „El País”, „Nueva Estafeta” i „Ozono”) publikując swoje rysunki. Zilustrowała „Donkiszota” wydane przez oficynę „Anaya Catedra” (Madryt) i „Liberia Las Americas” (Nowy Jork). Obecnie zajmuje się malarstwem olejnym i rzeźbą fantastyczną, do której wprowadza neony.



PILAR COOMONTE

Ciało ożywione

Zdolność odczuwania wszystkiego jako żywe i powiązane wzajemnie – wody, powietrza, ziemi, ognia – to pierwotny zmysł, którym dysponują jedynie dzieci i fantaści. Nie jest to religia, lecz doświadczenie zmysłowe. Fantaści i dzieci potrafią rozmawiać z przedmiotami i czuć, jak przedmioty je przenikają.

W tym przypadku ich inny świat znajduje się w głębi puszczy, gdzie kłębi się od czystych zwierząt, a drzewa stają się duchami. Pilar Coomonte maluje tę

pierwotną sytuację. W rzeczywistości kobiety Pilar Coomonte są owocami, jej zwierzęta duchami, a jej rośliny, kwiaty, korzenie i liście – unaocznieniem psychiki.

Jest to przede wszystkim animizm, z którym wiąże się fantastyka, maskująca początek nauki. Pilar Coomonte nie tworzy jednak nauki, lecz sztukę. Tę malarce interesuje jedynie odkrywanie tajemnic natury, odczarowywanie zaklecia, aby osiągnąć harmonię.

Manuel Vicent



51, 60

W rozpoczętym w ubiegłym roku cyklu artykułów poświęconych Stanisławowi Lemowi i jego pisarstwu, nasi Czytelnicy mieli okazję zapoznać się z esejami Adama Hollanka („Fantastyka” nr 3/86), Jerzego Jarzębskiego (5/86), Andrzeja Niewiadowskiego (9/86) i Stanisława Beresia (11/86). Tym razem dla ukazania nieco innego sposobu patrzenia na dzieło Lema i jego osobę, przedrukujemy obszerny fragment reportażu zamieszczonego niedawno w amerykańskim czasopiśmie „Discover”. Ponadto proponujemy fragment pracy magisterskiej Grzegorza Pieńkowskiego dotyczący ekranizacji prozy naszego najwybitniejszego pisarza SF.

Opowiadania i nowele

Ian Watson
Zimne światło

4

„...Nad głową śpiącego Johna unosiła się aureola. Taka, jaką noszą święci na obrazach. Może nie tak jaskrawa! Nic ośniewającego, skromna aureola, która nie byłaby widoczna, gdyby nie całkowite ciemności. Niemniej jednak aureola...”

Nikołaj Gudaniec
Zapomnij, prosze...

16

„...I dziadek twój potrafił, i pradiadek, i prapradziadek. Wszystko zaczęło się za sprawą czarownika, który dawno temu mieszkał w naszym miasteczku. Twoja praprababcia kupiła u niego zioła...”

Nikołaj Gudaniec
Głuptas Fabi

18

„...nic panu nie wyjdzie, doktoru. Mówię to panu. Chyba że będzie się pan pokazywał za pieniądze. Prawdziwy doktor to u nas osobliwość...”

Norman Spinrad
Anioły „R”

20

„...Serce załomotało. Krew wzburzyła się i poniosła tajemne chemikalia do wszystkich zakątków ciała. Novokaina wyłączyła nerwy wszystkich zmysłów. Morfina zlikwidowała wszelkie doznanie bólu. Włut spowodował pełne zaciemnienie. Olfactorcaina odcięła dostęp wszelkim zapachom...”

Powieść

Jonathan Carroll
Kraina Chichów (2)

23

Tomasz i Saxony wybierają się do Galen – miasta, w którym mieszkał autor „Krainy Chichów”, Marshall France. Czy uda się im uzyskać zgodę córki pisarza na napisanie jego biografii...?

Z polskiej fantastyki

Aleksander Bukowiecki
Sensorita i Ferty
Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki”

43

„...pomysłowa w zmysłowości i zmysłowa w pomysłowości, próbowała stosować jakieś Gry, jakieś Przedłużania, posunęła się nawet do Delikatnego Oporu, Przekomarzań, ba – usiłowała zachęcić gościa do nieprzystojnej Gonitwy po ciasnym pokoiku, a to znów nie chciała odpaść podwiązki i tak dalej. Zrobiła się z tego straszna awantura...”

Romuald Lenech
Cóż za szczęśliwe przebudzenie

48

„...Mamy rok 2046. Polecił się pan zahibernować równie siedemdziesiąt lat temu...”

O Stanisławie Lemie

Fanatyk domowej kuchni

51

„...nie lubię podróżować. Pakowanie ubrań, ogromna liczba walizek, dojazd na lotnisko, oczekiwanie – miałem do tego awersję już na długo przedtem zanim pojawili się pierwsi terroryści...” – mówi Lem.

Krytyka

Imaginacja w antroposferze

54

„Rola SF polega na tym, że (...) mówi człowiekowi jak mieć nadzieję, i jak ją realizować...” – referat profesor Marii Golaszewskiej, zawierający tezy wstępne sympozjum na temat „SF w kulturze współczesnej”.

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Zbigniew Niemczynowski (ur. 1923) i Wacław Niezabitowski (1886–1928). Na „pożółkłych kartkach” fragment powieści Niezabitowskiego „Ostatni na Ziemi”.

Recenzje

58

Omawiają: Krzysztof Sokołowski – „The Songs of Distant Earth”, najnowsza powieść Arthura C. Clarke’a; Grażyna Lasoń – „Niezwycięży kryształ”, piąty tom polskiej noweli fantastycznej, zestawiony przez Stefana Otcetęna; Maciej Parowski – antologię najlepszych amerykańskich opowiadań SF roku 1985, wybranych przez Donalda A. Wollheima.

Film i fantastyka

Proza Lema i jej ekranizacje

60

Poza „Solaris” w reżyserii Andrieja Tarkowskiego, filmy oparte na książkach Stanisława Lema nie dorównywały raczej swym pierwowzorom.

Nauka i SF

Figle naszego świata

62

Czy fakt, że ludzie pojawili się w określonym miejscu Wszechświata i w określonym czasie jego trwania jest jedynie konsekwencją niesyчанego ciągu przypadków? – Maciej Iłowiecki przedstawia fascynujące hipotezy uczonych.

Polemiki

Grzechy polskiej SF – cd.

64

Zaczęta przez Marka Oramusa dyskusja o grzechach polskiej SF (por.: „Fantastyka” nr 7/85, 12/86, 1/87), mimo że już została zamknięta na naszych łamach, nie może się jednak zakończyć.

Mówi się często i nie bez racji, że współczesna fantastyka ciągle i z uporem wiąże swoje pasjonujące tematy z problemami ekologicznymi. Ta niby to bardzo realistyczna, a nawet prozaiczna walka o czystość powietrza i wód na tej naszej starej planecie, o bogactwo roślinności i zwierząt, ma swoje romantyczne i filozoficzne odskocznie. Chodzi przecież o konstatację, jaki właściwie jest, jaki powinien być byt człowieka – naturalny czy sztuczny, jak powinno kształtować się jego życie: albo naturalnie, co może także być rozumiane jako bardzo biologiczne, niemal zwierzęce istnienie, albo rola człowieka to otaczanie się coraz nowszymi wynalazkami, wynaturzanie świata do potęgi nie znającej granic. Nie potrafiąc stać się w pełni bogiem przyrody, dzisiejszy obywatel Ziemi chciałby zostać supermanem, bożkiem nienaturalnego, kreowanego przez siebie środowiska.

I w tym momencie wkracza w ludzkie rachuby filozofia kompromisu, godzenia skrajności, co równa się drodze pełnej wyrzeczeń. To oczywiste, banalne, że samo życie społeczne, życie wśród innych, czy z innymi, wymaga właśnie różnorodnych kompromisowych rozwiązań, które nieraz, a właściwie zawsze, nakładają dodatkowe obowiązki na nasze barki, wdrażając do tolerancji (ona jest cała z kompromisu), ale i zmuszają do dzielenia prawdy na pół, ćwierć, a czasem nawet prawdę całkowicie likwidują. Życie staje się pełne przykrych niespodzianek, dzieje się tak w stadzie małżeńskim, i w rodzinie, i w gronie przyjaciół, a także w narodzie czy w państwie.

Nieustannie determinujące nasze istnienie nagromadzenie równoczesne przypadków i konieczności czyni historię tylko częściowo nauczycielką życia, jako że nie istnieje i istnieć nie może pełna powtarzalność sytuacji i spraw. Człowiek dzisiejszy nie jest całkowicie identyczny z człowiekiem sprzed stu, tysiąca czy wielu tysięcy lat.

To, co wydaje się nam powtórzeniem losów, o których – zdaje nam się – przecież czytaliśmy w podręcznikach, czy w powieściach, odbieramy i przetwarzamy obecnie całkiem inaczej, niż nasi przodkowie. Nasz Szekspir jest inny niż Szekspir swoich czasów, nasz Mickiewicz także smakuje inaczej. Różnice w obyczaju dawnym i nowym, w naszych poglądach na rodzinę, na miłość, nienawiść, rodzą inne zachowania, inne reakcje niż dawniej, ponieważ środki, jakimi dysponujemy, bywają diametralnie różne od tych, którymi się niegdyś posługiwano. W tym sensie szeroko pojęta technika, system cywilizacji, wpływa na ludzkość, odmienia ją.



To nie znaczy, że odbiera jej graniczne cechy, ekstremalne zachowania wiążą nas raczej z naszymi przodkami niż różnią od nich. Proszę porównać, jak wyglądały na przykład dawne adaptacje „Quo vadis” (sprzed zaledwie kilkudziesięciu lat) w porównaniu z ostatnią, tak skrytykowaną przez fachowców, włoską wersją filmową tej powieści, widzianą ostatnio w naszej telewizji.

Ale jakoś nikt nie zwrócił uwagi, że autor tej niby-sienkiewiczowskiej tematyki w przedstawianiu Rzymu, jego obywateli i jego niewolników, w obrazie Ligi, Petroniusza, Nerona czy Poppei stworzył nastrój i widowisko, przypominające raczej filmy science fiction niż pompatyczną wizję starożytności. Była to próba kompromisu między „Quo vadis” dawnych i przyszłych lat.

Jak wyglądać mógłby człowiek pozbawiony techniki, lub z techniką niezwykle okaleczoną, a także okaleczoną duszą po konflikcie atomowym – stało się nicią przewodnią wielu słynnych powieści Żelazny’ego w pierwszej linii, a także i „Diuny” Herberta, rozgrywającej konflikty między naturalnym a sztucznym. Podobnie przedstawiają się sprawy z książkami Aldissa, czy ze słynnym filmem „Blade Runner” opartym na fantastycznej prozie.

W swoich książkach („Zbrodnia wielkiego człowieka”, „Jeszcze trochę pożycz” czy „Kochać bez skóry”) także dawałem wyraz tym problemom. Najpierw prymitywnie żyjący człowiek walczył nie przeciwko swoim pobratymcom czy krewnym, nie przeciwko jakimś swoim człowieczym wrogom, lecz po prostu z przyrodą. Dziś wykorzystat, nadwerzęł, i złamał jej prawa, co postawiło go w zupełnie nowych relacjach. Częścią przecież bardzo dużą, coraz to większą, otaczającej nas materii, otaczających nas

zjawisk i przedmiotów, jest świat naszych wytworów i to zarówno psychicznych, jak i fizycznych. I ten świat jest coraz bogatszy w to, co sobie wymarzymy i urzeczywistnimy. Nasze twory są z każdym dniem wyrazistsze i bardziej samodzielne w stosunku do nas.

Różnie interpretowano utwory science fiction o charakterze ekologicznym (także i moje). Chodzi w nich jednak o istotne niewykie zagadnienia z kręgu życia tak osobistego, jak i publicznego, o poszukiwanie granic kompromisu, czyli o możliwości zachowania równowagi między naturalnym a sztucznym, moralnym a niemoralnym. Gdy bowiem wgłębimy się w gęstą sieć warunków naszego istnienia coraz trudniej udaje się oddzielić szkodliwość od dobrodziejstw, zbrodnie od koniecznej samoobrony, miłości od nienawiści, egoizmu od altruizmów. W tym nowym, coraz sztuczniejszym świecie, pozory mylą, wartości stają pod znakiem zapytania, przede wszystkim wartości etyczne, bez których życie staje się zmorem.

I w tej to właśnie problematyce upatruję szansę dla pisarzy science fiction, tylko przez niektórych wykorzystaną. Większość bowiem, w pogoni za łatwą popularnością i trochę większym pieniądzem, zagoniła się w bardzo wydeptane ścieżki literatury rozrywkowej przyjemnej, wprost petzającej. Tylko nieliczni wazyli się na poddanie swoich czytelników gorzkim próbom gorzkich refleksji o sobie samych, o teraźniejszościach i przyszłościach. Niektórym tylko z tych odważnych udało się zainteresować publiczność. Czy szeroko? Czy moralizatorska u swych podstaw fantastyka ma szanse przebicia się, stanie się literaturą ogarniającą masy czytelnice – chodzi o typ fantastyki najwyższych wzlotów. Ale... tak, są ciągle ale. Lem w swej najnowszej wersji autorskiej nie bardzo chwytła masy, nie łąpuje w dostatecznym stopniu nawet proza Żukiewiczza (mimo swej dużej oryginalności) czy Oramusa (mimo moralnej drastyczności, czy może właśnie przez tę drastyczność). Fantastyka jest na rozdrożu. Od dalszych jej dzieł czy prac (mówiąc skromniej) zależeć będzie jej przynależność do literatury znaczącej, lub tylko do służącej suspensowi, i to naskórkowemu.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

**Adam
Hollanek**

HEROIK LITERACKI Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki)

Redaktor naczelny: Adam Hollanek

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzeziński (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędziński (z-ca sekret. red.), Zbigniew Latalski (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Melnowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalewski, Rafał A. Żamkiewicz

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowa Agencja Wydawnicza, Czasopism, BSW, „Fantastyka”, ul. Niekowskiego 14, 00-640 Warszawa, tel. 25-34-75, 25-50-51, 25-50-52, 25-50-53. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam, Propagandy tel. 25-34-75, 25-50-51, 25-50-52, 25-50-53. Księstwo, Wydawnictwo BSW, ul. Książka-Ruch, Warszawa, tel. 25-50-54, 25-50-55, 25-50-56, 25-50-57. Opłata do składu 2 zł. Nakład 150 000 egz. 3/87

Czytelnicy i „Fantastyka” LĄDOWANIE LIV

Najdziwniejsze w listach Państwa jest to ciągłe dociekanie, manifestowane zresztą w różny sposób – co właściwie jest fantastyką, a co nie. Zawsze wzbudzą niepokój utwory, wychodzące jak gdyby poza wyimaginowane ramy „prawdziwej science fiction”. Oto dyskusja na ten temat, wybrana z wielu listów, które nadeszły do redakcji. Jesteśmy za nie wdzięczni. Ich liczba dowodzi, że jest o czym dyskutować.

Niektórzy Wasi czytelnicy przypisują Szulkiną do SF. Szulkin to jeden z naszych najlepszych reżyserów, jego filmy są wspaniałe, ale z science fiction mają mniej wspólnego niż „1984” Orwella. (...) Fantasy jest potrzebne naszej literaturze. Trzeba uważać jednak, by nie przesadzić, by pozory i magia nie wyparty twórczości w stylu Janusza Zajdla. Na razie „Fantastyka” nie przekroczyła granicy zdrowego rozsądku, zarówno jeśli chodzi o sataniczne rysunki (str. 65 nr 50), jak i opowiadania o krwiozerczej tematyce.

Krzysztof Ulanowski z Koszalina

Mam do Pana prośbę: drukujcie więcej opowiadań z gatunku horroru kosmicznego. Można by nawet poświęcić jakiś cały numer temu tematowi.

Marek Nowicki z Warszawy

Co się dzieje z klasyczną fantastyką, typu Stanisława Lema. W książkach jeszcze zdarzają się jej reprezentanci w naszym kraju. Natomiast to, co wypisuje tak zwana młodzież literacka żadną fantastyką już dawno nie jest. Toż to surrealistyczne bajeczki, jakby żywcom przenoszone ze snu. Nie tego oczekujemy od fantastyki. Zwłaszcza naszej, krajowej. Prawdziwą fantastykę, oprócz wymienionego już Lema, pisuje dziś jeszcze Fiałkowski (zwłaszcza w „Homo divisus” i opowiadaniach, mniej w „Adamie...”), może jeszcze jeden, dwóch pisarzy ze starszych pokoleń, ale reszta to już nie fantastyka. Nic dziwnego, że wobec takiej sytuacji chcecie i próbujecie drukować rzeczy z pogranicza. Takie, jak na przykład Oramusa czy Drukarczyka. Ale uważajcie, żeby za daleko poza granice SF nie uciekać. Jestem przekonany, że byłoby to wbrew życzeniom nas, czytelników. Poprawcie się.

Grzegorz Janicki z Wrocławia

Jeszcze cztery lata temu wśród moich kolegów wielu było miłośników science fiction. Teraz ci sami, zapytani, czy trwają przy swoich poglądach, odpowiadają, że wyróśli z tego. Według mnie ktoś kto mówi, że wyrósł z fantastyki, ten nigdy do niej nie dorósł. Przeraża mnie myśl, że rośnie pokolenie pozbawione surrealistycznego spojrzenia na świat. Dlatego właśnie darzę Was dużym szacunkiem. Wy, mimo wszystko, nadal kochajcie się w tych baśniach XX wieku.

Artur Giera Warszawa

Dość goliźny. Czy pan Wojtek Siudmak narysować nie potrafi Homo sapiens w ubraniu? Wszak żyjemy w XX wieku. Lepsze byłoby pokazywanie strojów z przyszłości. Goliźna natomiast pozostanie zawsze taka sama. Lecz, żebyście się nie zafamali pod wpływem tej lekkiej krytyki, musimy jednak oddać co cesarskie cesarzowi – w ogóle

jesteście OK – dobre powieści i utwory krótsze. Nowy komiks niezły, ale chętnie widzielibyśmy „return of Funky Koval”.

A. I. J. z Warszawy

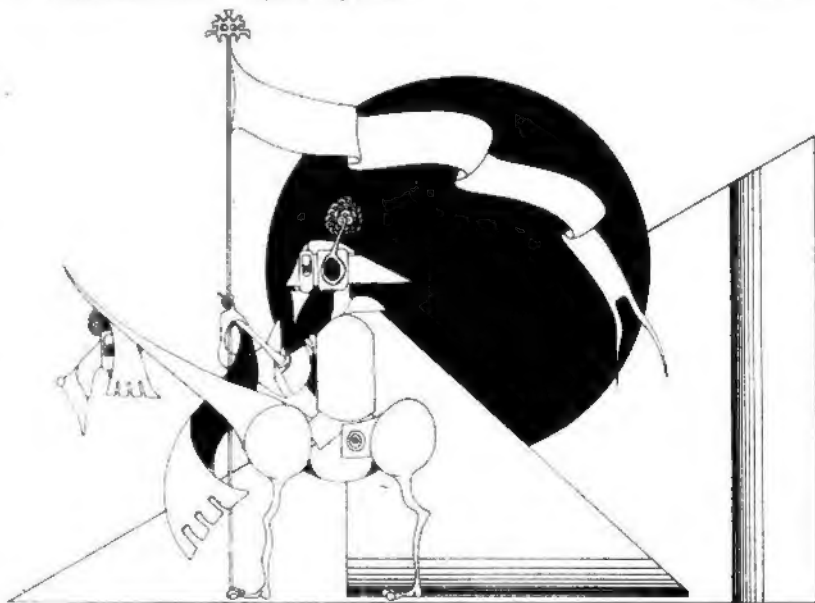
Musicie się dobrze zastanowić, czy warto przekraczać granicę tego, co nazywa się fantastyką naukową. Ludzi przecież interesują losy tego świata, a spekulacji nad tymi losami nie da się wyssać z palca. To, co się stanie, stać się musi, bo jesteśmy określani, mamy podobne zamyślenia, sposoby myślenia i reakcje – to znaczy, że z naszej teraźniejszości muszą nieuchronnie wynikać sprawy naszego jutra. Kto tego nie bierze pod uwagę, parając się fantastyką, nie pisze fantastyki, tylko opowiada bajki i to bajki nawet nie pouczające, ale ot takie, żeby tylko były. Dlaczego o tym piszę? Ponieważ współczesna fantastyka coraz bardziej zatracza swoje istotne wartości. Nic bardziej nie interesowało i nie interesuje ludzi, jak próby przewidywania przyszłości, stąd płynie przecież powodzenie wszystkich „gwiadzowych rubryk” w massmediach. Prawdziwa science fiction to ta, która biorąc pod uwagę stan dzisiejszy jednostki ludzkiej i społeczeństw ludzkich, a także naukowe możliwości, próbuje prorokować, co stanie się jutro. Może mam naiwne spojrzenie na fantastykę, zbyt mało literackie, ale myślę, że racja jest po mojej stronie. Że mówię o gatunku, który najbardziej się może podobać i zawsze będzie się podo-

bać. Toż wszelkie bajania fantasy stają się w krajach, gdzie doszło do największego rozkwitu tych bajer. Dobrze więc, że Wy zdołaliście uniknąć tej baśniowej choroby w piśmie, które dla nas przygotowujecie...

Zdzisław Gorczyca ze Szczecina

Początkowo nie zamierzałem reagować na tę dyskusję o granicach gatunku. Ale w masie listów, które nadchodzą do redakcji, sprawa, jaką fantastykę powinniśmy drukować poczyną wysuwać się na pierwsze miejsce wśród poruszanych przez Czytelników tematów. Oznacza to, że utwory prezentowane na łamach naszego pisma uległy, w stosunku do tych, jakie publikowaliśmy na początku naszego istnienia, dużym zmianom, że zmieniła się i tematyka, i autorzy. I tak jest chyba naprawdę. Już w wyniku pierwszego konkursu, którego plon prezentuje „Trzecia brama”, wydana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, widać autentyczną nową falę młodej fantastyki, jakże różną od klasycyzmu pisarzy starszego pokolenia – to zaś, co nadeszło po rozpisaniu drugiego konkursu w dużym stopniu różni się zarówno od obrazu fantastyki z „Trzeciej bramy”, jak i od wzorców klasycznych. Tempo zmian literatury w naszych czasach jest zadziwiające, a krytyka mało się tym zajmuje. Po ogłoszeniu wyników konkursu (nad którymi pracujemy), zorganizujemy na ten temat dyskusję.

Redaktor



Konkurs na słuchowisko

Program IV Polskiego Radia ogłasza konkurs otwarty na słuchowisko fantastyczno-naukowe i popularyzatorskie.

Tematyka słuchowiska jest dowolna, może obejmować różne dziedziny nauk przyrodniczych, technicznych i humanistycznych. Prace mogą także dotyczyć biografii ludzi nauki i kultury.

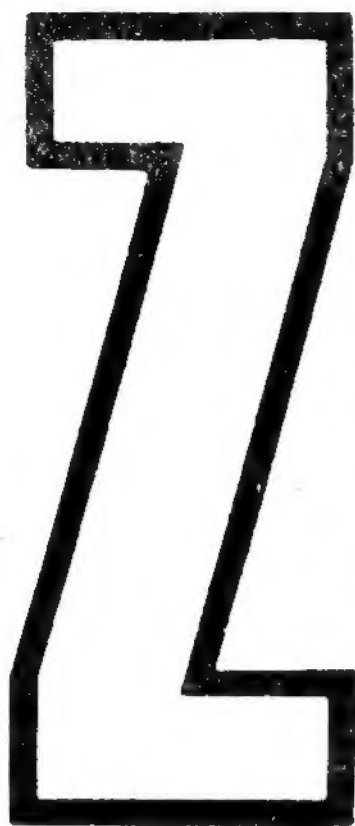
Teksty słuchowisk muszą być oryginalne i nie publikowane w PR i TV, wydawnictwach czy czasopiśmie. Czas trwania słuchowiska 30 minut, tj. około 15 stron maszynopisu. Prace powinny być opatrzone godłem. Imię i nazwisko autora wraz z adresem należy podać osobno w zaklejonej kopercie, również opatrzonej godłem.

Przewidziane są trzy nagrody (25 000, 20 000, 15 000 zł) oraz trzy wyróżnienia (po 7000 zł). Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród nie zmniejszając sumy globalnej.

Termin wysyłania prac upływa 20 września 1987 r., a ogłoszenie wyników nastąpi w połowie listopada br. w Programie IV PR i w tygodniku „Antena”. Ponadto laureaci zostaną powiadomieni korespondencyjnie o przyznanych im nagrodach.

Teksty słuchowisk w pięciu egzemplarzach maszynopisu należy przysyłać pod adresem: Polskie Radio, Program IV, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46 (maszynopisy nie będą zwracane).

Ciekawsze prace zostaną zakupione w celu wykorzystania ich w programie Polskiego Radia. Będą one honorowane według stawek obowiązujących w PR.



ZIMNE

Ian Watson

Niewątpliwie jest to jedna z typowych ironii losu, żeby człowiek z wadą wzroku spędził wiele długich lat na studiowaniu sztucznego oświetlenia. Jednak mój przyjaciel John Ingolby był również wybitnym duchownym. Do czasu, kiedy ukazała się jego książka, John zaszedł już wysoko w hierarchii Kościoła Anglikańskiego. Został biskupem Porchester.

Kościół w tym czasie przeżywał dość trudny okres. Z jednej strony usychał na skutek apatii, z drugiej był osaczony przez fundamentalistyczny ewangelizm, nieprzyjemnie gorączkowy i histeryczny. Między tą Scyllą a Charybdą sterowała nowa liberalna teologia, która – jak się spodziewano – tchnie nowe życie i nowoczesną myśl humanistyczną w zmurszałą instytucję.

Jednak nie bez oporu!

Już jeden z nowych biskupów – który publicznie odrzucił naukę o Niepokalanym Poczęciu – został intronizowany w atmosferze skandalu i protestów. Po dwóch dniach w miejsce uroczystości – starą katedrę, najpiękniejszy okaz architektury gotyckiej w kraju – trafił piorun i ogień strawił jej transept. Według relacji grom spadł z jasnego nieba, a był tak potężny, że piorunochrony okazały się niewystarczające. Prasa popularna natychmiast dostrzegła w tym rękę Boga, a część tradycyjnie nastawionego duchowieństwa poparta to wyjaśnienie meteorologicznego fenomenu. Katedra została zbezczeszczona taką intronizacją i Bóg zareagował. Ale Bóg jest, oczywiście, miłosierny, podpaliwszy więc swój dom następnie pozwolił zmasowanym brygadam straży pożarnej ugasić ogień i uratować większą część budowli.

Przedstawiciele liberalnego duchowieństwa wydawali oświadczenia tłumaczące, że pożar był dziełem przypadku i potępiające prymitywne przesady. Ta sama katedra była przecież w swojej historii trzykrotnie poważnie uszkodzona przez ogień – w ostatnim przypadku, przed stu laty, podpalenie było, nawiasem mówiąc, skutkiem ówczesnej dysputy teologicznej.

Najzawziętszy krytyk nowego biskupa w szeregach duchowieństwa stanowczo odrzucił takie wykretnie wyjaśnienia. Zdegustowany, publicznie wystąpił z Kościoła Anglikańskiego i wstąpił do Greckiego Kościoła Prawosławnego, który, jak sama nazwa wskazuje, stoi twardo na straży nauki, rytu, i liturgii.

W kilka miesięcy później wybuchł nowy skandal.

Radykalnie nastawiony dziekan i wykładowca teologii został zatrudniony jako prezydent do wielkiego nowego serialu telewizyjnego „W poszukiwaniu Boga”. Kiedy zbliżała się data emisji pierwszego odcinka, dziekan wyjawiał w wywiadzie, że nie wierzy w życie pozagrobowe, ani w zmartwychwstanie Chrystusa, ani, jeżeli o to chodzi, w „obiektywne” istnienie Boga. „Bóg” jest personifikacją moralnej świadomości ludzkości, oświadczył.

Podniosła się fala protestów.

I naturalnie pierwszy odcinek „W poszukiwaniu Boga” nie został wyświetlony znów z powodu kataklizmu związanego z elektrycznością – tym razem natury

przemysłowej. Elektrycy telewizyjni skorzystali z okazji, żeby zaprotestować przeciwko jakimś zmianom w godzinach pracy.

Spór został wkrótce zażegnany i w dwa dni później sieć telewizyjna nadała ów wyłączony odcinek zamiast meczu piłki nożnej. Tymczasem jednak w gazetach ukazały się już nagłówki: *Grom z jasnego nieba odbiera mowę dziekanowi-ateście*. Choć dalej drobny druk wyjaśniał, że chodzi o nie zapowiedziany strajk, to jednak wielkie litery sugerowały, że niezbadane są drogi boże w posługiwaniu się elektrycznością.

Taka reklama potężnie zwiększyła liczbę widzów programu, który w innych okolicznościach wiele osób mogłoby zlekceważyć. Do tego stopnia, że „dziekan-ateista” poczuł się zobowiązany do poprzedzenia drugiego odcinka krótkim osobistym wstępem, w którym kokieterijnie stwierdził, że jeżeli Bóg nie istnieje, to nie mógł wymyślić lepszego sposobu na skłonienie ludzi do poszukiwania go.

W takiej to właśnie naładowanej elektrycznością atmosferze ukazała się książka Johna Ingolby’ego, zaskakując mnie najpierw swoim tytułem, a potem podejściem do tematu.

Tytuł brzmiał „Religia i historia oświetlenia”. Najbardziej szokujący jednak był sposób, w jaki książka – niczym siedemnastowieczny wiersz metafizyczny – łączyła dwie pozornie odległe sprawy: historię oświetlenia z historią oświecenia religijnego.

Moją pierwszą myślą było, przyznaję, że jakiś ekstrawagancki wydawca skłonił Johna do przerobienia całej książki pod kątem modnej problematyki.

Bądźmy szczerzy. Powiedzmy, że ktoś jest zbieraczem podstawek pod kufle. Wówczas ich historia jest dla niego czymś pasjonującym – dla niego i kilku setek podobnych entuzjastów. Jeżeli jednak ktoś taki napisze „Historie podstawek pod kufle”, to musi się liczyć z faktem, że książka nie stanie się bestsellerem i nie sprzeda się w milionowym nakładzie.

Łuczyno w neolitycznych jaskiniach, tuszcz i knot w niedźwiedziej czaszce, fenickie świece woskowe, rzymskie lampy oliwne, elżbietańskie latarnie, świece z wielorybiej ambry z zapachem wawrzynu, świece z knotem z sitowia, Herr Wintzler oświetlający Pall Mall latarniami gazowymi, koszulka żarowa Welsbacha, przyćmione

lampy elektryczne De la Rue z roku 1820, włókno węglowe Josepha Swana, łuk węglowy Davy'ego, Edison, para rtęci, acetylen, neon... Fascynujące! A jednak ilu chętnych zechciałoby przebrnąć przez trzysta stron czegoś takiego?

John ustalił ton od pierwszego zdania. „Pragneliśmy światła – napisał – żeby pokonać lek”. Dalej porównywał postępy świadomości religijnej z rozwojem techniki sztucznego oświetlenia: od wczesnego szamanizmu do pogaństwa; od „światła świata” chrześcijaństwa do średniowiecznego mistycyzmu; od Ciemnych Wieków do nowoczesnego oświecenia czyli radykalnej teologii. Sugero-

Ale czy rzeczywiście? W jakich barwach on właściwie występował?

Gazety prześcigały się nawzajem. Biskup Ingolby jest bluźniercą i powinien być natychmiast pozbawiony świeceń! Biskup Ingolby jest uczonym mistykiem, dążącym do podporządkowania techniki teologii! Był i tym, i tym.

Niewątpliwie stał się nagle sławny. „Religia i historia oświecenia” rozchodziła się w wielkiej liczbie egzemplarzy i spora część z nich była zapewne czytana. Pojawiły się podkoszulki z obrazkiem żarówki i tekstem WŁĄCZ I PRZEJRZYJ.

ŚWIATŁO

(Cold Light)

wał bezpośredni związek między tymi dwiema dziedzinami – oświetlenie miało wpływać na wierzenia religijne, te zaś na techniki oświetleniową.

John znakomicie połączył migotliwy blask świec i niesamowite cienie jak duchy przebiegające po ówczesnych pokojach; kopące lampy i stopy Inkwizycji; łagodne, słonecznie jasne lampy ze szklanymi kloszami szwajcarskiego chemika Aime Arganda, które uwieńczyły Wiek Oświecenia, jasne, dające jednolite światło lampy naftowe i pragmatyczne wiktoriańskie chrześcijaństwo.

Na poparcie swojej tezy John zgromadził kolekcję rzadkich cytatów z takich autorytetów jak święty Augustyn i mistrz Eckhart, Jacob Böhme i Kierkegaard, Tillich i Hans Kung. Rozdział o średniowiecznych witrażach i mistycznych kultach millenarystycznych był mistrzowski i poprzedzał go – anachronicznie, jak początkowo sądziłem – słynny fragment z Shelleya:

*Życie, niby kopuła szkła wielobarwnego
Płami niezlomnie białą świetlistość Wieczności...*

Ale później, na końcu rozdziału znajdował się dalszy ciąg cytatu nie znany większości ludzi i zrozumiałem:

...Aż śmierć rozdepcze je w okruchy.

A co z oświetleniem z końca dwudziestego wieku – nie wspominając już o światłowodach, laserach, hologramach – i nową, ateistyczną, radykalną teologią bez życia pozagrobowego?

I co z przyszłością? Przyszłością, którą John widział w ujarzmieniu „zimnego światła”: bioluminescencji bakterii, fosforescencji robaczków świętojańskich i ryb głębinowych, które wytwarzają ogromne ilości chemicznego światła przy minimalnym zużyciu energii i bez wydzielania ciepła. Co z zimnym światłem następnego stulecia, które musi nadejść po jasnym, ale gorącym i pożerającym kilowaty światła naszej ery? Jaka będzie wiedza teologiczna?

Moim pierwszym przypuszczeniem było, jak już wspominałem, że wydawca wymógł na Johnie, żeby przerobił książkę w kierunku większej sensacyjności.

Moim drugim przypuszczeniem, kiedy wnikałem głębiej w religijne rozważania Johna było, że postanowił opowiedzieć się po stronie radykalnej teologii, że zdecydował się wystąpić w barwach kościelnej awangardy.

Przejrzyj. Żeby zobaczyć co? Że ciemność wszechświata jest pusta? Czy też, że jest tam wszystko? A może, że jest tam coś nieprzewidzianego?

Tyle w charakterze prologu do dziwnych i przerażających wydarzeń, które nastąpiły później...

„Pałac Biskupa” w Porchester był w istocie dużym georgiańskim domem otoczonym trawnikiem i krzewami, położonym w połowie drogi między stacją kolejową a ruinami zamku. Zachodnie skrzydło budynku poświęcone było administracji diecezji. Wschodnie skrzydło było prywatną domeną Johna, gdzie gospodarstwo domowe dzierżyła w swoich rękach pani Mott, która przychodziła codziennie skoro świt i wychodziła wieczorem po kolacji, bo John nie był żoną-ty.

Większość spraw domowych podlegała pani Mott – gotowanie, sprzątanie, pranie itd. Ale oświetlenie poszczególnych pomieszczeń we wschodnim skrzydle było wyłącznym dziełem Johna i pod tym względem połowa jego „pałacu” przypominała żywe muzeum.

Kuchnie oświetlały żarówki elektryczne, małą prywatną kaplicę wielkie świece, jadalnię lampy gazowe, bibliotekę neonowe świetlówki. Prócz tego liczne nieużywane urządzenia oświetlające stały albo wisiały wszędzie wokół: rzymskie gliniane lampki oliwne, lampy górnicze, zachodnioindyjskie dziurkowane tykwy na robaczki świętojańskie...

Kiedy w kilka miesięcy po publikacji książki na usilne żądanie Johna przyjechałem go odwiedzić pewnego listopadowego wieczoru, ujrzałem całe wschodnie skrzydło oświetlone w najróżniejszych stylach. Zasłony były odsłonięte. Gdy siedłem ze stacji, kilka wstępnych fajerków wzbiło się w niebo nad Porchester, eksplodując pomarańczowymi gwiazdami. Następnego dnia dzieci w całym kraju miały świętować spalenie na stosie protestanckiego parlamentu – pamiątka dawnej wojny religijnej. Tymczasem John wydawał się urządzać swój własny festiwal światła.

Ja... Ale nie wspominałem jeszcze o sobie poza tym, że wiele lat temu studiowałem razem z Johnem.

Nazywam się Morris Ash i jestem lekarzem weterynarii, który przekwalifikował się na homeopatę. Mieszkam w Brighton i obsługuje tam zamożniejszą część społe-

czeństwa. Mam dyplom z biochemii i początkowo myślałem o poświęceniu się badaniom medycznym. Pewne rozczarowanie moimi współbraćmi w połączeniu z ekologiczną świadomością przeludnienia i upadku środowiska naturalnego popchnęło mnie w kierunku weterynarii.

Osiągnąłem powodzenie w swoim zawodzie, choć nie praktykowałem na wsi wśród owiec, koni i krów. Zostałem eleganckim miastowym weterynarzem, doktorem piesków i lekarzem kotków, znanym wśród właścicieli swoich pacjentów ze współczucia, jakie okazywałem ich chorym pupilom.

Po dwudziestu latach miałem pięciu wspólników i byłem bardziej konsultantem w trudnych przypadkach niż rutynowym kastratorem kocurów. Moje myśli zwróciły się powtórnie ku biochemii i badaniom medycznym, ale trochę inaczej: zainteresowała mnie homeopatia, teoria leczenia chorób za pomocą mikroskopijnych, bardzo rozcieńczonych dawek substancji, które normalnie wywołują schorzenia. Zacząłem badać możliwości leczenia w podobny sposób zwierząt i po paru latach dostarczałem ulubieńcom mojej klienteli szeroki asortyment homeopatycznych leków własnej produkcji. Homeopatia sprawdzała się zaskakująco dobrze w wielu chronicznych przypadkach i moja sława szybko się rozprzestrzeniła. Wkrótce stwierdziłem, że lecze homeopatycznie również właścicieli moich pacjentów, chociaż – spiesze dodać – nie na parcy i nosówce!

Przyznałem już, że nie za bardzo kocham swoich bliznich w porównaniu z odkrytymi sierścią i pierzem mieszkającymi ziemi. Tak więc podobnie jak John – choć z innych powodów – pozostałem kawalerem. John i ja żyliśmy w przyjaźni przez wiele lat, jak już wspomniałem, i spotykaliśmy się może trzy razy do roku z różnych okazji. Wydawało się, że mamy wiele wspólnego. Obaj byliśmy zatwardziałyymi starymi kawalerami. John uważał mnie za kogoś w rodzaju świętego Franciszka posługującego ratlerkom i chomikom tego świata. Kiedyś opowiedziałem Johnowi wszystko, co wiedziałem na temat katalizacyjnej reakcji chemicznej, która rozświetla zimnym światłem robaczki świetłojaskie, ryby głębinowe, bakterie i grzyby, wspominając, że któregoś dnia, być może, nauczymy się oświetlać w podobny sposób nasze domy i miasta – co teologicznie przekształcone wypłynęło w jego książce...

W pałacu zostałem mile przyjęty. Piliśmy znakomite białe sherry. Mówiliśmy o homeopatii. Mówiliśmy o książce Johna i o jej olśniewającym sukcesie. John wspominał o wywiadzie telewizyjnym, którego ma udzielić w swoim różnorodnie oświetlonym domu przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia i tym samym od epoki otwartego ognia do epoki neonu, żeby podsumować swoje wystąpienie w oświetlonej świecami kaplicy; były to jednak plany dość mgliste.

Ostrożnie poruszyłem zagadkowy temat prawdziwej intencji jego książki. Chyba stary i dyskretny przyjaciel miał prawo wiedzieć – zwłaszcza że sam nie brałem udziału w rozgrywkach teologicznych? John zwrócił moją uwagę na latarnię z czasów Szekspira, którą kupił ostatnio na aukcji i która teraz zdobiła kominiek w jego saloniku.

Potem pani Mott podała kolację. Posiłek był smakowity, ale nieco dziwny. Zaczeliśmy od ślimaków i pieczarek. Jedne i drugie były smażone na maśle i John wyraźnie miał kłopoty z ustaleniem, które z krążków są ślimakami, a które grzybami. Usiłował przekroić skorupę ślimaka nożem, a potem chciał wydłubać nadzienie z pieczarki. Czyżby zarządził takie menu specjalnie, żeby zakpić ze swojego okularnictwa?

Dalej szedł smażony turbot pod beszamelem, potem, jako sentymentalne przypomnienie czasów studenckich, kiedy to wspólnie chodziliśmy do tego samego taniego baru, zjedliśmy po porcji flaków z cebulą i tłuczonymi kartoflami.

Potem było ciastko i na zakończenie plaster sera Wensleydale i biała kawa.

Wtedy pani Mott poszła do domu zostawiając nas samych.

Uświadomiłem sobie, że wszystkie potrawy były białe albo co najwyżej kremowe w kolorze i podane na białych talerzach. Nawet wino, które do nich piliśmy, to było leib-

fraumilch – „mleko ukochanej” – co nie znaczy, że wolałbym do tego zestawu dań ciężkiego burgunda! Gdybyśmy pili burgunda albo inne czerwone wino, mogłoby się wydawać, że nasze kieliszki w cudowny sposób wypełniły się krwią, nieobecna przecież w tej części krowiej anatomii.

Wiec kolacja na biało. Ale dlaczego?

Czyżby pani Mott oszalała?

– Możesz nam nalać porto? – spytał gospodarz. Porto nareszcie było intensywnie purpurowoczerwone – kontrast, którego nie skomentowałem, choć moja ciekawość była teraz mocno rozbudzona.

John spróbował wina i w końcu wyznał mi cichym głosem:

– Morris, ja ślepe.

– Ślepniesz? – powtórzyłem idiotycznie. Patrzyłem na kraglą, różową twarz Johna i na grube okragłe szkła, które pod pewnym kątem sprawiały, że jego oczy wydawały się wypłukiaste. Na policzkach miał lekkie ślady ospy – zła reakcja na atak dziecięcej choroby, która niewątpliwie również osłabiła jego wzrok. Czubek głowy miał prawie całkiem łysy i gładki. Skóra na nim i resztki włosów były tłustawe. Trzeba by w niego wklepać sporo talku, zanim nadaby się do pokazania w telewizji; w przeciwnym razie błyszczałby się jak lichy.

Uznałem, że nadszedł czas, żeby poruszyć sprawę kolacji – w niczym jej nie umniejszając, bowiem mój zmysł smaku napawał się każdym kesem, chociaż mój zmysł wzroku nie znajdował żadnych podniet.

– Słuchaj, John, kolacja była naprawdę wspaniała! Pani Mott należała się gratulacje. Tylko że... nie było w tym ani żdźbła koloru. Wszystko od początku do końca białe. Białe jedzenie na białych talerzach. Bardzo pomysłowe! Może wydaje ci się, że ty ślepniesz tylko dlatego, że nie widzisz żadnego koloru? Po prostu nie było żadnych kolorów.

John roześmiał się nie bez wysiłku.

– Oh, Morris, wiem o tym! Pani Mott zawsze była twoją wielką zwolenniczką. Ta biała kolacja była na twoją cześć.

– Naprawdę? A to dlaczego? Nie bardzo rozumiem.

– Widzisz, ona tak rozumie działanie homeopatii. W tym przypadku homeopatycznego lekarstwa na słabnący wzrok. Weź coś tak istotnego dla zdrowia, jak dobrze przygotowany posiłek. Zapach i smak odgrywają istotną rolę w pobudzaniu apetytu. Ale ważny jest również wygląd potraw, kontrasty i kolory.

– Teraz rozumiem! Pani Mott uważa, że redukując barwy prawie do zera...

– Tak jak homeopata redukuje zawartość leku prawie do zera przez kolejne rozcieńczania. Dokładnie!

– ...spowoduje poprawę twego wzroku. Twój mózg wysili się, żeby rozróżnić śladowe resztki kolorów. Ależ ta kobieta ma wyobraźnię!

– Ta biała kolacja miała być również grubą aluzją w przypadku, gdyby zabrakło mi odwagi prosić cię o pomoc.

No, tak, teraz mogłem dodać dwa do dwóch.

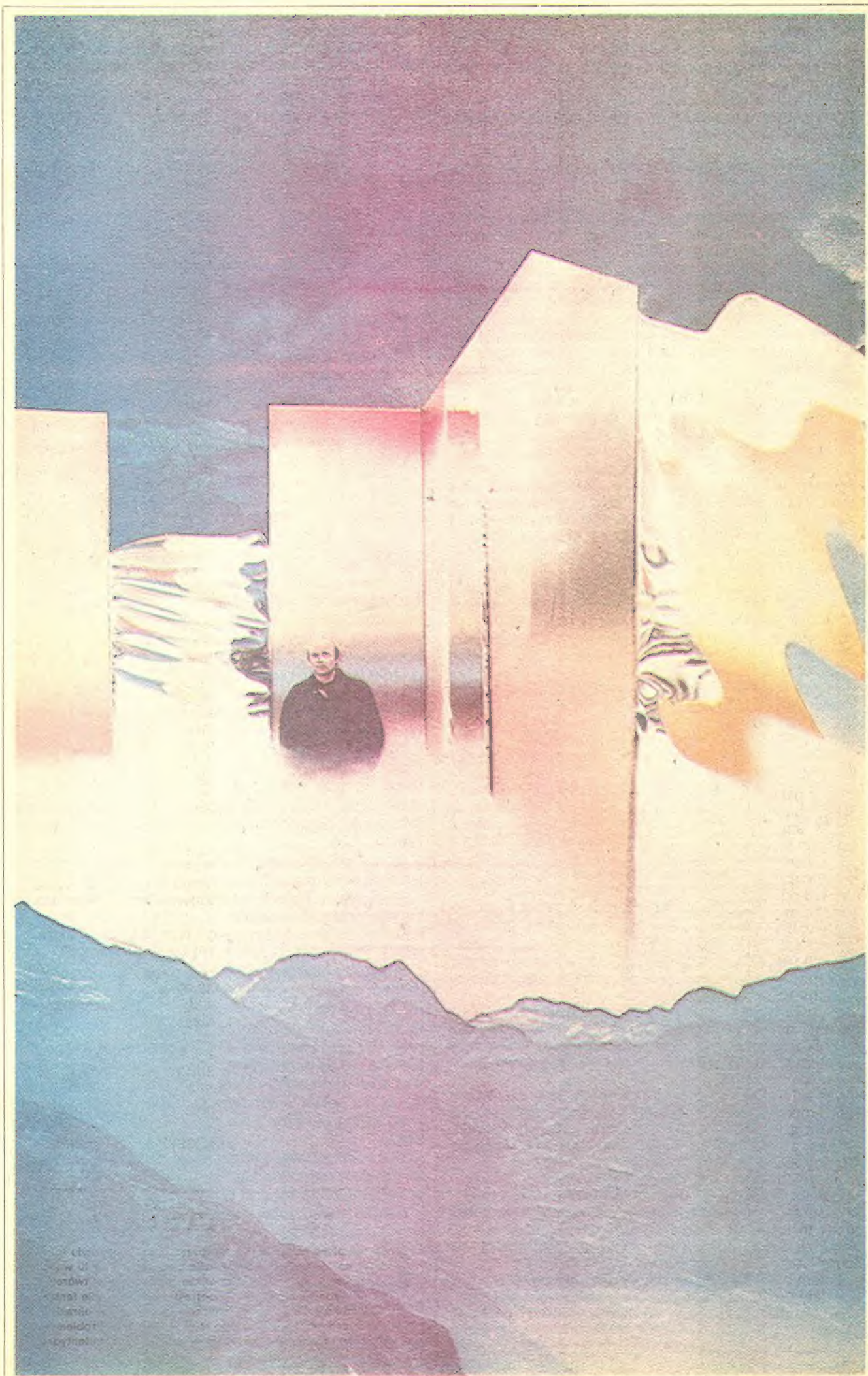
Jeszcze jeden przypadek, kiedy ktoś woli szukać porady lekarskiej u weterynarza niż u doktora. Weterynarza, który jest bliskim przyjacielem. Co więcej weterynarza, nie mającego żadnych osobistych pretensji do pewnego radykalnego biskupa, który sprowadzał wizję świętych do braku należytego oświetlenia.

– Na czym więc, według ciebie, polegają twoje kłopoty z oczami, John? Katarakta?

John opróżnił swój kieliszek, jakby dla nabrania odwagi.

Ian WATSON

Autor ten pisał fantastykę w najlepszym angielskim stylu (patrz „Fantastyka” nr 5/87). „Zimne światło”, zamieszczone tu w nieco skróconej wersji, stanowi dobry przykład jego dojrzałej twórczości. Utrzymane w konwencji opowieści gotyckiej jest w istocie fantastyką naukową o kontakcie z inną cywilizacją i nawiązuje w obrazie tej cywilizacji do „Kryształowego jaja” H.G. Wellsa. Problemy teologiczne i rozdarcie w Kościele Anglikańskim są autentyczne.



- Ja ślepień od środka - powiedział. - Ślepień od środka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ta ślepotą jest jak cień wewnątrz mnie. Cień, który rośnie. Rozrasta się, stale się rozrasta.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Nie jestem okulistą - powiedziałem - ale, jeżeli twój opis jest dokładny, wygląda mi to na zapalenie nerwu wzrokowego. Nacisk opuchlizny może prowadzić do stopniowej atrofi nerwu. Ciemna plama będzie się pozornie powiększać. Część siatkówki straci wrażliwość.

- To coś więcej. - John uderzył się w czoło. - Ta ślepotą zakorzeniła się we mnie jak jakieś paskudne czarne zielonko - Jego głos zadźwięczał i przycichł. - To z powodu tej mojej książki, nie rozumiesz?

- Co ty mówisz?

- Modliłem się, rzecz jasna. Modłę się w mojej kaplicy codziennie rano przez pół godziny. Modlitwa oczyszcza umysł. Organizuje dzień. Co nie znaczy, że modłę się za siebie! Modłę się, żeby cały świat ujrzał światło miłości. - John był jakby zażenowany. Nigdy dotąd nie wspominał mi o swoich prywatnych modlitwach. - Tymczasem moje własne światło przygasa. W zły sposób.

- Co masz na myśli, John?

- Jest w tej ślepotce coś z rozkładu. Czuje, jak otaczają mnie miazmaty zła, jak wyciągają swoje macki.

- I wiążesz to z wydaniem książki? Uważasz, że to jest... kara? - dolałem mu wina z karafki. - Wolałbym tego nie mówić, John, ale nie można wykluczyć guza. Jeżeli guz uciska ośrodek wzroku w twoim mózgu, może to powodować reakcje emocjonalne. Możesz go nawet odczuwać jako coś ciemnego i złego rozrastającego się w twojej głowie.

Mój przyjaciel nie zgodził się.

- To kalektwo nie ma przyczyny, chyba że jest to przyczyna cudowna. Cudowna - powtórzył - albo diabelska. To jest coś jak czarna powolna błyskawica.

- Ależ, John, sam przecież pisałeś, że diabły są nie bardziej cielesne, niż cienie rzucone przez świece. Nie wierysz w diabły.

- Przypuśćmy przez chwilę, że diabły istnieją. Morris, ja czuję się jakby opętany.

- Chyba żartujesz.

Ale widziałem, że to nie są tak całkiem żarty.

- Kto jak kto, ale chyba biskupi mają sposoby na diabły? - spytałem.

- Hmm. Musiałbym wtajemniczyć kolegę z Kościoła, zaczęłyby się plotki. Tak samo, gdybym zwrócił się do okulisty. Żenujące, nie uważasz? Także dla Kościoła. A gdybym próbował poddać egzorcyzmowi prawdziwy - choć kłopotliwy - cud, cóż, to byłoby jeszcze gorsze. To tak, jakbym usiłował wyrzucić Boga ze swojego życia.

- Czas więc wezwać weterynarza-homeopatę, co?

- W najgorszym razie mogę z tobą szczerze o tym porozmawiać. Pani Mott miała w tej sprawie zupełną rację.

W miarę jak rozmawialiśmy, zaczęło mnie drażnić pewne podejrzenie; podejrzenie, którego nie śmiałbym przedstawić Johnowi.

Czy to możliwe, że pani Mott powoli truiła Johna? Biała jest przecież kolorem niewinności, może więc ta biała kolacja miała symbolizować jej niewinność? Tylko, żeby ogłaszać swoją niewinność, musi wiedzieć o swojej winie...

Dlaczego pani Mott namówiła Johna, żeby szukał pomocy u mnie? Może wcale nie była pełna podziwu dla mnie i w gruncie rzeczy uważała mnie za szarlatana, którego rada zaprowadzi Johna na manowce, a powstrzyma go od udania się do lekarza.

John był uzależniony od pani Mott i miał do niej bezgraniczne zaufanie. Czy miałem prawo rzucić cień wątpliwości na ich przyjaźń? Zresztą co mogłoby powodować tą kobietą? Spadek - kupa dziwacznych urzędzeń oświeblających? (Sam pałac nie był jego własnością!) Honoraria z jego książki? To nie mogło stanowić fortuny.

W końcu postanowiłem jednak zaryzykować.

Chcąc osłodzić gorzką pigułkę roześmiałem się.

- Mówiąc o fosforencji - zacząłem, choć dawno o niej nie było mowy - w dawnych czasach często używano fosforu jako trucizny, bo jest trudny do wykrycia - pewne ilości fosforu występują w ciele w sposób naturalny. Przypadła się słynny przypadek, kiedy ofiara zoriento-

wała się, o co chodzi, bo talerz z jej zupą świecił, kiedy go niosła ciemnym korytarzem!

- Hmm - mruknął John niezbyt poruszony - a dlaczego to pani Mott miałaby chcieć mnie otruć?

- Nie chciałem sugerować...

- Zasugerowałeś. Drobne ilości związku arszeniku, co? Odrobina trucizny na szczury dzień po dniu. Jednak w dawkach nieco większych niż homeopatyczne! Nic na świecie nie mogłoby jej do tego skłonić.

- Może więc coś nie z tego świata?

- Nie rozumiem.

- Może na przykład uważa twoją książkę za bluźnierczą. Może wierzy, że działasz w zмовie z Antychrystem.

- Pani Mott? Nie sądzę. A ty?

Pomyślałem o tej dobroduszej, oddanej, pogodnej osobie i potrząsałem głową.

Tej nocy, kiedy leżałem na granicy snu w wielkim debowym łóżu dla gości, przypomniała mi się opowieść o fosforyzującej zupie. Talerz świecącej zupy w ciemnym korytarzu...

Czyżby to była waza, co widzę przed sobą,

z chochłą zwróconą w stronę mojej ręki?

Czyś ty wywar z homara, sos vichy, czy może

zwykły wołowy rosół z arszenikiem?

Czyżbyś nie był, bulionie fatalny, zmysłoczuły

dla smaku, jak dla wzroku? Czyś jest może

polewką wyobraźni?

Sam nie bardzo wiem dlaczego postanowiłem wstać z ciepłego łóżka, żeby snuć się o północy po zimnym biskupim pałacu. Może wyobraziłem sobie, że w ciemnej kuchni wypatrzę jakiś fosforyzujący siołk z przyprawami, zdradzający w ten sposób trujący charakter swojej zawartości. Dość, że wstałem, wsunąłem nogi w pantofle i owinąwszy się szlafrokiem ruszyłem do drzwi z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Nie korzystałem z latarki i nie odsłoniłem zasłon. Chciałem, żeby moje oczy zachowały kocią zdolność do rejestrowania najsłabszych nawet źródeł światła.

Macając po ścianie, przeszedłem korytarzem koło sypialni Johna - na palcach, choć nie miałem powodów do obaw, że moje ciche kroki albo skrzyp klepki mogą go obudzić. John dawno powiedział mi, że sypia zawsze jak zabity. Jak tylko dotknie głową poduszki, śpi jak kłoda do rana.

Jednak łazienka była na przeciwnym końcu korytarza. Jak bym wytłumaczył te nocne wędrówki?

Streszczając historię moich poszukiwań, dotarłem do kuchni, potem do wszystkich pomieszczeń na parterze, nawet do kaplicy. Nigdzie nie znalazłem nic podejrzanego.

W kaplicy panował przejmujący chłód, ale był to chłód całkiem naturalny - zbliżała się zima. Jeżeli jakiś automat nie włączył ogrzewania wczesnym rankiem, półgodzinna modlitwa Johna była prawdziwą pokutą. W każdym razie nie był to ten mróz, który przebiega po grzbiecie i zmusza psy do przeraźliwego wycia. Jeżeli w kaplicy Johna panował diabelny chłód, to jestem pewien, że to nie diabeł ponosił za to odpowiedzialność.

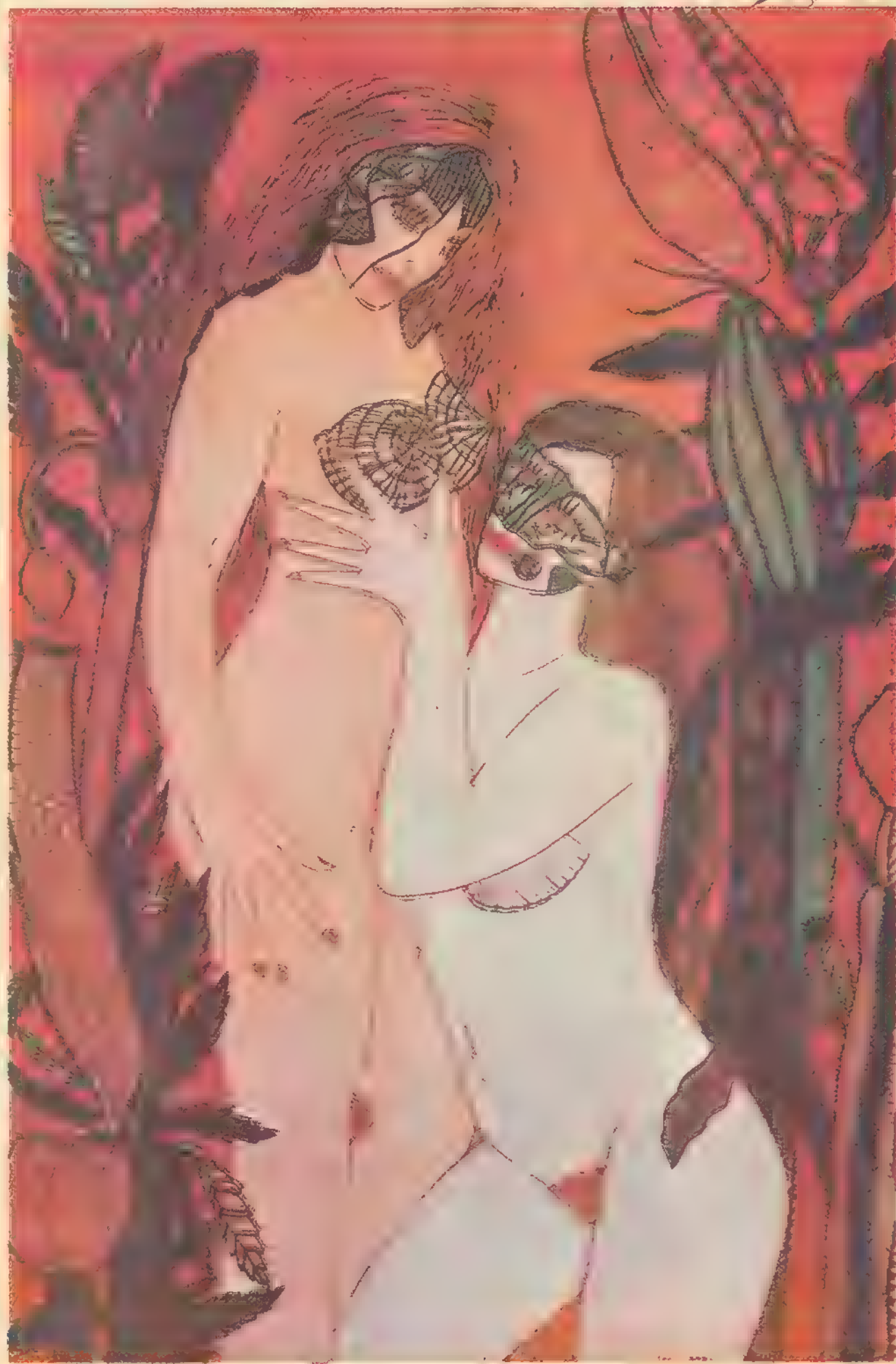
Wróciłem na górę tylko raz wybijając sobie palec u nogi.

W mroku górnego korytarza źle obliczyłem odległość. Nacisnąłem mosiężną kłamkę i stwierdziłem, że jestem w sypialni Johna zamiast w swojej.

Uświadomiłem sobie swój błąd natychmiast, ponieważ głowę pogrążonego we śnie Johna otaczał pierścień światła. Spał w wełnianej szlafmocy z wielkim pompomem, którą widocznie zrobiła mu pani Mott.

Pierścień światła miał szerokość jego głowy. Nawet dla moich przywykłych do ciemności oczu światło nie było jasne, ale pozwalało wyraźnie widzieć śpiące oblicze Johna i zarys łóżka. Widocznie było to jakieś odbicie światła z zewnątrz, może nocnej lampy lukuwej z dworca kolejowego.

PILAR COOMONTE



Podszedłem do okna, żeby to sprawdzić, ale grube zasłony były szczelnie zaciągnięte.

*Onegdy w nocy Wieczność oczy me ujrzały
Jak wielki Piersień światła, bezkresny i biały. **

W samym pokoju nie było ani isierki innego światła. Również moje ruchy nie przyćmiewały ani nie przesłaniały tego pierścienia perłowej poświaty. Wszelkie myśli o pani Mott jako o dostarczycielce fosforowej zupy momentalnie wyleciały przez okno (to znaczy wyleciałyby, gdyby okno nie było tak szczelnie zasłonięte). Nie mogłem się dłużej oszukiwać. Wiedziałem, co mam przed sobą.

Nad głową śpiącego Johna unosiła się aureola.

Taka, jaką noszą święci na obrazach.

Może nie tak jaskrawa! Nic ośniewającego, skromna aureola, która nie byłaby widoczna, gdyby nie całkowite ciemności. Niemniej jednak aureola.

Głowa Johna była pogrążona w grubej poduszce. Aureola nawisała nad jego twarzą. Wyciągnąłem ostrożnie palec, żeby jej dotknąć.

Zapewne była to nieostrożność, ale nie doznałem żadnych konsekwencji. Nie poczułem wstrząsu, mrowienia, ciepła. Nie mogła to być żadna dziwaczna odmiana pioruna kulistego ani ognia świętego Elma. Przeciągnąłem dłoń przez aureolę bez żadnego skutku. Potem potrząsnąłem Johna za ramię.

Obudź się, chłopie! Obudź się!

- Pożar? Złodzieje? Która godzina?

- Nie, nie, nie. Nic z tych rzeczy. Siadaj.

Kiedy usiadł, aureola zmieniła pozycję, utrzymując się nad szlafmycą.

Co się dzieje, Morris? Gdzie jest moja latarka? (Oświetlenia sypialni Johna stanowiły dziewiętnastowieczne lampy powozowe).

Chwyciłem go za rękę.

- Nie, nie trzeba latarki! Masz tu gdzieś lustro?

Jest w szafie.

Możesz mi pokazać?

Mrucząc pod nosem John wstał z pościeli - aureola towarzyszyła mu niezmiennie - i otworzył drzwi szafy.

Teraz były dwie aureole: jedna nad jego głową, druga w dużym lustrze.

- Boże, co to za światło? Nie mam okularów.

- Podam ci. Powiedz, gdzie są.

Na nocnym stoliku.

Przyniosłem mu okulary, włożył je.

- Wielkie nieba!

- Święte słowa, John. Masz aureole.

Zrobił krok do tyłu i do przodu. Przesunął dłoń nad głową. Zdjął szlafmycę, jakby sprawdzał, czy nie zrobiłem mu kawału i nie przyczepiłem tego widmowego światła do czapki.

- O Boże - powiedział - moje oczy są do niczego, ale i tak ją widzę. A zawsze uważałem, że w aureolach jest coś niepoważnego...

- Cóż, widocznie stajesz się świętym, stary koniu.

- Co, ja? Święty? Nie bądź śmieszny. Poza tym święci wcale nie mieli pierścieni światła nad głowami! To tylko konwencja artystyczna. Sposób przedstawiania świętych.

- Może niektórzy święci mieli widzialne aureole? W dawnych czasach?

- Myślę, że taka aureola musiałaby być znacznie silniejsza od mojej.

- Może masz dopiero załazek aureoli? Młodą aureolę.

- To znaczy, że miałyby się wzmacniać? W miarę, jak mój wzrok słabnie? Zrobmy tu trochę światła.

Mój przyjaciel odnalazł swoją latarkę i rozpoczął ceremonialne rozpalanie lamp powozowych. W miarę jak w sypialni robiło się coraz jasniej, aureola słabła do ledwo widocznego migotania.

Usiadłem na krześle, John przycupnął na łóżku.

- Wszystko to jest bardzo kłopotliwe - powiedział. - To niedorzeczne! Nie mogę być początkującym świętym. Poza tym, co mogłoby powodować aureole?

- Może Łaska, proszę księdza biskupa?

- Bądź poważny.

- Nie wierzysz w to? Chcę cię o coś spytać, John. Czy napisałeś tę swoją książkę, żeby zdemaskować radykalną teologię? Czy jest ona czymś w rodzaju ofiary - z wszystkiego, co ci było drogie - żeby podtrzymać wiarę?

- O Boże, nie sędzę. Mówiłem ci, Morris, że czuję złą ciemność rozszerzającą się we mnie. Jeżeli wyrasta mi aureola, to zapewniam cię, że odbywa się to kosztem mojej duszy. To nie żaden reflektor oświetlający świętość! Przyjemnie by było wyobrazić sobie, że jest to jakaś lampa miłości. Przyjemnie byłoby pomyśleć, że jakieś stare mroczne klasztory rzeczywiście bywały oświetlone świętością - z głową świętego jako źródłem światła! Czy nie cudownie byłoby, gdyby miasta przyszłości mogły być oświetlane naszą własną czystością, gdyby ludzkość wzniosła się na wyższy poziom? Niebo błyszczałoby wówczas blaskiem swoich świętych. Piekło byłoby czarne ciemnością swoich grzeszników. Ale to zdecydowanie nie jest to, co ja odczuwam, podczas gdy ta ciemność pożera moje światło.

Pozera.

- Ta aureola pożera twój wzrok... co by to mogło znaczyć? Że aureola jest jakimś rodzajem zorganizowanej energii? Że potrzebuje światła dla swojego przetrwania... dla wzrostu? Pewne świecące ryby głębinowe muszą zjadać świecący plankton, bo w przeciwnym razie przestają świecić. A świecenie jest im potrzebne, żeby przyciągać ofiary.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Morris?

- Może ta aureola jest czymś żywym, zwierzęciem nie z krwi i kości, ale z energii. Żywi się fotonami, które docierają do twoich oczu albo impulsami elektrycznymi w nerwach wzrokowych. Dlatego ślepniesz. Twój mózg wyczuwa, jak to się odżywia twoim kosztem; pożera światło, żeby wytwarzać światło.

- Pasożyt? Po co miałby wytwarzać światło? Hmm, słynni święci nie byli przecież ślepcami...

- A więc widocznie aureole nie mogą być dziełem pasożytów.

John w zadumie potrząsnął głową.

- Wspomniałeś o świecących rybach przyciągających ofiary. Jakie „ofiary” może przyciągać święty? Oczywiście, wiernych. Łatwo wiernych. Grzeszników dojrzałych do nawrócenia. Ludzi o skłonnościach religijnych. Aureola może być haczykiem, na który Bóg łowi ludzi. Może być aniołem, który zasiada z wędką. I wysysa fotony z oczu świętego, żeby napędzać aureole? Hagiografia nie wspomina, żeby święci mieli kłopoty ze wzrokiem.

- Może było tylko kilku prawdziwych świętych i ich aureole przeszły do legendy? A ty jesteś następnym świętym. Cudem w bezbożnym wieku.

- Czyżbyś usiłował mnie kanonizować? Powinieneś być adwokatem diabła.

- Rozważam tylko różne możliwości. Oto inna: może kiedyś było więcej kanałów przewodzących boskie światło? Anioły obsługujące aureole nie musiały wysysać światła ze świętych, bo miały inne źródła energii.

- W takim razie, dlaczego czuję, że moja ślepotą jest złem? Dlaczego odczuwam taki brak łaski?

- Nie wiem.

- Czy kiedy oślepnę do końca, moja aureola rozbłyśnie w pełni chwały? Czyja wiara jest tu poddawana próbie? Świata czy moja? Czy to w ogóle jest próba wiary, czy też dzieło jakiejś złośliwej pasożytniczej istoty z innego świata? Czy na tym właśnie polega cud: coś, czego nie można dowieść, co trzeba przyjąć na wiarę, jak samego Boga? Nawet jeżeli się czuje, że samemu jest się potępionym! Opetanym! - Wyciągnął do mnie obie ręce. - Czy

blagając cie, żebyś mnie wyleczył, Bóg jeden wie dlaczego, skazuje się na potępienie? Czy powinienem, pozwolić, żeby moja aureola rosła w siłę i w ten sposób potwierdzać wiare milionów, jednocześnie tracąc własną, zapadając się w głęboką, ciemną jamę?

- Może to coś odejdzie samo - powiedziałem bez przekonania. - Może stopniowo ustąpi i wzrok ci się poprawi.

- Czy zostaniesz ze mną przez kilka dni?

- Przez tydzień. Dłużej, jeżeli będzie trzeba. Oczywiście, że zostaną

Westchnął.

- Dziękuję ci, Morris. A teraz lepiej idź się położyć. Ja też to zrobię. - Nagle powrócił jego biskupi autorytet. - Idź, już Morris. Ja pogaszę latarnie.

W tydzień później nadal mieszkalem w pałacu; aureola była coraz mocniejsza. Widziałem pierścień światła nad głową Johna przy świetle dziennym i sztucznym. Wzrok mojego przyjaciela pogorszył się drastycznie.

Nie mogło już być mowy o wzięciu go do okulisty albo do szpitala. Co więcej, John i ja zgodziliśmy się całkowicie, że pani Mott nie powinna wiedzieć o aureoli. Posiłki, które przygotowywała, nosiłem mu na tacy do pokoju i kroilem za niego mięso.

Biskup był chory, unieruchomiony, a ja go leczyłem. Taka była oficjalna wersja. Przechodził poważną infekcję, jednak nie zagrażającą jego życiu. Pani Mott przyjęła ten fakt do wiadomości dopiero kiedy John obwieścił jej to zdecydowanym głosem przez drzwi.

Sprawy diecezji zostały podobnie załatwione. Sekretarz Johna trochę się obraził, żądał też, żeby biskupa zabrał „prawdziwy” lekarz. Biskup wyraził swoje zdanie głośno przez drzwi i w ten sposób odkryłem, że mój przyjaciel potrafi być twardy i że nie został biskupem wyłącznie przez połączenie dobroci z protekcją.

Umysł Johna pozostawał nienaruszony. Istała odpowiedzialna za aureole nie miała widocznie ambicji przemawiania jego ustami, szeptania słów w jego głowie czy mieszania się do jego snów.

Ale stawała się coraz jaśniejsza, coraz jaśniejsza.

- Nawet, kiedy będę zupełnie ślepy - powiedział John - nie będę ślepy w prawdziwym tego słowa znaczeniu, tylko całe światło zostanie mi ukradzione dla podtrzymania aureoli. A to już nastąpi niedługo. Jak myślisz, może powinniśmy zadzwonić do telewizji? Powiedzieć im, żeby zorganizowali mi konferencję prasową? Czy nie należałoby zaprezentować cudu światu? Czy nie powinienem powiedzieć: „Oto jest błyskawica boża”? Taka, która nie uderza w katedry, ale spokojnie i jasno krąży wokół mojej głowy, podczas gdy ja siedzę w błotnistej jamie jak w piekle Dantego.

Czy nie powinienem im powiedzieć: „Strzeżcie się zimnego światła przyszłości, światła następnego stulecia włary”? Ja dzwigam je jak mój krzyż, czy też raczej moje koło, mój pierścień Piotra, mój annulus angeli. Ale ja wiem, że mój anioł jest ciemny. Świeci jedynie dzięki kradzieży, dzięki świetlnemu wampiryzmowi. Jakże więc mogłyby pochodzić od Boga? To zrujnowało moją wiarę w Boga, tak samo jak zrujnowało mój wzrok. Jeżeli to jest kara boska, to może powinienem przekląć Boga! A jeżeli to ma być nagroda, to tym bardziej! Jeżeli zaś jest to dzieło diabła, to świat nigdy nie stanie się lepszy, a my nigdy nie dostąpimy oświecenia.

- Może bardziej ci jest potrzebny doradca duchowny niż weterynarz-homeopata? - zasugerowałem.

Potrząsnął gwałtownie głową, przy czym aureola ani drgnęła.

- Muszę... sam zdecydować. Tylko ja wiem, co to znaczy być teraz mną.

I zdecydowałem - w najokropniejszy sposób, jaki można sobie wyobrazić...

Wyrwał mnie ze snu daleki krzyk. Włączyłem swoją latarkę (absolutnie niezbędną w tym pałacu, w którym systemy oświetleniowe sięgały od prymitywnych do najnowszych). Na moim zegarku było wpół do szóstej rano. Na zewnątrz panował jeszcze głęboki mrok. Czyżby krzyk sowy w łodowatych ruinach zamku?

- Morris! - doleciał mnie z oddali głos przyjaciela.

Znalazłem go w kaplicy. Palily się wszystkie świece. John klęczał przed małym ołtarzem. Koło niego na kamiennym posadzce leżał zakrwawiony nóż do chleba. Po policzkach Johna, po upiornie pustej twarzy spływała krew. Na obrusie Ołtarza, wpatrzone w srebrny krucyfiks, leżały jego dwie gałki oczne.

To dziwne, jak w chwilach przerażenia człowiek zauważa najdrobniejsze szczegóły. Zauważyłem, że John użył noża do chleba, z ostrzem w kształcie pily i z zaokrąglonym końcem. Zaokrąglony koniec, żeby podważyć gałki oczne, pilka, żeby przeciąć nerwy wzrokowe.

Może to zresztą nie był taki drobny szczegół. Dowodziło to z jaką premedytacją John dokonał tego samookaleczenia.

Jego ślepe, nie mrugające oczy wpatrzone były w znak Chrystusa. Nad jego głową, w blasku tylu świec, aureola była ledwo widoczna.

- Czy to ty, Morris? - W jego głosie słychać było ból.

- Tak.

- Czy ta piekielna rzecz znikła?

- Chyba przygasa. Oh, John, coś ty narobił!

Przygasała raptownie. Do czasu, kiedy przyjechała karetka, aureola przestała być widoczna.

Nie trzeba mówić, że pojechałem z Johnem do szpitala. Ledwo lekarz zdołał mnie zapewnić, że John otrzymał znieczulenie i jest pod dobrą opieką, do Szpitala Świętego Łukasza przybył inspektor i dwóch innych policjantów, żeby ze mną porozmawiać. Kierowca karetki zgłosił wypadek, policja pośpieszyła do pałacu przybijając tam tuż przed panią Mott. Zobaczyli zakrwawiony nóż do chleba i oczy leżące na ołtarzu. Wyglądało to niewątpliwie na sadystyczną zbrodnię popełnioną przez szaleńca, czyli przeze mnie.

Na szczęście nie dotykałem noża.

Podczas kilkugodzinnego przesłuchania, które trwało póki John nie odzyskał przytomności po znieczuleniu, dowiedziałem się, że procesy myślowe policjantów upodobiły się do dziennikarzy najgorszej prasy brukowej. Właściwie nie powinno to dziwić, bo zajmują się tymi samymi sprawami. Inspektor poświęcił masę czasu rozwijaniu myśli, że biskup Ingojy i ja, obaj nieżonaci, mogliśmy tworzyć związek homoseksualny od czasów studenckich i wówczas okropność, która się zdarzyła, byłaby wynikiem awantury na tle seksualnym, połączonej być może z szantazem - biskup był przecież teraz znakomitością.

Nawet kiedy John ocknął się i uwolnił mnie od zarzutów, inspektor niechętnie rozstawał się ze swoimi podejrzeniami. Ostatecznie, biskup mógł mnie kryć, siebie także przy okazji. Na nożu nie było moich odcisków palców, tylko Johna i pani Mott pod spodem, ale przecież mogłem mieć rekawiczki.

Właściwie nie powinienem mieć do policji pretensji. Musieli wyczuwać, że kłamałem, i John również, na temat powodów okaleczenia.

Jedyny „niepodważalny” fakt, dostarczony przez panią Mott, mianowicie, że biskup obawiał się ślepoty, nie wydawał się tak niepodważalny wobec tego, że lekarz Johna nic o tym nie wiedział, podobnie jak sekretarz diecezji.

Poza tym, w jakimś to szalonym emocjonalnym równaniu lęk przed utratą wzroku prowadzi do dobrowolnego samoosłepienia?

W pewnym sensie to prasa brukowa przyszła nam na ratunek. Po cynku z policji albo z pogotowia spadły na

PILAR COOMONTE



Porchester dziennikarskie sepy. Dla nich najważniejsze było, że oczy Johna Ingolby, sceptycznego autora „Religii i historii oświecenia” zostały umieszczone na ołtarzu. Czymże były, jeżeli nie ofiarą?

W ten sposób prasa dodała dwa i dwa, i wyszło jej cztery. Podczas gdy prawdziwa odpowiedź była liczbą całkowicie nierzeczywistą. Albo może zerem, tajemniczym zerem aureoli.

— John, dlaczego właściwie położyłeś swoje oczy na ołtarzu?

Minęło dwa tygodnie, John był z powrotem w domu wracając do zdrowia. Nidługo jednak musiał opuścić pałac biskupi, sekretarz arcybiskupa bardzo

nalegał na rezygnację Johna, ze względów humanitarnych.

Pani Mott poszła do domu, podobnie jak doktor, który przyszedł obejrzeć oczodoły i zmienić opatrunek. Byliśmy w pałacu sami, John i ja, jak pierwszego wieczoru po moim przyjeździe, z tą różnicą, że John miał teraz opaskę na oczach. A także wcześniej zjedliśmy normalną kolację z brązową wołowiną, zieloną kapustą i złocistymi frytkami.

— Dlaczego, John?

— A jak sobie wyobrażasz? Zawsze lubilem porządek. Gdzie je miałem położyć? Na podłodze? Nie chciałem, żeby ktoś je rozdeptał!

— I to jedyny powód? Porządek?

- Musiałem z tym zrobić porządek, Morris. Nie tylko z moimi oczami... Wiesz przecież.

- Chyba tak... Czy zgodzisz się na sztuczne oczy? Szklane, plastikowe, sam nie wiem?

Roześmiał się sucho.

- Od sztucznego oświetlenia do sztucznych oczu! Krok logiczny, choć nie prowadzący do większej jasności. Tak, myślę, że szklane oczy mogą być nieszkodliwe. W razie czego znacznie łatwiej będzie się ich pozbyć. Do ustępu i spuścić wodę.

Wdwa i pół roku później firma Matsuya Biotechnic K.K. z Japonii ogłosiła, że zbudowała sztuczne bioniczne oczy, podłączane do nerwu wzrokowego.

Model deluxe stanowi zadziwiający postęp w stosunku do tradycyjnych organów wizualnych z mięśni, chrząstki i płynu. Za lekkim dotknięciem guziczków (ukrytych pod powiekami) te japońskie oczy mogą być dostosowane do widzenia w podczerwieni, do teleskopowego powiększenia lub do sowego wykorzystania światła w najciemniejszej nocy.

Armie całego świata bardzo się zainteresowały, ale jest jeden szkopuł. Żeby korzystać z oczu firmy Matsuya, najpierw trzeba się pozbyć swoich własnych.

W ciągu ostatnich dwóch lat odwiedziłem Johna co najmniej z tuzin razy w jego skromnym domku w małej wiosce koło Porchester, gdzie pani Mott nadal otaczała go swoją opieką, i wiedziałem jak cierpi.

Nie z bólu, tylko na skutek moralnego niepokoju.

Nie z biedy, bo jego książka po sensacyjnym samoopiepieniu miała wydania kieszonkowe i zagraniczne, ale na skutek duchowej klaustrofobii.

John otrzymał parę wielce przekonujących plastikowych galek ocznych. Niebieskie, wykonane holograficzną techniką tęczówki wyglądały chwilami bardziej żywo niż prawdziwe oczy.

Dwa tygodnie temu zadzwonił do mnie.

- Sprawie sobie te japońskie oczy - powiedział. - Jeżeli tylko ich ekspertów nie zawiodą nerwy! - roześmiał się. - Mam na myśli moje nerwy wzrokowe. Nie wytrzymuję już tych piekielnych ciemności, Morris. Ten stwór od aureoli musiał zdechnąć wieki temu. Zrezygnować, pójść do domu, nie wiem co one tam robią, kiedy gospodarz zamorzy je głodem.

Dużo rozmawialiśmy o tych stworach, John i ja.

Anioł? Demon? Pozaziemska forma życia? Czy też istota z jakiegoś całkowicie innego wszechświata, odmienna forma istnienia, która zabłąkała się do naszej rzeczywistości?

Nie musiała to wcale być istota rozumna. Mogła nie przewyższać inteligencją ryby głębinowej albo robaczka świętojańskiego.

Może była pasażerem żerującym na jakichś obcych, którzy nie rozpoznani odwiedzali naszą planetę, i wydostała się na wolność. Czy dawała jakąś symbiotyczną korzyść tym hipotetycznym obcym, czy też była tylko dolegliwością, jak katar, taka grypa oczna? Zło, które John odczuwał, mogło wynikać z obcości stwora, niekoniecznie z jakiejś moralnej, metafizycznej jego właściwości.

Stopniowo przystaliśmy na wyjaśnienie naturalne, choć bez prób ustalenia czegoś o samym zwierzęciu. Pasożyt, który oślepił swojego nosiciela i zapala mu pochodnię nad głową nie wyglądał na mistrza w sztuce przetrwania, ale może John był pod tym względem jak mieszkaniec Wysp Południowych zarażony europejską wietrzną ospą.

W każdym razie ja zadowolilem się taką interpretacją. John nadal mówił o piekielnych ciemnościach.

Teraz technika miała go uwolnić od tych ciemności; podobnie jak coraz doskonalsze sztuczne oświetlenie miało stopniowo przepędzać skrzaty i duchy, diabła i Boga.

- Kontaktowałem się z przedstawicielstwem Japończyków w Londynie - powiedział mi. - Firma Matsuya

wyśle dwóch chirurgów i parę oczu samolotem przez Biegun Północny. Będzie to dla nich dobra reklama. Można powiedzieć, że pociągnąłem za sznurki, a za parę dni oni będą pociągać za sznurki w mojej głowie, żeby sprawdzić, czy jeszcze działają. Jak wszystko dobrze pójdzie, powinienem być za dwa tygodnie w domu z nowymi oczami.

Wszystko poszło dobrze.

John Ingolby znów widzi. I to lepiej, niż kiedykolwiek w życiu. Lepiej niż wszyscy ludzie na świecie, z wyjątkiem takich, którzy jak on zamienili swoją naturalną aparaturę na bioniczną.

Nowo odkryty świat jest dla niego rewelacją. Moja twarz, nie widziana od przeszło dwóch lat, jest jak mistyczna wizja. Podobnie z twarzą pani Mott. Podobnie z jej kwiatowo-ziolowym ogródkiem przy domu.

Podobnie z nocą, kiedy widzi bez trudu, oglądając monochromatyczne wzgórza, drzewa, krowy i żywopłoty, a gwiazdy z góry świecą tysiącami jasnych lamp.

Podobnie z ciepłym obrazem światła o świcie, kiedy te same krowy widoczne są jako jaskrawoczerwone plamy na zimnobłękitnych polach, pozostawiające za sobą różowe ślady racic na rosie. Przelatujący ptak jest ognistym meteorem.

Całe to piękno leczy duszę Johna. Jego nowe oczy wyglądają mniej naturalnie niż poprzednie, plastikowe; są srebrnoszare i pod pewnym kątem zmieniają się w lusterką. Ale to nie jest ważne.

John...

Jest drugi wieczór mojej wizyty i wyszliśmy przed dom, żeby popatrzeć na niebo. Pani Mott położyła się wcześniej.

- John, to wróciło.

- Co?

- Twoja aureola. Znowu jest lekko widoczna.

- Nie żartuj, Morris.

- Ja nie żartuję. Widzę ją.

John podchodzi do domku, przegląda się w oknie. Widzi wszystko znacznie wyraźniej. Odbicie w szybie potwierdza moje słowa.

- O, mój Boże. Więc to nie mieszkało w moich oczach i nie żywiło się fotonami. To przez cały czas siedziało w moim mózgu. Czekowało w uspieniu jak zamrożony wirus i światło obudziło je ponownie. O, mój Boże. Te japońskie oczy są instalowane na stałe. Nie mogę ich wyjmować, kiedy chce...

- A nie możesz ich wylączyć?

- A po co komu wylączyć oczy? Kiedy idę do łóżka, moje powieki robią to same. Wylącznik to o jeden przycisk za dużo.

Aureola nie rzuca się w oczy, kiedy pani Mott podaje nam rano jajka na bekonie. Ona nic nie zauważa, ale ja dostrzegam lekkie migotanie.

Niebo jest błękitne, słońce jasne.

- Piękny wiosenny poranek - zauważył John. - Ale później może się zachmurzyć. Przejdziemy się na Wzgórze Hinchcombe.

Na Wzgórze Hinchcombe idzie się mile drogą, a potem stromą leśną ścieżką na porośnięty krzewami kołolistu wierzchołek, na którym spotkać można jedynie stadko owiec rasy suffolk. Te krzepkie owce kocą się wcześniej, przed Bożym Narodzeniem i teraz pasły się tu matki już oddzielone od jagniąt.

W cieniu jodeł było chłodno, ale na szczycie panował upał jak w lecie.

- Czy widzisz naszego okrągłego przyjaciela?

- Nie, słońce jest zbyt jaskrawe - odpowiedziałem.

- To dobrze. Wszyscy wiemy, że nie należy patrzeć w słońce, prawda? Ostre słońce może spalić komórki siatkówki. Ja mam sztuczną siatkówkę, znacznie odporniejszą. Mogłoby ją może zniszczyć rozbłysk termojądrowy,

ale przecież wszyscy wiemy, że wybuch jądrowy jest jaśniejszy niż tysiąc słońc. Powinienem więc mieć duży zapas wytrzymałości, nawet kiedy włączę nocne widzenie.

- Nie rób tego, John.

- Nic mnie nie obchodzi, jeżeli popsuje te oczy. Teraz już nie.

- Możesz uszkodzić ośrodek wzroku w mózgu.

- Tam, gdzie to bydło mieszka, co? Chyba że mieszka w innym wszechświecie albo w Niebie, a w mojej głowie ma tylko otwór do podglądania.

John siada na kamieniu twarzą do Słońca.

- Chcesz jeść? - krzyczy. - Ja cie nakarmię!

Z jakiegoś powodu (nawyk, rytuał, ostrożność?) robi znak krzyża i zaczyna wpatrywać się w Słońce. Jednocześnie głośno, monotonnie mruczy melodie hymnu „Anioły z Królestwa Chwały”.

Mijają minuty.

- Widzę ją, John. Błyszczysz.

Jaśniej, coraz jaśniej.

Teraz jest to już pełna, jaskrawa aureola, a on nadal patrzy w Słońce.

Przerywa mruczando.

- Mów, co widzisz! - żąda.

- Nie mogę już na nią patrzeć wprost. Jest zbyt jasna. - Dobrze przynajmniej, że to zimne światło, bo w przeciwnym razie Johnowi mózg by się ugotował.

- Nie dla mnie. Ja widzę, że zapada mrok. Słońce wygląda jak cytryna we mgle. „Anioły! Z Królestwa Chwały!”

Muszę się odwrócić. Owce zeszły niżej chroniąc się przed tym drugim, miniaturowym słońcem.

- Ślepe coraz bardziej, Morris. To naprawdę pożera światło.

- I wydała je z powrotem!

- Wkrótce będę znów ociemniały. Ale co tam. „Anioły! Z Królestwa Chwały!”

Szkoda, że nie mam okopconego szkielka. Odważam się zerkać jedynie od czasu do czasu.

Spojrzenie:

Aureola nie ma już kształtu pierścienia. Jest to ognista kula jak druga głowa. Kiedy się odwracam, jej powidok buja nad jodłami jak piorun kulisty.

- „Anioły!”

Rzucam dwa cienie na trawę i krzewy.

Spojrzenie:

- To rośnie w górę, John!

Kolumna oślepiającej srebrzystej jasności; mogłaby oświetlać całą ulicę.

W powidoku nad drzewami unosi się jakaś postać, chwieje się i znika.

Spojrzenie:

Teraz powidok jest wyraźniejszy. To nie jest postać ludzka. Jest zbyt wysmukła, rozszerza się tylko w piersi. Nogi są za krótkie, ręce za długie i za cienkie. Głowa jakby ptasia, z dziobem zamiast ust.

- „Anioły z Królestwa Chwały!”

Powidok ma skrzydła, wielkie ogniste skrzydła.

To Anioł Ognisty, który wypędził Adama i Ewę z Raju.

- John, na twojej głowie siedzi jakieś stworzenie! Wielki chudy ptak! Podobny do człowieka, ale to nie człowiek.

Jego szpony obejmują czaszkę Johna, jakby to było jajo.

Spojrzenie:

Powidok rozdziawia dziób. Co za skrzekliwy, przenikliwy głos!

John przestał podśpiewywać. Ten odgłos ni to szpaka, ni to papugi, wydobywa się z jego ust...

- Słyszysz cię! - krzyczy.

Oslaniam oczy dłońmi: John siedzi jak poprzednio wpatrując się nieruchomo w Słońce.

- Przychodzę! - wrzeszczy świetlisty ptak. - Ogłaszam swoje przyjście!

- Skąd przychodzisz?

- Zabieram.

- Co zabierasz i dokąd?

- Swoją łup! Do gniazda!

John jest więc łupem. Muszę przerwać dopływ Słońca do jego oczu! Oslaniając głowę przed przerażającą kolumną światła podkradam się skulony i spycham go z kamienia. Zaciskając z całej siły powieki padam obok niego, po omacku odnajduję jego głowę i zasłaniam dłońmi jego japońskie oczy.

- Aiiii! - wrzeszczy głos.

Odzywa się własny głos Johna.

- O, błogosławione wizje! Królestwo Chwały! Niebiańskie miasto aniołów! Z wysmukłymi, niebotycznymi wieżami oświetlonymi w nocy zimnym światłem, jakby na każdej wieży paliła się gwiazda, jakby na każdym dachu przysiadł anioł. Białe anioły szybują w perłowym świetle dnia. W dole łąka z małymi błękitnymi kozami-elfami, pasącymi się nad mleczną rzeką...

- Nie idź za tym, John! Wyrzuć to ze swojej głowy!

- Moja dusza wejdzie do anielskiego jaja.

- Broń się! To coś chce ci zabrać twój umysł.

- Odrodź się jako anioł.

- To są drapieżne ptaki, John. Nie anioły, tylko orły z innego świata.

- Nie, to są niebiańskie... - jego głos zamiera.

- Aiiii! Zwycięstwo!

Ciało Johna drga, potem nieruchomieje.

Ostrożnie otwieram oczy. Oślepiające światło, drugie słońce, znikło. Tylko nasze własne żółte słońce świeci na krzewy, łąkę, trawę i na ciało mojego przyjaciela.

Sprawdzam puls... nic. Jego serce stało. Nie umiem robić oddychania „usta-usta”, ale mimo to próbuje przywrócić mu oddech... na próżno.

Siedzę przy ciepłym od słońca ciele przez dłuższą chwilę.

John uwierzył, że jego umysł wejdzie do anielskiego jaja w tamtym obcym świecie, w tamtej innej rzeczywistości.

Pewnie po to, żeby się wylegnać.

Tylko jako co? Jako anioł, równy innym aniołom-ptakom?

Czy może jako więzień przynoszący chlubę temu, co go pojmał? Niewolnik? Ofiara? Dar dla Pana świetlistych ptaków?

Zaraz zejść ze wzgórza, ścieżką przez las, potem drogą, tym razem sam. Będę musiał powiedzieć, że wysiłek podejścia spowodował zawał i śmierć Johna. Powiem, że jego duch wstąpił do Nieba, gdzie teraz jest jego dom.

Muszę mieć nadzieję, że nikt inny nie widział oślepiającego światła na Wzgórzu Hinchcombe, tej światłości, która porwała Johna do swojego dalekiego gniazda, pozostawiając niepotrzebne ubranie jego ciała.

Może John będzie szczęśliwy, kiedy się wykluje pod zimnym światłem tego miasta, które jest gdzie indziej. A może takiego miasta nie ma; może te ostatnie wizje były kłamstwem, narkotykiem pompowanym do jego głowy, żeby sparaliżować wolę...

Kilka owiec wróciło, przyglądając się nam dwóm z umiarkowanym zainteresowaniem.

Przełożył Lech Jęczmyk

PILAR COOMONTE





Marek Zalejski

Nikołaj Gudaniec

Zapomnij, proszę...

(Zabud', proszu ciebia)

– **T**im – powiedział ojciec. – Znowu to robisz?
Ojciec stał ze świecą w otwartym oknie. W drgającym świetle płomienia jego twarz przypominała gipsową maskę.

Chłopiec cofnął się przestraszony. Gwałtownie wierzby płaczącej rozchyliły się i z szelestem skryły go w swoim mroku.

– Nie chowaj się, wszystko widziałem. Musimy porozmawiać. Słyszysz, Tim?

– Tak... – odpowiedział chłopiec.

– Chodź tutaj, synu. Chodź, póki nikt nie widział. Nie bój się, nic ci nie zrobię.

Po chwili wahania Tim opuścił swoją kryjówkę wśród liści i zbliżył się do okna. Ojciec cofnął się w głąb pokoju. Chłopiec wszedł na parapet, zeskoczył na podłogę i stanął ze spuszczoną głową. Jakiś czas trwali w milczeniu naprzeciw siebie. Słychać było jak cykadki wderają się w nieskończoną nocną ciszę, a gdzieś na drugim krańcu śpiącej ziemi toczy się skrzypiący wóz. Wzdychając z ulgą ojciec zaniknął okno, postawił świecznik na stole i usiadł na łóżku chłopca.

– Tim, przecież ci prosiłem – zaczął ojciec. – Tak czy nie?

Syn nie odpowiadał.

– Nie jesteś już taki mały, powinieneś zrozumieć. Dlaczego to robisz?

Chłopiec gwałtownie podniósł głowę. W jego oczach błysnęły łzy.

– Ale dlaczego, tato, dlaczego?... Przecież nie robię nic złego... I nikt nie widział. Jestem ostrożny, słowo honoru...

– Nie zobaczyli teraz, to zobaczą następnym razem – nie ustępował ojciec. – Zauważają cię wcześniej czy później, i co wtedy? Pomyślałeś o tym? Chcesz, żeby ci omijali na kilometr, żeby drażnili się z tobą, jak z głupim Fabi, tak? Pomyśl o matce i o mnie. Żyjemy przecież wśród ludzi. Nie chce, żeby sąsiedzi wytykali nas palcami.

Pod słabo oświetlonym sufitem trzepotała się ćma. Lekko dotykała białej płaszczyzny, jak ręka zakładająca niewidzialny szew. Później szybkim spiralnym lotem zeszła ku świecy i zawirowała wokół niej chwiejąc języczkiem płomienia. Krążyła zawieszając koło i nagle dotknęła płomienia. Dał się słyszeć ledwie uchwytny trzask i kruche życie owada w jednej sekundzie zostało przerwane. Ćma leżała na stole konwulsyjnie przebierając łapkami. Po chwili zesztywniała.

– Widzisz? – powiedział ojciec. – Widzisz, co się z nią stało? Ale ty, Tim, masz rozum. Powinieneś przewidzieć, jakie mogą być skutki. Dorosniesz, przyjdzie czas, że założysz rodzinę i będziesz musiał ją utrzymać. Kto ci da pracę, jeśli ludzie będą cię unikać jak zadziwionego?

– Mogę pójść do cyrku – wyszeptał chłopiec.

– Tylko tego brakowało! – Ojciec podskoczył oburzony. – W naszej rodzinie wszyscy uczciwie pracowali na życie. Twój pradziadek, dziadek i ojciec. Nie chce, żebyś został jarmarcznym kuglarzem, przybędą nie wiadomo skąd, bez pewnego kawałka chleba i dachu nad głową. Takiego wstydu w mojej rodzinie nie będzie. A czy pomyślałeś o matce? Chcesz ją wpędzić do grobu? Tak? Nie wspominałem jej jeszcze o tym ani słowa. A co będzie, jak się dowie?

Chłopiec spuścił głowę. Jego małe serduszko ścisnęło się z rozpacz i wstydu.

Ojciec podszedł do syna i przytulił go.

– Więcej tego nie rób, synku – powiedział z wyrzutem i prośbą w głosie, głaszcząc Tim'a po włosach. – Daj spokój. Nic ci z tego nie przyjdzie i nam chwały nie przyniesie. Proszę cię. Zapomnij, że to potrafisz. Dla naszego i twojego dobra. Kiedyś będziesz miał dzieci. Dla ich dobra, proszę cię, Tim, zapomnij o tym. Uwierz mi, że tak będzie najlepiej, później zrozumiesz, że miałem rację.

Tim zaszlochał. Wtulił twarz w koszulę ojca.

– Tato... – zaczął Tim łamiącym się głosem... – Tatku... Ale... to takie... wspaniałe... Gdybyś wiedział, jakie to wspaniałe...

Na piersi ojca rozlała się mokra i ciepła plama. Przytulił syna do siebie i głaskał go po głowie nie mogąc w żaden sposób przemóc dławiącego skurczu w gardle.

– Wiem, synku. Wiem. Właśnie za to tata dął ze mnie pasy... Dwa razy to zrobiłem i więcej już nie próbowałem. A później to nawet nie było kiedy myśleć o tym.

Chłopiec zaskoczony podniósł głowę.

– Więc ty... też? Też?

Ojciec przytaknął.

– Tak. I dziadek twój to potrafił, i pradziadek, i prapradziadek. Wszystko zaczęło się za sprawą czarownika, który dawno temu mieszkał w naszym miasteczku. Twoja praprababcia kupiła u niego ziolo, dzięki którym miało

się urodzić dziecko zdrowe, silne i szczęśliwe. Nie wiadomo, jakie to były ziola. Nikt nie wie. Od tego czasu w naszej rodzinie wszyscy naprawdę byli niezwykle silni. A oprócz tego potrafili TO.

Tim słuchał z otwartymi ustami. Patrzył na ojca, jakby widział go po raz pierwszy.

- Pradziadek był mądrym człowiekiem - mówił ojciec. - Surowo przykazał żonie i synowi, żeby milczeli. I tak pozostało. Nikt w miasteczku nie wie o naszych umiejętnościach. One nie są do niczego potrzebne, uwierz Tim. Od chwili, gdy zrezygnowałem z nich, ani razu nie żałowałem. Teraz już bym chyba nie potrafił...

Ojciec zamyslił się. Jego twarz stała się nieprzenikniona jak u ludzi, których wzrok i słuch skierowane są w głąb samych siebie. Nagle uniósł się nad podłogę i zawisnął w powietrzu.

- Nie, jeszcze potrafie... - mruknął i powoli, ostrożnie opadł na dół.

- I ty zupełnie... ani razu... nigdy...

Ojciec kiwnął głową.

- Nie. Nawet mama nie wie. Nie mów jej, Tim. Nie zdradz mnie. Bądź mądry.

Ojciec objął chłopca i dotknął nosem jego policzka.

- Dobranoc, synu. I zapomnij o tym. Proszę cię.

Podszedł do drzwi, odwrócił się, popatrzył na Tima. Wydawało się, że chciał coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyślił się. Wyszedł i delikatnie zamknął drzwi.

Chłopiec otworzył okno i usiadł na parapecie. Ogarneła go cudowna świeża ciemność. Zapach nocnych kwiatów wonną tęczą unosił się nad klombem. Wśród galezi wierzby skradął się cichy jak szmer wiatr. Dzwoniły cykady. Usiane gwiazdami niebo płynęło i pulsowało, a śpiące miasto coraz bardziej pogrążało się w tej otchłani, nie sięgając dna. Łagodny chłód wślizgiwał się pod koszulę i wypełniał przestrzeń między ciałem i materiałem.

Tim zatrzepotał rękami niby ptak i uniósł się nad parapetem. Zawisnął tak kotysząc się jak balonik na nitce. Ostrożnie wypłynął z okna i obejrzał się. W miasteczku nie było widać żywej duszy. Chłopiec zawahał się, ale zaraz zrobił nagły zwrot i wrócił. Zdmuchnął świecę, dał nurka do łóżka i zwinął się w kłębek.

- Nie wolno - powiedział sobie.

Blogie ciepło rozlało się po całym ciele, zziębniętym od nocnego lotu. Tim wtulił twarz w poduszkę, a pod powiekami czuł igielki łez.

- Nie wolno - powtórzył.

Leżał płacząc bezgłośnie. Śen przyszedł szybko i otulił chłopca dobrą ciszą.

Nazajutrz, po śniadaniu, Tim wyszedł na spacer. Jasne bezchmurne niebo zapowiadało piękny dzień. Chłód nocy niechętnie ustępował przed ciepłem dnia i w cieniu było zimno, a na słońcu gorąco.

Tim siedł na placu za cerkwią, gdzie chłopcy zbierali się, żeby grać w kulki. Beztrako pogwizdywał i podrzucał w kieszeni kurtki garść szklanych kulek. Prawie od samego domu siedł za nim pies włóczęga. Pies, laciaty i ze zwisającymi uszami, dreptał za chłopcem krok w krok.

- Czego chcesz? - zapytał Tim przystając na chwilę. Pies usiadł i wlepił w niego wilgotne oczy. Wydawało się, że nie odrywając wzroku od chłopca zwierzę modli się bezgłośnie w swoim psim języku.

Tim wyciągnął rękę, ale przestraszony pies odskoczył i pomachał ogonem. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem cię - powiedział i poszedł dalej.

Na placu był tylko rudy Diles o przezwisku Kotlet. Diles chodził wzdłuż płotu i witką ścinał czubki pokrzyw.

- Czołem - krzyknął Tim.

- Serwus - odpowiedział Kotlet. - Co to za pies, twój?

- Włóczęga. Przyczepił się. Zagramy?

- Nie mam kulek - wyznał ze smutkiem Kotlet. - Wczoraj przegrałem ostatnie.

- Pożyczyć ci?

- Nie-e. Jak i te przegram, nie będą miał z czego oddać.

Tim podrapał się po głowie:

- To zrobimy tak: jeśli przegrasz, powiedzmy, że ci je dałem.

Kotlet zaczął się poważnie zastanawiać.

- Hej, chłopcy! - zawołał ktoś.

Koło cerkwi stało dwóch nieznanym. Po torbach z narzędziami przewieszonymi przez ramie bez trudu można było w nich rozpoznać wędrownych rzemieślników, którzy latem chodzą po wsiach i miastach w poszukiwaniu pracy.

- Gdzie mieszka wasz zakrystian? - zapytał młodszy z rzemieślników, ubrany w polatane spodnie i czerwoną koszulę w kratę.

- Tutaj, niedaleko - powiedział Tim.

- Biegnij do niego, poproś, żeby otworzył cerkiew. Chcemy pracować. Masz jabłko.

Tim w biegu chwycił jabłko i włożył za pazuchę.

- Bede piorunem - obiecał.

W tym momencie zza rogu wyszedł kulawy zakrystian Mattas z pekiem kluczy.

- A, już jesteście - ucieszył się i otworzył drzwi bocznego wejścia. Dzięki Ci, Panie, wchodźcie.

Rzemieślnicy i zakrystian zniknęli w cerkwi. Tim dał Kotletowi cztery kulki. Chłopcy rzucili losy i pierwszeństwo przypadło Timowi. Tim podszedł do linii, podrzucił kulke na dłoń, starannie się przymierzył.

Nagle zaszczekał pies, który zaczął biegać po placu podnosząc pysk.

Tim spojrzał w górę i na balustradzie dzwonnicy zobaczył dwóch rzemieślników. Chłopak w kraciastej koszuli przewiesił przez ramie zwój sznura i trzymając się piorunochronu wdrapywał się na krytą dachówką kopułę, która z dołu wydawała się nie większa od tulipana. Spłoszone gołębie, jak listki herbaciane w szklance, krążyły nad złożonym kurkiem wieńczącym przechyloną iglicę.

- A niech to - powiedział Kotlet.

Chłopcy przerwali grę i podbiegli bliżej cerkwi, skąd lepiej było widać dzwonnice i człowieka na niej. Zbierali się gapie.

- Ryzykant - mówił blacharz Datt, zadzierając głowę. Ja bym tak nie mógł, za żadne skarby.

- Żeby tylko nie zleciał - niepokoił się staruszek Nall. - Tam już dawno wszystko zgniło i przerdzewiało.

- Nie bój się - uspokajał kowal Chortis. - Jak wlezie na górę przywiąże się sznurem.

Wstrzymując oddech Tim patrzył jak na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości powiewa kraciasta koszula. Wreszcie śmiałek dotarł do iglicy, zarzucił sznur, a jego koniec spuścił swojemu koledze. Później wyprostował się i trzymając się kurka pomachał ręką ludziom na placu.

I w tym momencie iglica z trzaskiem przechyliła się na bok. Rzemieślnik stracił równowagę, zamachał rękami, upadł i zaczął ześlizgiwać się w dół. Cudem zdążył w ostatniej chwili uchwycić sznur, spadł z kopuły i kołysząc się zawisnął nad placem.

Rozległy się okrzyki przerażenia. Łaciaty pies zaczął kreć się niespokojnie i poszczekiwać.

Wyginając ciało chłopak starał się podciągnąć, uchwycić sznur wyżej. Z trudem zdołał trochę się wspiąć i sięgnąć do rynny. Trzymając się jej rzemieślnik próbował zarzucić nogę na gzyms, ale rynna wygięła się i chłopak zawisł na niej wczepiony palcami w gładką blachę. Jeszcze sekunda i spadnie - albo ręce się ześlizgną, albo oberwie się rynna. Chłopak wisiał nieruchomo pod gzymsiem, zdając sobie sprawę z beznadziejności sytuacji i czekając na nieuchronną śmierć. Łagodny wiatr unosił brzeg koszuli.

I w tym momencie Tim przestał panować nad sobą i tracąc dech poczuł, że ziemia wymknęła mu się spod nóg. Tak jakby to plac opadał w dół i błyskawicznie ma-



łał. Horyzont podnosił się razem z chłopcem, miasteczko było jak na dłoni, w oddali wyrosły pokryte lasem wzgórza, między którymi wiała się rzeka. Ale chłopiec nie zauważył tego; widział tylko wiszącego na dzwonnicy człowieka. Tim doleciał do niego i żelaznym uściskiem chwycił go za pasek.

– Odwagi! – krzyknął chłopiec.

Wyteżając wszystkie siły próbował dostać się ze swoim ciężarem na gzyms. Nagle na jego twarz padł cień. Podniósł głowę i zobaczył, że staruszek Nall, rozpostarty w powietrzu, trzyma chłopaka za nadgarstki. Czyjeś ramie dotknęło Tima. To Kotlet podtrzymywał nogę rzemieślnika. I jeszcze czyjś oddech poczuł tuż obok... I jeszcze czyjś...

– Hej, wszyscy razem, pomaleńku w dół – zakomenderował Nall.

– Ej, ostrożnie...

– To ty się nie rozpychaj, do licha...

– Nie tak szybko...

– Mocniej trzymaj, ośle...

Dziwaczna kiść ludzkich ciał miękko opadała z dzwonnicy. Pies biegał w koło po pustym placu i wył jak opętany.

– Uff-ff...

– Nareszcie...

Na ziemi utworzył się nieforemny stos rąk i nóg. Docinając sobie bez złości ludzie podnosili się i rozchodzili. Rzemieślnik siedział na ziemi i oszołomiony rozglądał się dookoła.

Staruszek Nall wstał i odszedł. W drugą stronę skierował się zakrystian Mattas. Za nim poszli Datt i Storgen; w milczeniu i pospiesznie, nie patrząc na siebie, rozchodzili się kolejno mieszkańcy miasteczka.

– Chodź – Kotlet pociągnął Tima za rekaw.

Chłopcy zniknęli za cerkwią, w ślad za nimi podreptał łaciaty pies.

– Stójcie, dokąd idziecie? – wyszeptał rzemieślnik.

Plac opustoszał.

Głuptas Fabi

(*Duraczok Fabi*)

– **A** więc jest pan doktorem... – mruknął Biunk, wsuwając zadatek do górnej kieszeni kombinezonu. – Wszystko jasne...

– Szyld potrzebny jest na poniedziałek – powiedział młody lekarz. – Mam nadzieję, że pan zdąży.

– Więc doktor – powtórzył Biunk. – To ci dopiero. A co pan zamierza u nas robić?

– Chcę otworzyć prywatną praktykę. O ile wiem, w miasteczku nie ma żadnego lekarza.

– Zgadza się. Ostatni dał drapaka ze dwadzieścia lat temu. Bywały tutaj co prawda przyjezdne zuchy jak pan. Żaden nie wytrzymał dłużej niż miesiąc.

Rozmówca Biunka zmierzał już do wyjścia, ale jeszcze zatrzymał się na progu.

– Czy było tak dużo pacjentów?

– Przeciwnie, doktorku, w tym cały dowcip. U nas w miasteczku nikt nie choruje.

– Za pozwoleniem... Jak to, nie choruje?

– No nie. Chyba, że ktoś utonie albo pójdzie na noże o dziewczynę. Ale pan przecież nie robi trumien, prawda?

Był u nas jeden co robił trumny, ale zapił się z nudów. Teraz trumny zamawiają u mnie. Ostatnią zbiłem trzy lata temu, kiedy staruszek Hages pomylił esencję octową ze spirytusem. Tak to wygląda, doktoru.

- Dziwne. Bardzo dziwne. Wczoraj wynajęłem pietro w domu niedaleko stąd. Gospodarz wie, że jestem lekarzem, ale nic mi nie mówił.

- Bo pewnie pan nie pytał.

- Ależ nie, spytałem, czy to prawda, że tu nie ma lekarzy. Odpowiedział, że prawda.

- A co miał jeszcze mówić! Zapłacił pan?

- Oczywiście, za miesiąc z góry...

- Jasna sprawa. Kto ma ochotę stracić lokatora. Pomieszka pan miesiąc, odpocznie. Okolicę mamy piękną, lepszego powietrza nigdzie pan nie znajdzie. I wikt tani. A co do praktyki, doktoru, niech pan to sobie wybije z głowy. Sztyld panu wykombinuje, bo już wziąłem zadatek, ale niech pan pamięta, że jest pan tutaj potrzebny, jak...

Biunk szukał najmniej obraźliwego porównania.

Doktor nerwowo gładził swoją ciemnoblond brodkę, którą niedawno zapuścił, żeby dodać twarzy powagi.

- Zobaczymy - powiedział wyzywająco. - Sądze, że jak dobrze poszukać, to chorzy się znajdują.

- Dopomóż Bóg - powiedział z ironią Biunk.

Rozmówcy stali w drzwiach warsztatu, skapani w mieszaninie zapachu kleju kostnego, opiłków, proszku lutowniczego i nie wiadomo czego jeszcze.

Nad nimi widniał jaskrawy sztyld:

ANWER BIUNK
MAJSTER DO WSZYSTKIEGO
Porady małżeńskie i rodzinne
udzielane są bezpłatnie

... trzeba pójść do tego z największego domu nie najpierw zajrzeć do kędzierzawej czy wszystko w porządku bo u niej to już długo nie potrwa i przy okazji do jej ojca coś mi się nie podoba jego pik-pik-pik zbadam kędzierzawą i ojca i pójdę do tego z największego domu jeśli nie przepędzą znowu nie dają przyjrzyć mu się z bliska a ja czuję że trzeba jak najszybciej go leczyć ale z daleka nie widzę na co wpaść do chudego już z nim dobrze ale może grudki zostały we krwi że też od razu go nie zauważyłem mało się nie spóźniłem ale do niego wpadnę później najpierw koniecznie do kędzierzawej ten przyjezdny miał we krwi takie obrzydliwe białe kłaczkki prawie wszystkie powyciągałem ale nie zdążyłem on wyjechał i kędzierzawa bardzo płakała w brzuchu ma maleństwo i też pojawiły się białe kłaczkki wszystkie wyciągnąłem i długo trzeba było leczyć maleństwo ojciec kędzierzawej mówił nie patrz na niego bo urodzi się taki jak on i wyganiał mnie a ja mimo wszystko chodziłem leczyć maleństwo i teraz ono wyjdzie z brzucha zdrowe i o czasie i bez kłaczek...

- Nic a nic panu nie wyjdzie, doktoru. Mówię to panu. Chyba, że będzie się pan pokazywał za pieniądze. Prawdziwy doktor to u nas osobiwość.

- Zobaczymy - powiedział lekarz już bez poprzedniej stanowczości i włożył kapelusz. - Ale, ale, chciałem zapytać, jakich konsultacji pan udziela?

- Po prostu. Jeśli jakiś dureń zapyta, ojculku Biunk, masz, powiadają, duże doświadczenie życiowe, powiedz, mam się żenić, czy nie, mówię mu: rób, jak chcesz, i tak później będziesz żałował.

- To, jeśli się nie mylę, słowa Sokratesa?

- Kogo, kogo? - zapytał Biunk.

... jeśli zdąży pójdę do tej która daje smaczne kurze kosteczki jej czaszka z prawej strony w każdej chwili może pęknąć w środku trzeba badać i leczyć jeśli nie zdąży to jutro do niej pierwszej pójdę a obok niej ten co gra

w piłkę żeby mu rosła nieprawidłowo ale nie wiem co zrobić i mieszka tam jeszcze zły staruch który rzucił we mnie polanem i zranił mnie w nogę zaczynają się u niego kamyczki trzeba je rozdrobnić a wtedy wszystkie je wysika zdaje się o nikim nie zapomniałem tylko ten z największego domu w żaden sposób nie mogę się do niego dostać a koniecznie muszę przyjrzyć mu się z bliska ..

Z warsztatu wychodziło się na mały plac, albo jak kto woli duże skrzyżowanie. Po obu stronach najbliższej ulicy znajdowały się dwie restauracje - „Smakowity odpoczynek” i „Wesoła paczka”. Pod szyldem pierwszej z nich wisiał transparent z kuszącym napisem: *Tu gotują z nałchnieniem*. Front konkurencji zdobił późniejszy napis: *A tu gotują z masłem*. Obydwa bez wątpienia wyszły spod pedzla Anwera Biunka.

- Wesołe to wasze miasteczko - powiedział lekarz patrząc na szyldy. - Jednego tylko nie mogę zrozumieć: jakim cudem do dzisiaj nikt o was nie słyszał? To przecież sensacja.

- Jesteśmy ludźmi cichymi, skromnymi - odpowiedział Biunk.

... o mały włos zapomniałbym do tego nosatego w okularach zdaje się znowu zaczyna kasłać ale to bardzo proste i do tego po drodze a z kędzierzawą wszystko w porządku i jej ojcu pik-pik-pik poprawilem a przecież mogło być pięknie ale na czas zauważyłem jeszcze trochę a byłoby patrzcie stoi ten co się zawsze wyśmiewa i obok nieznajomy z bródką nieznajomemu w brzuchu rośnie niedobre ziarenko wykrzywiły się spreżynki jeśli wyrośnie i będzie ich dużo i przenikną do krwi może umrzeć trzeba leczyć dopóki ziarenko jest małe bo później będzie trudniej raz-dwa wyleczę i pójdę popatrzeć na...

- A to kto? - zapytał lekarz, odprowadzając wzrokiem przygarbioną postać w lachmanach.

- To Fabi, tutejszy pomyleniec. Niemowa.

- Ma niesamowicie magnetyczne spojrzenie. Popatrzył tak, że ciarki mnie przeszły.

- Tak, nieprzyjemnie, kiedy się tak wpatruje. Jakby przewiercał na wylot.

- Zauważył pan?! - krzyknął doktor. - On ma astmatyczny oddech. I na głowie grzybicę strzygącą. A pan mówił, że nie ma chorych.

- To prawda. On jeden jest taki, ale to nie ma znaczenia. I majątku pan na nim nie zbije, doktoru. Co najwyżej skapnie panu garść resztek na zapłatę.

- Mogłbym go leczyć bezpłatnie, skoro już tu jestem - powiedział w zamyśleniu lekarz.

- Najpierw niech go pan złapie - powiedział Biunk. - Chociaż jest chory, diabelnie szybko biega. A więc sztyld jest potrzebny na poniedziałek? Tak?

Przełożyła Izabela Orłowska

Nikołaj Leonardowicz GUDANIEC

Urodził się w roku 1957 w Rydze. Jest absolwentem wydziału filologii łamtejszego uniwersytetu. Wydał tom poezji (1980) i opowiadań (1984). Fantastykę drukował, jak na razie, tylko w czasopiśmie i antologiach, ale może się już pochwalić przekładami na wiele języków.

L.J.

Mając lat dziewięć, Harrison Wintergreen odkrył, że świat to jego broszka. Akurat w modzie było kolekcjonowanie kart baseballowych. Kto miał największą kolekcję, ten był Kimś. Harry Wintergreen postanowił, że zostanie Kimś.

Norman Spinrad

anioły R

(Carcinoma Angels)

Uskładał dolara i kupił za niego sto kart baseballowych, bez przebiegania, jak leci. Miał szczęście: w jego setce znalazł się niezwykle rzadki egzemplarz, z Yogi Berą. W wyniku trzech niezależnych transakcji, Harry wymienił pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kart na jedynych trzech Yogi Berów w okolicy. Tym samym zredukował swój stan posiadania do czterech kart, jednocześnie monopolizując rynek na odcinku Yogi Bery. Wyśrubował cenę do zawrotnej wysokości osiemdziesięciu kart. Użył skawczy w ten sposób olbrzymi majątek, tworzył kolejne monopole: na odcinku Willie Maysa i Pee Wee Reese'a, stając się w końcu J.P. Morganem od kart baseballowych.

W gimnazjum Harry'emu szło jak po maśle dzięki prostej a skutecznej metodzie polegającej na mistrzowskim opanowaniu jednej tylko umiejętności: sztuki zdawania testów. W ostatniej klasie potrafił przechrzyć każdego autora testów za pomocą ściągawki przymocowanej na plecach, i z palcem w nosie zdobył szereg wyróżnień.

Na studiach Harry odkrył Dziewczyny. Jako chłopiec w miarę przystojny i w miarę obyty, z pewnością nawet zwykłym trybem zebratby należny plon podbojów. Byłoby to jednak niezgodne z mentalnością Harrisona Wintergreena.

Harry starannie wypracował sobie umiejętność jakania się na zawołanie. Niewiele dziewcząt potrafiło się oprzeć urokowi przystojnego, obytego faceta o ujmującym sposobie bycia, który, jak widać, musiał tłumić w sobie jakieś zadawnione rany, skoro się jakal. Niejedna dziewczyna usiłowała zgłębić sekret Harry'ego, a Harry tymczasem zgłębiał je, jedną po drugiej.

Na drugim roku Harry'emu znudziły się studia i wymyślił sobie, że teraz zostanie Bogatą Świnia. Przez miesiąc pilnie studiował powieści o seksie po czym w ciągu dwóch następnych miesięcy sam napisał trzy takie powieści, które natychmiast spieniężył, biorąc po tysiąc za sztukę.

Uzyskawszy tą drogą trzy tysiące dolarów, kupił lśniącą limuzynę z otwieranym dachem. Nowym wozem udał się do granicy meksykańskiej, i dalej, do miasteczka przygranicznego, cieszącego się wyjątkowo złą sławą. Tam bezzwłocznie nawiązał kontakt z podejrzanym pucybutem i zakupił od niego funt marihuany. Pucybut zakapował go naturalnie do kontroli granicznej i kiedy Harry chciał przejechać mostem do Stanów, został przeszkany aż do majtek. Nic przy nim nie znaleziono i Harry przekroczył granicę. Z Meksyku nie szmuglował niczego, a rzeczoną marihuane wyrzucił gdzieś, ledwie ją kupił.

Skorzystał natomiast z obowiązującego w Meksyku embarga na wozy amerykańskie i nielegalnie sprzedał tam swoją limuzynę za 15 000 dolarów.

Owe 15 000 dolarów zawiózł następnie do Las Vegas, gdzie spędził sześć tygodni na fundowaniu przygodnym towarzyszom po barach, udzielaniu pożyczek spiłakom hazardzistom, krótko mówiąc – na działalności godnej Świętego Mikołaja. W ten sposób zdobył zaufanie piąckiej społeczności i stracił pięć tysięcy dolarów.

Pod koniec szóstego tygodnia miał dzięki nowym kolegom trzy pewniaki giełdowe, od których w ciągu następnych dwóch tygodni jego pozostałe 10 000 dolarów spuchło do 40 000.

Harry nabył czterysta zdezelowanych jeepów z demobilu, systemem hurtowym cztery razy po sto, płacąc po 10 000 dolarów za setkę i nie zwlekając odsprzedał je wyjątkowo niesławnemu rządowi Ameryki Środkowej za 100 000 dolarów.

Za sto tysięcy dolarów kupił wysepkę na Pacyfiku, na której nie było nic, do tego stopnia, że żaden rząd się do niej nie przyznawał. Harrison obwołał się tam niezależnym rządem, bez systemu podatkowego, a dwudziestu milionerom, którzy przybyli tam jak do podatkowego rajy rozprzedał 21-akrowe działki, po 100 000 za działkę. Ostatniej działki pozbył się na trzy tygodnie przed tym, jak Stany Zjednoczone, przy poparciu ONZ, wystąpiły z prawem własności wyspy i wciągnęły ją na listę klientów Państwowego Urzędu Podatkowego.

Niewielką część swoich 2 milionów dolarów Harry zainwestował w wynajęcie na dwanaście godzin dużego komputera. Komputer sporządził system zakładów, który pozwolił Harry'emu pomnożyć 2 miliony dolarów do 20 milionów, metodą rozbijania brytyjskich totalizatorów piłkarskich.

Za pięć milionów dolarów kupił od zubożalego sułtana olbrzymią polną pustynnego ugoru. Za następne dwa miliony wzniecił szeroko zakrojoną kampanię plotkarską, która rozniosła wieść, że właśnie ten kawałek pustyni tryska wprost ropą naftową. Dokończył jeszcze trzy miliony na stworzenie lipnej spółki, która udawała wielkie towarzystwo naftowe i otwarcie składała mu oferty zakupu pustyni za 75 milionów dolarów. Po ożywionym przetargu, lipna spółka przegrała transakcję z liczącym się amerykańskim towarzystwem naftowym, które odkupiło od Harry'ego tysiąc mil kwadratowych płachu za 100 milionów dolarów.

I tak, mając lat dwadzieścia pięć, Harrison Wintergreen zasłużył, według własnych kryteriów, na miano Bogatej Świni. Stracił zainteresowanie dla pieniędzy.

Postanowił, że teraz będzie Czynić Dobro. I czynił Dobro. Obalił śledem niesympatycznych rządów w Ameryce Łacińskiej i zastąpił je sześcioma socjaldemokracjami oraz jedną Dyktaturą Dobrej Woli. Nawrócił plemię łowców głów z Borneo na wiare Różokrzyżowców. Założył dwanaście domów opieki dla podstarzałych prostytutek i zorganizował program kontroli urodzin, który pozwolił wysterylizować dwanaście milionów płodnych kobiet hinduskich. Na powyższych przedsięwzięciach udało mu się zarobić kolejne sto milionów dolarów.

Mając lat trzydzieści Harrison Wintergreen dał sobie spokój z Czynieniem Dobra. Postanowił Odcisnąć Swój Ślad na Piaskach Czasu. I odcisnął. Napisał światowej sławy powieść o Królu Faruku. Wynałazł Filtr Wintergreena – membranę, która przepuszczała czystą wodę, jednocześnie zachowując sole. Zakład Desalinizacji Wintergreena odsalał nieograniczone zasoby wody, a koszt operacji w przeliczeniu na jeden galon był bliski zera. Namalował jeden obraz, za który z miejsca zaoferowano mu 200 000 dolarów. Podarował go Muzeum Sztuki Współczesnej. Wyhodował mutantą wirusa, który niszczył bakterie syfilisu. Podobnie jak syfilis, wirus ów przenosił się drogą płciową. Działalność zarazem jako umiarkowany afrodyzjak. W ciągu osiemnastu miesięcy syfilis przestał istnieć. Harrison Wintergreen kupił sobie wyspę u wybrzeży Kalifornii – pięćsetstopowej wysokości skałę wysuniętą w głąb Pacyfiku. Kazał ją przekuć na pięćsetstopowej wysokości statue Harrisona Wintergreena.

Mając lat trzydzieści osiem, Harrison Wintergreen naodcisnął już dość śladów w Piaskach Czasu. Czuł się znudzony. Chciał się rozglądać za nowymi światami do podboju.

Tego właśnie człowieka, kiedy miał lat czterdzieści, poinformowano, że ma zaawansowanego, nieuleczalnego raka z przerzutami i że pozostał mu jeden rok życia.

Pierwszy miesiąc ostatniego roku życia Wintergreen spędził na poszukiwaniu istniejących remediów na nieuleczalną chorobę raka. Odwiedzał laboratoria, uczelnie medyczne, szpitale, kliniki, Wybitnych Lekarzy, szarlatanów, ludzi, którzy doświadczyli cudownego ozdrowienia z raka, uzdrowicieli i babki-zielarki. Nie znalazł lekarstwa na śmiertelną odmianę raka, czy to oficjalnie akceptowanego, czy też nie. Tak podejrzewał, a właściwie nawet – taką miał nadzieję. Teraz już wiedział, że będzie zmuszony działać na własną rękę.

Przez najbliższych sześć miesięcy szykował sobie grunt do działania na własną rękę. Pośrodku pustyni w Arizonie polecił wznieść klimatyzowaną willę otoczoną murem. Willa wyposażona była w automatyczną kuchnię i zapas żywności na rok. Mieściło się w niej laboratorium biologiczno-biochemiczne wartości pięciu milionów dolarów. Także biblioteka mikrofilmów zawierająca wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat raka, wartości trzech milionów dolarów. Także superapteka: obfitość wszelkich istniejących środków medycznych – trucizn, środków przeciwbólowych, halucynogennych, antyseptycznych, antybiotyków, leków na bóle głowy, heroiny, chininy, kurary, maści żmijowej – dosłownie wszystkiego. Apteka miała wartość dwudziestu milionów dolarów.

W willi był również radiotelefon, działający tylko w jedną stronę, spory zapas podstawowych chemikaliów, z radioaktywnymi włącznikami, Koran, Biblia, Księga Tory, Księga Zmarłych, Nauka i Zdrowie z Kluczem do Pisma Świętego, I King, a także komplety dzieł Wilhelma Reicha i Aldousa Huxleya. Był tam również bardzo duży i superkosztowny komputer. Pod koniec urządzania willi, zasoby Wintergreena przeznaczone na drobne wydatki były bliskie wyczerpania.

Mając dziesięć miesięcy na dokonanie tego, co świat medycyny uznał za niemożliwe, Harrison Wintergreen wkroczył w mury swej cytadeli.

Przez pierwsze dwa miesiące chłonił zawartość biblioteki, śpiąc po trzy godziny na dobę i regularnie zażywając benzedrynę. Biblioteka oferowała wyłącznie dane. Wintergreen przyswoił je sobie i przeniósł się do apteki.

Przez kolejny miesiąc wypróbował aureomycyny, bacitracyny, fluorek cynku, hexylresercinol, cortison, penicyliny, hexachlorophen, wyciąg z wątroby rekina i siedem tysięcy trzysta dwanaście innych cudów współczesnej medycyny. Wszystko bezskutecznie. Zaczął odczuwać bóle, które natychmiast zaczął uśmierzć – i odtąd już stale uśmierzal – morfina. Uzależnienie od morfiny było banalnym skutkiem ubocznym jego choroby.

Wypróbował szereg środków chemicznych: pierwiastki radioaktywne, wirycydy, metody nauki chrześcijańskiej, jogę, wlewy doodbytnicze, leki patentowe, wywary z ziół, zamawianie choroby i diety jogurtowe. Zajął mu to kolejny miesiąc, podczas którego dalej słabł z dnia na dzień, śpiąc coraz mniej, a zażywając coraz więcej benzedryny i morfiny. Nic nie skutkowało. Zostało mu sześć miesięcy.

Był bliski rozpaczy. Spróbował innym tropem. Zasiadł w wygodnym fotelu i przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy kontemlował własny pepek.

Skutkiem medytacji było poważne nadwężenie wzroku i dwa znamienne słowa: „spontaniczna remisja”.

Norman SPINRAD

Urodził się w roku 1940. Pisarz amerykański. Startował jako autor w latach sześćdziesiątych, stając się jednym z czołowych reprezentantów Nowej Fali – nurtu eksperymentującego, zwracającego się do wnętrza człowieka (tzw. Inner Space, czyli kosmos wewnętrzny), czerpiącego więcej z psychologii, socjologii i językoznawstwa, niż z fizyki i techniki.

Najważniejsze powieści Spinrada to „Buck Jack Barron” (1968) z obrazem zdegenerowanej i skorumpowanej Ameryki, w której dominującą rolę odgrywa telewizja i „The Iron Dream” (1972), w której Hitler wyemigrował do USA i realizuje swoje fantazje pisząc powieści typu „młeczka i magli”. Do najśmieszniejszych opowiadań tego autora należą drukowane tu „Anioły »R«” i „Coś pięknego” („Rakietowe zsiadki 2”). W zeszycie („czarna”) serii „Lekier” ukazały się dwa opowiadania Spinrada, dość przypadkowo wyrwane z jego twórczości. W najbliższym czasie postaramy się przedstawić nowelę „Jeździec na pochodni” (Riding the Torch) nagrodzoną Jupiterem w roku 1975.

L.J.

Podczas dwumiesięcznych badań źródłowych, Wintergreen natknął się na wiele opisów przypadków, w których nieuleczalny rak nagle się cofał, a pacjent, któremu już nie dawano żadnej nadziei, nagle okazywał się całkiem zdrowy. Nikt nie wiedział, jak to się dzieje, i dlaczego. Procesu remisji nie dawało się przewidzieć, ani też wywołać sztucznie, a jednak, co jakiś czas występował. Z braku naukowego wyjaśnienia nazwano go spontaniczną remisją. „Remisja” znaczy wyleczenie. „Spontaniczna” znaczy – diabli wiedzą, co ją wywołało.

Co przecież nie oznacza, że nie ma przyczyny.

Wintergreen nabrał otuchy; stał się wręcz optymistą. Wiedział, że są na świecie ludzie, którzy wyszli z nieuleczalnego raka. A zatem nieuleczalny rak bywa uleczalny. A zatem cały problem przenosi się z rejestru rzeczy niemożliwych w sferę wysoce mało prawdopodobnych.

A dokonywanie tego, co wysoce mało prawdopodobne było wszak specjalnością Wintergreena.

Mając przed sobą mniej więcej sześć miesięcy życia, Wintergreen ochotczy przystąpił do dzieła. Ze swego kompletnego zbioru publikacji o raku wyluskał wszystkie opisy spontanicznej remisji. Każdy z nich zakodował do komputera: dane o historii choroby, rodzajach terapii, wieku, płci, religii, rasie, wierze, barwie skóry, narodowości, temperamencie, stanie cywilnym, współczynniku Duna i Brandstreeta, nerwicach, psychozach i ulubionym gatunku piwa. Komputer Harrisona Wintergreena został tym samym zasiedlony pełnymi sylwetkami znanych historii medycyny istot ludzkich, wyleczonych z nieuleczalnego raka.

Wintergreen zaprogramował komputer na przeprowadzenie wszystkich możliwych korelacji między 10 tysiącami oddzielnych i rozmaitych czynników a spontaniczną remisją. W przypadku, gdyby którykolwiek z czynników – wiek, konto kredytowe, ulubiona potrawa, wszystko jedno co – korelował ze spontaniczną remisją, czynnik spontaniczności uległby usunięciu.

Za ten komputer Wintergreen wybułił 100 milionów. Był to najdoskonalszy komputer na świecie. Wykonał zadanie w dwie minuty 7,894 sekundy. Odpowiedź przekazał Wintergreenowi w jednym dosadnym słowie:

– Negative.

Spontaniczna remisja nie korelowała z żadnym czynnikiem zewnętrznym. Była rzeczywiście spontaniczna: przyczyna nieznana.

Człowiek mniejszego ducha załamałby się w tym momencie. Człowiek myślący bardziej konwencjonalnie znalazłby się w kropce. Harrisona Wintergreena jakby kto na sto koni wsadził.

Jednym zamasztysem pociągnięciem wykluczył cały wszechświat zewnętrzny jako czynnik w procesie spontanicznej remisji. A zatem, w jakiś sekretny sposób, jedynie ludzki organizm i/lub psychika mogły dokonać wyleczenia.

Wintergreen wyruszył na rekonesans i podbój wszechświata własnego wnętrza. Udał się do apteki i uwarzył trunek co się zowie. W największą z posiadanych strzykawek zlał co następuje: novokainę, morfinę, kurare, włut – rzadko spotykaną truciznę z Azji Środkowej, wywołującą czasową ślepotę, olfaktorcinę, produkowaną wedle ściśle tajnej receptury neutralizator woni, który zażywają hodowcy skunksów, tympanolinę – narkotyk, który czasowo wyłącza nerwy słuchowe (używany głównie przez wojujących na długie mowy senatorów), sporą dawkę benzydryny, kwas lyseryginowy, psilocybina, mekskalina, wyciąg z peyotlu, siedem innych nie do końca zbadanych i ściśle zakazanych halucynogenów, oko piławki i psi ożór.

Wintergreen wyciągnął się na swojej najwygodniejszej kanapie. Przemył spirytusem miejsce w zagłębieniu lewego łokcia i naszprycował się wiedznią polewką.

Serce załomotało. Krew wzburzyła się i poniosła tajemne chemikalia do wszystkich zakątków ciała. Novokaina wyłączyła nerwy wszystkich zmysłów. Morfina zlikwidowała wszelkie doznanie bólu. Włut spowodował pełne zaciemnienie. Olfactorcinę odciął dostęp wszelkim zapachom. Dzięki tympanolinie Wintergreen ogłuchł jak sędzia kolegium do spraw kodeksu drogowego. Kurara go sparaliżowała.

Wintergreen znalazł się sam we własnym ciele. Nie docierały do niego żadne bodźce zewnętrzne. Popadł w stan kompletnej bezzmysłowości. Pokusa osunięcia się w

blęka nieświadomość była nieodparta. Mimo że był człowiekiem wyjątkowo silnej woli, Wintergreen nie zdołałby utrzymać się w stanie świadomości bez pomocy. Odbrynie dawki benzedryny nie pozwoliły mu zapaść w stan uśpienia.

Nie spał, był czujny, sam we wszechświecie własnego ciała, pozbawiony rozpraszającego działania wszelkich czynników zewnętrznych.

Nagle – jeden, drugi, a następnie w kombinacjach, jak ciosy dobrego, szybkiego boksera wagi lekkiej, uderzył halucynogeny.

Organy zmysłów Wintergreena były co prawda nieszkodliwe, lecz ośrodki mózgu, odbierające dane zmysłowe działały nadal. To właśnie centra kory mózgowej zostały zaatakowane przez halucynogeny brawurową szarżą: Wintergreen ujrzał zwidły kolorów, kształtów, rzeczy bez nazwy i formy. Słyszał nieznośne symfonie, widmowe echa, wycia, od których można oszaleć. Przez jego mózg przetoczyła się chmara niesamowitych woni. Targało nim tysiąc urojonych bólów i ciśnień, jak gdyby mu amputowano całe ciało. Ośrodki zmysłowe mózgu Wintergreena działały jak potężnej mocy odbiorniki radiowy, nastrojony na martwą falę, pełną wzrokowych, słuchowych, zapachowych i dotykowych szumów bez żadnego znaczenia.

Narkotyki blokowały zmysły. Benzedryna podtrzymywała świadomość. Czterdzieści lat bycia Harrisonem Wintergreenem utrzymywało go w stanie opanowania i zdrowia psychicznego.

Przez niezdefiniowany czas poddawał się impulsom, próbując wyczuć obce, nowe nie-środowisko. Potem stopniowo, zrazu niepewnie, ale z rosnącą stanowczością, Wintergreen począł kontrolować rozwój procesu. Umysł jego wytwarzał nieprawdziwe, za to użyteczne, analogie do działań, które nie były działaniami, stanów istnienia, które nie były stanami istnienia, doznań zmysłowych niepodobnych do jakichkolwiek doznań zmysłowych, doświadczanych normalnie ludzkim umysłem. Analogie te, tworzone przez jego podświadomość na podobieństwo wykałkulowanego obłędu, na rzecz brutalnej przemiany niepojętego w uchwytne, pozwalały mu zarazem postępować z nie-środowiskiem, jakby to było środowisko, metodą przekładania zmian mentalności na ich odpowiedniki w konkretnych działaniach.

Wyciągnął analogo-rekę i przełączył nie istniejące radio na odbiór wewnętrzny: z martwej fali ubocznego wszechświata zewnętrznego na nieużywaną dotąd częstotliwość własnego organizmu, wszechświat wewnętrzny, będący jedyną ucieczką umysłu od chaosu.

Nastroił, wyczelował odbiór, wzmocnił ton, nateżył się, poczuł, jak jego umysł uciska błona cienkości atomu. Z całą siłą naparł na tę błonę, będącą analogią przezroczystego ekranu, który oddzielał jego umysł od wszechświata wewnętrznego, ekranu, który rozciągał się elastycznie, wyrzyszał do środka, stawał się coraz cieńszy... aż wreszcie pękł. Jego analogo-ciało przeszło na drugą stronę lustra jak Alicja w Krainie Czarów na drugą stronę zwierciadła.

Harrison Wintergreen znalazł się we własnym wnętrzu.

Był to świat cudów i ohydy, majestatu i śmieszności. Optyka Wintergreena, która przez analogię stała się ciałem wewnątrz jego rzeczywistego ciała, mieściła się w rozległej sieci pulsujących arterii, przypominającej monstrialne rozgałęzienie dróg i szos. Analogia skrytykowała się. Wintergreen istotnie prowadził samochód labiryntem szos. Z nabrzmiałych saków wypadały w sam środek gęstego ruchu rozmaite przedmioty: hormony, wydaliny, pokarm. Białe ciała krwi przemikały obok niego jak rozpedzone taksówki. Ciała czerwone posuwały się wolno i metodycznie, jak pojazdy solidnych mieszczan. Ruch wzmagął się i gestniał, jak na skrzyżowaniu w godzinie szczytu. Wintergreen jechał naprzód i szukał, bezustannie szukał.

Dal sygnał skrętu w lewo, przeciął trzy pasy i skręcił w stronę węzła limfatycznego. I wtedy ujrzał to, czego szukał: stertę białych komórek, widok jak po karambolu dwunastu samochodów, w jego stronę mknął wyszczerzony od ucha do ucha motocyklista.

Motocykl – czarny. Skórzany strój – czarny. Twarz motocyklisty – czarna, matowoczarowa – z wyjątkiem pary szklistych krwistoczerwonych oczu. Na piersi i plecach

kurtki motocyklisty nabite były szkarłatnymi ćwiekami litery, układające się w napis: „Czarne Anioły Raka”.

Jednym dzikim zrywem Wintergreen nacelował swój analogo-samochód prosto na wyimaginowanego motocyklistę, prosto na komórkę rakową.

Trzask! Prask! Huk! Samochód Wintergreena zdruzgotał motocykl, motocyklista eksplodował w chmurę drobnutkiego czarnego pyłu.

Wintergreen dalej krążył po szosach własnego systemu krwionośnego, pełnym gazem prął przez arterie, przemierzał wstęgi żył, cał po cału przedzierał się przez wąskie uliczki naczyń włosowatych, cały czas wypatrując motocyklistów w czerni, Czarnych Aniołów Raka, których kruszył w pył pod kołami swojego wozu.

I oto znalazł się w mrocznej, wilgotnej puszczy własnych płuc, na grzbiecie śnieżnobiałego analogo-konia, z wyimaginowaną lancą czystego światła w dłoni. Spoza gruzłowatych konarów rosnących drzew worków płucnych wyzierały raz po raz krwiożercze czarne smoki o krwistoczerwonych oczach i drgających czerwonych jęzorach. Świety Wintergreen spał konia ostrogami, opuścił ostrze lancy i jał nim dągać smocze cielska, póki święty las płuc nie uwolnił się całkiem od smoków.

Teraz unosił się w przepastnej wilgotnej jaskini, widząc nad sobą niewyraźne bulwiaste zarysy gigantycznych organów, pod sobą zaś bezmiar połyskliwej, śliskiej równiny otrzewnej.

Spoza osłony wielkiego pulsującego serca wyleciała na niego z ogłuszającym rykiem formacja czarnych myśliwców ze szkarłatnymi oznaczeniami „R” na skrzydłach.

Wintergreen wcisnął gaz i wzniósł się ponad bandytów, kierując na nich ogień maszynowy, od którego najpierw pojedynczo, a potem po kilka naraz, myśliwce spadały w płomieniach na widniejące w dole pole otrzewnej.

Czarno-czerwony wróg atakował w tysiącu odmian i przebrań. Czern – kolor zagłady, czerwień – kolor krwi. Smoki, motocykliści, samoloty, morskie stwory, żołnierze, czołgi i tygrysy, w naczyniach krwionośnych, w śledzionie, w klatce piersiowej, w pecherzu – wszystko to były Czarne Anioły Raka.

Wintergreen toczył z nimi analogo-boje w równie licznych wcieleniach – jako automobilista, rycerz, pilot, nurek, żołnierz, przewodnik stada sioni, z ponurą radością dzikusa zaśmiecał pola bitwy własnego ciała czarnym pyłem upadłych Aniołów R.

Walczył i walczył, zabijał i zabijał, aż w końcu...

W końcu stanął po kolana w morzu soków trawiennych, bijących falą o ściany wilgotnej, piwnicznej jaskini, którą był jego żołądek.

Z przeciwka maszerował ku niemu na chitynowych odnóżach obrzydliwy czarny krab o krwistoczerwonych oczach, pokraczny, niezadarny, prymitywny.

Chruszcząc i klekocząc, krab spieszył ku niemu poprzez jego własny żołądek. Wintergreen przystanął, wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i wyskoczywszy jak najwyżej w powietrze, wyładował oblema stopami na twardym czarnym pancerzu.

Jak wysuszona słońcem tykwa, krucha, pusta w środku, krab skruszył się pod jego ciężarem na milion pylistych cząstek.

Wintergreen został sam, nareszcie sam i zwycięski: Czarne Anioły Raka zostały co do jednego wytrzebione i pokonane.

Harrison Wintergreen, sam jeden we wnętrzu własnego ciała, po raz kolejny zwycięski i żądny nowych światów do podboju, czeka aż minie działanie narkotyków, czeka na powrót do świata, który przecież zawsze był jego broszką.

Czeka. I czeka. I czeka.

Wybierzcie się do najbardziej ekskluzywnego sanatorium na świecie: spotkacie tam Harrisona Wintergreena, który sam siebie uczynił Bogatą Świnia, Harrisona Wintergreena – Dobroczyńcę Ludzkości, Harrisona Wintergreena, który Odcisnął Ślad w Piaskach Czasu, Harrisona Wintergreena – katatoniczną roślinę.

Harrisona Wintergreena, który zstąpił do wnętrza własnego ciała, aby walczyć z Czarnymi Aniołami Raka i zwyciężyć.

A teraz nie wie, jak wyjść.

Przełożyła Jolanta Kozak

Tym razem miała na sobie białą koszulkę, nowiutkie beżowe dreluchy i tradycyjne, zniszczone tenisówki: zawadiaka.

- Co porabiacie?

Skąd wiedziała, że jesteśmy na cmentarzu? Przypadek? Zdawało mi się, że po drodze widział nas jedynie ksiądz, a i to raptem przed paroma minutami. Nawet jeżeli do niej zadzwonił, to jak się tu dostała tak szybko – statkiem kosmicznym?

- Przeprowadzamy pewne badania. Tomasz odkrył, skąd pani ojciec brał nazwiska dla postaci z „Nocnych wyścigów w głąb Anny”. Przeprowadził mnie tutaj, żeby zobaczyć.

Moja głowa wykonała pełny obrót, całkiem jak głowa Lindy Blair w „Egzorcystie”. Ja odkryłem?

- I co, bardzo się zdziwiliście?

- Zdziwiliśmy? Ach, tym? Tak. Nie. Właściwie to chyba tak.

Cały czas zastanawiałem się, dlaczego Saxony zełgała. Czyżby chciała podnieść prestiż mojej osoby w zimnych oczach Anny?

- Kogo teraz odwiedzacie? Gerta Inklera. Ojciec nigdy nie użył go w książce.

- Tak, wiemy. To ten, który chciał obejść świat dookoła. Udało mu się?

Uśmiech pierzchnął z jej twarzy nie pozostawiając śladu. Jej oczy rzeczywiście potrafiły się stać malutkie i okrutne.

- Skąd o tym wiesz?

- „Dworce kolejowe Ameryki”.

Moja odpowiedź nie wywołała słońca spoza chmury. Jej spojrzenie przypominało mi, jak potraktowała Ryszarda Lee, wtedy w lesie. Nie była to ognista furia, przed którą mnie ostrzegał Dawid Louis, ale mrozący krew w żyłach, twardy gniew.

- Bibliotekarka pokazała mi ulubioną książkę twojego ojca. Te o stacjach kolejowych Ameryki. Przerzucając ją, znalazłem na marginesie charakterystykę Inklera. Mam ją przepisana w domu, możesz sprawdzić.

- Widzę, że oboje pilnie odrabiacie pracę domową. A co będzie, jeżeli nie autoryzuje biografii?

Popatrzyła mi prosto w oczy, a potem przeniosła wzrok ponad moim ramieniem na Saxony.

- Jeżeli miałaby się pani nie zgodzić, to po co byłaby pani dla nas taka miła? Dawid Louis twierdzi, że pani jest potworem.

Niezawodna Saxony. Taktowna, wrażliwa, zawsze z odpowiednim komplementem w odpowiednim czasie. Urodzona dyplomatka.

Przez moment miałem chęć osłonić głowę przed walką tytanów, ale – o dziwo – wcale do niej nie doszło. Anna tylko fuknęła, wsadziła ręce w kieszenie i pokiwała głową, jakby ją miała na sprężynie. Do góry, na górę, do góry, na dół...

Masz rację, Saxony. Lubie się czasami podrażnić, to fakt. Chciałam się przekonać, jak długo będziecie to znosić, zanim zapytacie wprost, czy możecie pisać książkę.

- No to pytamy wprost: możemy?

Pytanie miało zabrznieć bunczucznie i nonszalancko, a tymczasem wyczołgało mi się z gardła, jakby zleknlone światła dziennego.

- Owszem, możecie. Książka jest wasza, jeżeli rzeczywiście chcecie ją napisać. A jeśli się na mnie za bardzo nie gniewacie, pomogę wam, jak tylko będę umiała. Na pewno się przydam.

Poczułem przyptyw triumfu. Odwróciłem się do Saxony, żeby zobaczyć jej reakcję. Uśmiechnęła się, podniosła z ziemi biały kamyczek i cisnęła nim w moje kolano.

- No i co, Panna Madra?

- Co, no i co? – podniosła drugi kamyczek i znów rzuciła we mnie.

- Zdaje się, że kłamka zapadła.

Wzięłam ją za rękę. Ucisnęła moją dłoń i uśmiechnęła się. Potem odwróciła się do Anny i do niej też się uśmiechnęła. Córka France’a stała obok nas w całej swojej krasie, ale ta chwila należała do Saxony i do mnie. Chciałem, żeby Saxony wiedziała, jak bardzo się cieszę, że chwila ta nadeszła i że ona, Saxony, jest tu razem ze mną.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I

- Saxony, nie bierzesz chyba tych wszystkich kufrów? Myślisz, że to pociąg towarowy, czy co?

Do kompletu bagażu brakowało jej chyba tylko kufra okretowego z okuciami. Był tam już delikatny żółto-czerwony wiklinowy koszyk, sfatygowany plecak, wypchany jak wiejska kiełbasa, i stara, brązowa, skorzana waliza z mosiężnym zamkiem i narożnikami. Na tym wszystkim pietrzył się stos rzeczy prosto z pralni chemicznej, w plastikowych pokrowcach i na metalowych wieszakach.

Wykrzywnała się do mnie i obeszła samochód od tyłu. Otworzyła klapę i wstawiła na platformę furgonetki pierwszy ze swoich licznych kłopotów. – Tylko bez komentarzy, Tomasz. Miałam jak dotąd parszywy dzień. Nie dogaduję.

Zabębniłem palcami po kierownicy i spojrzałem w lusterko na swoje świeżo ostrzyżone włosy, zapytując sam siebie czy naprawdę było warto. Od tygodnia powtarzałem jej, że chcę podróżować z jak najmniejszym bagażem. Ponieważ od mojej wycieczki do Nowego Jorku widywaliśmy się niemal codziennie, nabrałem przekonania, że cała garderoba Saxony sprowadza się do trzech koszul, dwóch sukienek i białej kciocy przypominającej chłopskie giezło. Raz nawet chciałem jej kupić hinduską suknię, którą podziwiała na wystawie, ale się nie zgodziła, chociaż nalegałem.

- Jeszcze nie teraz – powiedziała, cokolwiek miało to znaczyć.

Co zatem trzymała w tych tobołach? Przyszedł mi do głowy koszmarny pomysł: jarzyny i podgrzewany półmisek! Będzie nam gotowała przez całą drogę do Galen! Chlebek bananowy... curry... jabłkowa herbatka...

- Co ty tam właściwie wieszysz, Sax?

- Nie ma powodu do wrzasków!

Spojrzałem na jej odbicie w lusterku: stała z rękami na biodrach. Przypominało mi się, jakie to ładne biodra, kiedy nie ma na nich żadnych ubrań.

- No dobra, przepraszam. Ale dlaczego bierzesz aż tyle?
Usłyszałem zgrzyt żwiru i oto Saxony stała koło mnie przy drzwiach samochodu. Popatrzyłem na nią, ale zajęta była rozpinaniem pasków wiklinowego kosza.

- Zobacz.

Kosz był pełen odrecznych notatek, wycinków z gazet, czystych notatników, żółtych okłówek oraz jej ulubionych pekatych różowych gumek do wycierania.

- To mój bagaż roboczy. Mogę go wziąć?

- Sax...

- W worku mam wszystkie ciuchy.

- Posłuchaj, nie mówiłem przecież...

- A w walizce jest para marionetek, nad którymi właśnie pracuję. - Uśmiechnęła się i zatrzasnęła zamki. - To jedna z rzeczy, do których będziesz musiał w związku ze mną przywyknąć: gdziekolwiek jadę, zabieram ze sobą całe moje życie.

- Mam nadzieję.

- Bardzo jesteś dowcipny. Nad wyraz.

Czerwcową ceremonią zakończenia roku szkolnego odbyła się kilka dni przedtem, więc teren szkoły, kiedy go opuszczaliśmy, był letnio-zielony, cichy i jakby smutny. Szkoły bez uczniów zawsze wydają mi się niesamowicie i groźne. Sale zanadto wysprzątane, podłogi przesadnie wyfroterowane. Kiedy zadzwonił telefon, jego echo niesie się przez cały gmach i trzeba ośmiu albo dziewięciu dzwonników, żeby ktoś go łaskawie odebrał albo żeby dzwonnicy zorientowali się, że nikogo nie ma i sam odłożył słuchawkę. Mineliśmy wielką, rudą brzoze, moją faworytkę, i uświadomiłem sobie, jak długo pod nią nie zasiadę.

Saxony sięgnęła ręką i włączyła radio.

- Smutno ci, że wyjeżdżasz, Tomaszu?

Leciał właśnie końcowy kawałek „Hej, Jude” i przypomniała mi się dziewczyna, z którą chodziłem w Nantucket, kiedy ta piosenka miała swoją premierę w latach sześćdziesiątych.

- Smutno? Tak, trochę. Ale i trochę się cieszę. Człowiek po jakimś czasie odkrywa, że mówi i porusza się jak w transie. Wyobrazasz sobie, że w tym roku cztery razy przerabiałem „Przygody Huckle”? To świetna książka, nie przeczę, ale doszedłem do tego, że już do niej nawet nie zaglądałem. Nie musiałem jej czytać, żeby móc o niej uczyć. Do kitu z taką robotą.

W milczeniu wysłuchaliśmy końcówki utworu. Zdaje się, że stacja, której słuchaliśmy, nadawała retrospektywny przegląd twórczości Beatlesów, bo zaraz potem puścili „Strawberry Fields Forever”. Wjechałem rampą na autostradę przelotową New England.

- Chciałeś kiedyś zostać aktorem? - zdjęła nitkę z rekawa mojej koszuli.

- Aktorem? O nie, nie po ojcu, za skarby świata.

- Pamiętam, jak się zakochałam po uszy w Stephenie Abbeyu, kiedy go zobaczyłam w „Nowicjuszach”.

Parsknąłem, ale nie odezwałem się ani słowem. Czy istniała na tym świecie osoba, która nigdy nie kochała się w moim ojcu?

Nie śmieję się ze mnie, naprawdę! - Była prawie obrażona. - Właśnie wtedy pierwszy raz poszłam do szpitala i rodzice kupili mi przenośny telewizor. Pamiętam to wszystko jak dziś. W cyklu „Filmy Za Milion Dolarów”, w którym ten sam film leciał zawsze codziennie po południu przez cały tydzień, obejrzałam wszystkie śledem projekcji „Nowicjuszy” i „Yankee Doodle Dandy”.

- „Yankee Doodle Dandy”?

- Tak, z Jamesem Cagneyem. Leżąc w szpitalu, kochałam się na zabój jednocześnie w Jamesie Cagneyu i w twoim ojcu.

- Długo tam leżałaś?

- W szpitalu? Za pierwszym razem cztery miesiące, a za drugim dwa.

- I co ci robili - przeszczepy skóry?

Nie odpowiedziała. Odwróciłem się i popatrzyłem na nią, ale jej twarz była bez wyrazu. Naprawdę nie

- Idziesz? Nie bój się, cmentarne krasnoludki nie gryzą.

- Już lece, proszę pani.

Dopędziłem ją i wziąłem za rękę.

- Patrz - wskazała stopą nagrobek.

- Ha! Brian Taylor. Coś podobnego! A tutaj - Anne Megibow. Rany Julek, rzeczywiście wszyscy tu są. Zaczynaj spisywać nazwiska, Sax, a ja się rozejrzę.

Prawde mówiąc, nie byłem zachwycony tym odkryciem. Niezależnie od romantycznej strony zagadnienia, wołałem, żeby moi bohaterowie karmili się czystym natchnieniem. Przygody, miejsca akcji, postacie, nazwiska - wszystko to powinno wychodzić wyłącznie od autora, a nie z cmentarza, książki telefonicznej, czy gazety. France stał się nagle dla mnie nieco zbyt ludzki.

Od czasu do czasu zdarzało się, że jakiś zajadły wielbiciel ojca sforsował kordon bezpieczeństwa otaczający nasz dom w Kalifornii. Ulubioną historią ojca w tej serii była opowieść „O Kobiecie Która Zadzwoniła Do Drzwi”. Dzwoniła tak długo i przeraźliwie, że ojciec uznał, iż na pewno coś się stało. Z zasady nigdy sam nie otwierał drzwi, ale tym razem zrobił wyjątek. Kobieta, dzierząża w dłoni jego fotos o wymiarach osiem na dziesięć cali, obrzuciła swoje bożyszcze baczny spojrzeniem i chwiejnie cofnęła się ze stopnia werandy.

- Dlaczego pan jest tak niski?! - zaszlochala spazmatycznie i oddaliła się we łzach.

Saxony miała rację co do nagrobków: były intrygujące i jakoś tak smutno piękne. Napisy na nich opowiadały dzieje cierpienia: o dzieciach urodzonych drugiego sierpnia, zmarłych czwartego sierpnia, o kobietach i mężczyznach, których dzieci poumierali na długo przed nimi. Łatwo było sobie wyobrazić parę małżonków w średnim wieku, którzy siedzą w ponurym, szarym domu, nie odzywając się do siebie ani słowem, a na kominku stoją zdjęcia ich zmarłych synów i córek. Niewykluczone, że znowu przez całe życie zwracała się do męża per „panie mężu”.

- Tomaszu?

Poprawiałem właśnie przysadzisty wazon z kwiatami u czyjegos wezgłowia. Kiedyś musiały to być nagietki, ale teraz wyglądały jak małe, sponiewierane kulki z krepiny.

- Tomaszu! Chodź tutaj!

Saxony znajdowała się w drugim koncu cmentarza, który opadał stokiem w jej stronę. Kuciała przy jakimś grobie, podpierając się dla równowagi. Wyprostowałem się, przy czym kolana strzeliły odgłosami dwóch suchych łamanych patyków. Okaz zdrowia i teźny fizycznej.

- Nie wiem, czy się ucieszysz. Tu leży twój przyjaciel Inkler.

- Bujasz!

- Tak jest, Gert Inkler. Urodzony w 1913, zmarł w 19... poczekaj chwilę - przetarła ręką powierzchnię szaroróżowego kamienia. - Zmarł 1964. Nie był taki stary.

- Oto cały pożytek z poznawania świata Cholera! Już myślałem, że dokonaliśmy wiekopomnego odkrycia, że trafiliśmy na bohatera Marshalla France'a, który nigdy nie pojawił się w żadnej z tych książek, a tu się okazuje, że to tylko jakiś sztywniak z miejscowego cmentarza!

- Przemawiasz jak Humphrey Bogart - „sztywniak z cmentarza”!

Nie zamierzałem naśladować Humphreya Bogarta, Saxony. Wybacz mi brak oryginalności, ale nie wszyscy jesteśmy twórcami.

- Daj spokój, Tomaszu. Czasami szukasz dziury w całym tylko po to, żeby sprawdzić, czy się złapię na twoją przynętę.

- Niespójna metafora.

Wstałem i otarłem dłonie o spodnie

- Bardzo przepraszam, panie profesorze.

Przerzucaliśmy się drobnymi złościami, aż w pewnej chwili Saxony zobaczyła coś za moimi plecami i umilkła. Umilkła, to za słabo powiedziane, cała jej twarz zamknęła się w jednej chwili jak lotnisko podczas zamieci.

- Przyjemne miejsce na piknik.

Wiedziałem, kto to jest.

- Hej, Anno.

Nazajutrz w kuchni, przy śniadaniu, zastanowiłem się na głos, skąd France mógł brać imiona dla swoich postaci. Było to coś, co mi się w jego książkach szczególnie podobało.

Saxony była właśnie w połowie grzanki obficie posmarowanej pomarańczową marmoladą. Ugryzła i wymamroła:

- Z cmentarza.
- Co ty wygadujesz?

Podniosłem się i nalałem sobie jeszcze jedną filiżankę ohydnej herbaty rumiankowej, którą Saxony przywoziła z domu. Moja matka miała zwyczaj moczyć w tym nogi. Miałem jednak do wyboru: albo pić rumianek, albo zdrowotną, bezkofeinową kawę firmy Uranus, zakupioną przez Saxony na podstawie rekomendacji pani Fletcher.

Saxony zatarła ręce, sięjąc na wszystkie strony grad okrucieństw.

Mówię ci przecież, z tutejszego cmentarza. Któregoś dnia spacerowałam się po okolicy. Za pocztą jest bardzo ładny kościółek, podobny do tych starych, angielskich kościółków, które widuje się na zdjęciach w kalendarzach i na pocztówkach. Wiesz - ciemny, godny, okolony kamiennym murem. Zaciekał mnie, więc podeszłam bliżej i zauważyłam na tyłach nieduży cmentarz. W dzieciństwie wiele bawiłam się w kalkowanie płyt nagrobnych i stąd mam nadal sentyment do cmentarza.

Zastrzygłem brwiami jak Peter Lorre.

- Hu-huuu! Ja również moja droga, ja również. Szczury i pajaki! Pajaki i szczury!
- Oj, przestań. Nigdy nie kalkowałeś płyt? To bardzo fajnie wychodzi. Tomaszu, przestaniesz wreszcie pajacować? Świetnie udajesz, wspaniale, jesteś urodzonym wampirem. Mam mówić dalej, czy nie?

- Mów, najdroższa.

Umieściła w tosterze kolejne dwie kromki pemoziarnistego chleba. Patrząc jak je, zastanawiałem się czasami, czy w poprzednim wcieleniu nie umarła z głodu.

- Łaziłam po tym cmentarzu i cały czas czułam, że coś jest nie tak, wiesz? Coś było nie w porządku, dziwnie, nienormalnie. Nagle zrozumiałam, co to jest. Wszystkie, albo prawie wszystkie, nazwiska na nagrobkach pochodziły z „Nocnych wyścigów w głąb Anny”.

- Nie wyglądasz się?

- Nie, naprawdę. Leslie Baker, Dave Miller, Irene Weigel... Wszystkie znalazłam na cmentarzu.

- Zgrywasz się.

- Skąd! Chciałam tam iść drugi raz, z notesem, i spisać te wszystkie nazwiska, a potem pomyślałam sobie, że może i ty będziesz chciał pójść, więc poczekałam na ciebie.

- Saxony, to fantastyczne! Czemu mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

Sięgnęła przez stół po moją reke. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej, zdaje się, lubiła dotykać mnie i być dotykana. Niekoniecznie w sposób erotyczny - chodziło jej po prostu o kontakt. Małe elektryczne połączenie na sekunde lub dwie, żeby to drugie wiedziało, że się jest. Ja też to lubiłem. Ale co interes, to interes, a interes z France'em był z tych grubszych, więc zmusiłem ją, żeby jak najszybciej dojadła grzanki i popędziłam na cmentarz.

W kwadrans później staliśmy przed wejściem do kościoła pod wezwaniem Świętego Józefa. Kiedy byłem mały, miałem wielu kolegów katolików, którzy mijając każdy kościół, żegnali się znakiem krzyża. Ponieważ nie chciałem się wyróżniać, koledzy nauczyli mnie, jak to się robi i ja również zacząłem się żegnać. Któregoś dnia jechałem z matką samochodem. Mijaliśmy kościół Marii Panny, a ja, jak przystało na wzorowego katolika, którym nie byłem, mimowolnie wykonałem znak krzyża, wzbudzając przerażenie mojej matki - metodystki. Po tym incydencie, mój psychoanalityk tygodniami wychodził z siebie, usiłując dociec, skąd u mnie taki impuls.

Kiedy tam staliśmy z Saxony, drzwi kościoła otworzyły się i wyszedł z nich ksiądz. Szybko pokonał strome kamienne schody i poczesłowawszy nas zdawkowym skinieniem głowy, pośpieszył dalej. Odwróciłem się za nim i widziałem jak wsiada do wiśniowego Oldsmobile Cutlass.

Saxony ruszyła do kościoła, a ja za nią. Dzień był wyjątkowo ładny: dość chłodno, silny wiatr miotał galeziemi drzew, wzbijając tumany letniego kurzu, a górą rozpruwał powłokę chmur jak na przyspieszonym filmie. Ostre i czyste słońce tkwiło jak pieczęć pośrodku kobaltowoniebieskiej koperty.

chciałem być wścibski i kiedy cisza przedłużała się, miałem nawet przez moment ochotę powiedzieć przepraszam, ale nie zrobiłem tego.

W górach, które widniały przed nami, zbierało się na solidną burzę, wjechaliśmy w obniżającą się zasłone dymnych, płowych chmur. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że tam, skąd przybywamy, nadal świeci słońce. Pomyślałem, że większość krzątających się tam w tej chwili ludzi nawet nie wie, co ich czeka w późniejszych godzinach popołudniowych.

- A kiedy przestałaś się kochać w moim ojcu?

- Tomaszu, naprawdę jesteś ciekaw, jak to było w szpitalu? Nigdy nie lubiłam o tym mówić, ale jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to ci powiem.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie wiedziałem, jak się zachować. Zanim jednak skończyłem się wahać, ona zaczęła opowieść

- Za pierwszym razem było okropnie. Pakowali mnie w takie specjalne kąpiele, żeby cała martwa skóra się złuszczyła i nowa mogła zacząć rosnąć. Pamiętam, była tam taka głupia pielęgniarka, panna Rasmussen, która się mną zajmowała i przemawiała do mnie jak do debila. Pamiętam właściwie tylko to, że strasznie się bałam i wszystkiego nienawidziłam. Teraz myślę, że wiele spraw objęłam blokadą pamięci. Za drugim razem było sporo terapii i wszyscy wydawali mi się o wiele sympatyczniejsi. Pewnie dlatego, że już wiedzieli, że będę chodzić. Odkryłam tam, że lekarze traktują człowieka znacznie bardziej... nie wiem, jak to powiedzieć - po ludzku, kiedy wiedzą, że wyjdzie z choroby.

Przez chmury przewinęła się żółta żmija błyskawicy, a tuż po niej rozległ się suchy trzask grzmotu, od którego zawsze się mimo woli podskakuje. Radio nadawało już właściwie czyste szumy, więc je wyłączyłem. Mimo że na przednią szybę zaczęły spadać krople deszczu wielkości szklanych kulek do gry, do ostatniej chwili czekałem z włączeniem wycieraczek. Przez otwarte boczne okienko czułem, jak zamiera letni upał, a powietrze staje się ciężkie. Wyobraziłem sobie mają Saxony Gardner siedzącą sztywno w szpitalnym łóżku, z dziecinnymi nóżkami obandażowanymi od góry do dołu. Był to obrazek tak smutny i wzruszający, że aż się uśmiechnąłem. Gdybym ja miał takie dziecko, kupiłbym mu taką masę zabawek i książek, że by się pod nimi udusiło.

- Jak to było, być synem Stephena Abbeya?

Nabrałem powietrza, żeby chociaż przez chwilę poczuła się skarcona. Odkąd byliśmy razem, nie zadawała wielu pytań na temat mojej rodziny, za co byłem jej, nie ukrywam, szczerze zobowiązany.

- Matka przeżywała go Punch. Czasami potrafił w środku dnia zejść z planu, wpaść do domu i zabrać wszystkich do gospody pod miasto albo na plażę. Latał, kupował nam hot-dogi i coca-cole, i bez przerwy pytał, czy to nie jest najwspanialszy dzień w naszym życiu. Chwilami działał jak maniak, ale nam się to strasznie podobało. Kiedy się za bardzo rozszalał, matka mówiła tylko: „Spokojnie, Punch” - a ja za każdym razem miałem ochotę ją za to zamordować. Ojciec zawsze i wszędzie musiał być duszą towarzystwa, a ponieważ tak mało bywał z nami, akceptowaliśmy go w całości i bez zastrzeżeń.

Deszcz lunął wreszcie w postaci przezroczystej kotary i słychać było, jak koła samochodu rozchlapują wodę. Jechałem wolnym pasem, a ilekroć mijał nas inny pojazd, w przednią szybę chlustały takie strugi wody, że biedne wycieraczki ledwo wytrąbiały. Błyskawice i grzmoty waliły teraz równocześnie, z czego wywnioskowałem, że burza stoi równo nad nami.

- Raz wziął mnie do studia, kiedy kręcił „Pożar w Virginii”. Muszę przyznać, że był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Pamiętam, że różni ludzie pytali mnie bez przerwy, czy choć lody, a potem zasnąłem i ktoś mnie zaniósł do jego garderoby. Kiedy się obudziłem, on stał nade mną jak biała góra i uśmiechał się tym swoim słynnym uśmiechem. Był w śnieżnobiałej koszuli i wielkim kremowym kapeluszu panaama z czarną wstążką.

Pokręciłem głową i postukałem palcami w kierownicę, żeby odpędzić wspomnienie. Cieżarówka firmy Grand Union, z przyczepą, przejechała obok nas w zwolnionym tempie.

- Kochałeś go?

Zadala to pytanie bardzo cicho i zaraz się cofnęła, chyba trochę przestraszona.

- Nie. Tak. Sam nie wiem - jak można nie kochać ojca?

- Jeszcze jak można! Ja mojego nie kochałam. Największe marzenie jego życia spełniło się w dniu, w którym jeden z jego uczniów dostał się na Harvard.

- Chcesz przez to powiedzieć, że twój ojciec był nauczycielem?
- Aha.
- Nigdy mi tego nie mówiłaś.
- Był. W dodatku uczył angielskiego.

Zerknąłem na nią ukradkiem: wydawała policzki tak, że wyglądała jak wiewiórka, która w każdym policzku chowa garść orzechów.

- Może i nie powinnam tak mówić, ale on był okropny, tak go przynajmniej pamiętam. - Położyła dłoń na desce rozdzielczej i wybijała nimi ciche afrykańskie rytmy. Bebnąc, mówiła dalej: - Jadł ananasy w plasterkach i czytywał na głos Hiawathe, mnie i matce.

- Hiawathe? - „U wybrzeży Giczi Gami, / Na jeziora samym dnem / Hiawatha z kolegami / Na pieniądze w karty rznie...”

- Pan też chyba uczy angielskiego, nieprawdaż?

Niebo tak bardzo pociemniało, że włączyłem reflektory i zwinilem do czterdziestki. Nieraz zastanawiałem się, jaka była Saxony jako dziecko. Ta niebrzydka, księżycowo biała twarz w miniaturze. Wyobrażałem ją sobie siedzącą w ciemnym kącie mrocznego pokoju, gdzie bawi się marionetkami aż do dziewiątej wieczór, bo o tej godzinie matka każe jej iść do łóżka. Opadające białe skarpetki, czarne lakierki ze złotymi klamkami.

- Wiesz, Tomaszu, że kiedy byłam mała, jedyną odświeżną rzeczą, na jaką sobie pozwalała moja rodzina, były wyjazdy do Peach Lake w letnie weekendy? Wracalam spalona od słońca.

- Coś podobnego. Jedyną odświeżną rzeczą, jaka mnie się w tym wieku zdarzała, było czytanie „Krainy Chichów” i picie piwa korzennego z dużych szklanych flaszek. A propos, nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziła piwo korzenne w dużych flaszkach?

- E tam, nie przesadzaj, nie powiesz mi chyba, że nie było fajnie obracać się w towarzystwie sławnych ludzi. Nie musisz mnie za wszelką cenę podnosić na duchu.

- Podnosić cię na duchu? Co ma piernik do wiatraka? Ty przynajmniej miałaś normalnego ojca! A być synem mojego ojca przypominało życie w pożłocianej klatce. Człowiek nie zdążył jeszcze ust otworzyć, a już każdy się do niego mizdrzył albo opowiadał, jak przepada za filmami „Papy”! A mnie te jego filmy gównie obchodziły. Byłem mały, na litość boską! Jedyną rzeczą, na której mi naprawdę zależało, był rower!

- Nie drzyj się.

- Nie mam obowiązku... - chciałem powiedzieć coś więcej, ale w tym samym momencie zobaczyłem zjazd na przydrożny parking, więc zamiast gadać, zająłem się manewrem. Kiedy w żółtym tempie jechaliśmy z autostrady, wokół nas było ciemno jak w nocy. Parking ledwo mieścił kempingówki i samochody osobowe z pękającymi bagażnikami na dachach. Spora część bagaży wydana została na pastwę deszczu: walizki, składane wózki dziecięce i rowery lśniły i ociekały wodą. Znalazłem miejsce, ale zanim je zająłem, o mało nie wpadł na mnie wycofujący się stamtąd biały fiat z rejestracją Oklahoma. W końcu wyłączyłem silnik i siedzieliśmy bez słowa, a deszcz walił w dach jak w beben. Jej rece leżały splecione w kolanach, ale moje nadal kurczowo ścisnęły kierownicę. Miałem ochotę wyrwać kołko z korzeniami i wrzucić jej z uroczystym ukłonem.

- No, dosyć tego, bedziesz coś jadła?

- Jadła? No wiesz? Przecież dopiero godzinę jesteśmy w drodze.

- W takim razie przepraszam, kochanie, jeszcze nie mam prawa być głodny, czy tak? Nie wolno mi jeść kiedy ty nie jesz, ani robić niczego, czego ty akurat nie robisz, dobrze mówię?

Wiedziałem, że zachowuję się jak gnojek, który właśnie odkrył istnienie zjawiska zwanego ironią, ale jeszcze nie bardzo wie, co się z nim robi.

- Lepiej się przyznaj, co? Idź, kup sobie bułkę z szynką, czy co tam chcesz. Możesz robić co ci się podoba. Niepotrzebnie się wściekasz.

W tej sytuacji musiałem pojąć. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że robie z siebie durnia, ale zabrnąłem w tym już tak daleko, że nie wiedziałem, jak przestać. Na jej miejscu miałbym siebie po dziurki w nosie.

- Ma pani na myśli Anne?

- Tak, tak. Nie tak głośno, proszę. Stawiam dowolną sumę na to, że się zgodzi.

Była to budująca wiadomość, nawet jeżeli pochodziła z tak dziwnego źródła. Nie rozumiałem tylko, dlaczego musieliśmy przejść aż na tyły sali, żeby bibliotekarka mogła mi powiedzieć, że jej zdaniem Anna ma zamiar pozwolić mi pisać książkę.

Ktoś wyjrzał na nas zza regału. Bibliotekarka zdjęła z wysokiej półki książkę o dworcach kolejowych.

- Tej właśnie szukałam! Proszę uprzejmie. - Odchyliła tylną okładkę i rzeczywiście - France wypożyczał tę książkę pięć albo sześć razy. Poza nim, na karcie książki było niewiele innych nazwisk. Kiedy czytelnik, który kreślił się w pobliżu nas, znalazł to, o co mu chodziło i poszedł sobie, bibliotekarka z trzaskiem zamknęła album o dworcach i wsunęła mi go pod pachę.

- Niech pan tak idzie. W ten sposób nikt nie będzie podejrzewał, że tu rozmawialiśmy. - Obejrzała się trwożnie i przez lukę między książkami na półce zerknęła w sąsiednie przejście między regałami, zanim zaczęła mówić dalej. - Wiem, że Anna już podjęła decyzję. Wszyscy to wiemy. Trudno zachować cierpliwość. Odkąd...

Odgłos zbliżających się kroków znów zatrzymał ją w połowie zdania. Tym razem na dobre, ponieważ młoda kobieta holująca za sobą małą dziewczynkę, domagała się książki o hodowli złotych rybek, której nie mogła znaleźć na półkach.

Poszedłem z albumem na swoje poprzednie miejsce w magazynie i zacząłem przerzucać kartki. Fotografie amerykańskich dworców kolejowych, jedna po drugiej.

Autor tekstu do zdjęć z niejaką egzaltacją wyrażał się o „przepychu” stacji w Walner, Mississippi - „przedwojennym majstersztyku architektonicznym” z trzema okienkami kasowymi zamiast jednego. Mimo to spędziłem jakiś czas z nosem w książce, ponieważ wyobraziłem sobie, że to samo robił kiedyś France: z niewiadomego dla mnie powodu, przedmiot książki bardzo go interesował. Przypominały mi się opowieści Lucentego o niedzielnych wycieczkach Marshalla France’a koleją i pocztówkami z fotografiami dworców w jego pokoju. Za trzecim kartkowaniem mój wzrok padł na Derek, Pensylwania. Spojrzałem raz, drugi, czy wyszły mi z orbit i jeszcze raz zacząłem w panice szukać tamtego miejsca, które już mi przeleciało, bojąc się, że kiedy je znajdzie, nie zobaczę tego, co widziałem za pierwszym razem. Ale zobaczyłem. Na marginesie strony widniały gesty notatki ołówkiem. Tylko kilka razy w zrywie widziałem pismo odręczne France’a, ale nie było wątpliwości. Ta sama starannie wydłużona kaligrafia. Notatki nie miały nic wspólnego ani z Derek, Pensylwania, ani z tamtejszą stacją kolejową. Wyglądało na to, że mój idol jak na artystę przystało, doznał w tym miejscu nagłej inspiracji i zapisał jej treść na pierwszym z brzegu kawałku papieru.

Notatka była opisem postaci nazwiskiem Inkler. Niektórych słów nie mogłem odcyfrować, ale ogólnie chodziło o to, że Inkler jest Austriakiem, który postanowił obejść świat dookoła. Żeby zdobyć fundusze na wyprawę, kazał sobie wydrukować pocztówki. Znajdowała się na nich jego fotografia wraz z psem bullterierem, którego zabierał w podróż do towarzystwa. Pod zdjęciem widniało nazwisko Inklera, informacja, skąd pochodzi, co zamierza, jak długi ma przed sobą podróż (60 tysięcy kilometrów), że wyprawa potrwa cztery lata i że pocztówka niniejsza jest formą zarobkowania na potrzeby rzeczony wyprawy. Uprasza się o skromny datek na ten szlachetny cel.

Dalsze notatki dotyczyły wyglądu Inklera, imienia psa, wyglądu psa, marszruty oraz niektórych przygód. Data zapisu opiewała na 13 czerwca 1947.

Przypisałem całość do notesu. Po raz pierwszy doznałem uczucia, że natrafiłem na ukryty skarb. W żadnej z książek France’a nie występował bohater nazwiskiem Inkler, byłem więc jednym z wąskiego grona wybrańców, którzy wiedzieli o istnieniu tej postaci. W swojej zachłanności, zastanawiałem się nawet przez chwilę, czy powiadomić Saxony o tym odkryciu. Tajemnica należała do mnie i do Marshalla France’a. Do Marshalla i do mnie... Jednak szlachetność zwyciężyła i powiedziałem jej. Była równie przejęta jak ja i cały następny dzień przesiedzieliśmy w bibliotece, mozoląc się nad resztą ulubionych, zdaniem bibliotekarki, lektur France’a. Dalszych odkryć nie poczyniliśmy, ale już sam Inkler miał się niebawem okazać twardym orzechem do zgryzienia.

Przejrzałem wszystkie książki France'a przez skojarzeniowe szkło powiększające, starając się doszukać zależności między nimi a Galen, ale poszukiwania speliły na niczym. Przyjąłem założenie, że France gromadził okruciny rzeczywistości, po czym przekształcał je nie do poznania dla własnych celów. Na przykład, z porcji ludzkiej gliny zwanej panią Lee, wyrzeźbił Lady Oliwę.

Skończywszy dochodzenie, odepchnąłem się od stołu i otarłem twarz dłońmi. Pracowałem w magazynie biblioteki i już wchodząc tam zauważyłem zdumiewająco dobry wybór pism literackich na półkach z czasopismami. Wstałem po egzemplarz „Antaeusa”. Bibliotekarka złowiła mnie wzrokiem i pokłamała palcem, żebym podszedł do jej biurka. Poczulem się jak niegrzeczny chłopczyk, którego przyłapano na hałasowaniu za regałami.

– Pan Abbey? – upewniła się surowym szeptem.

Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Może wypisać panu tymczasową kartę? Bedzie pan wtedy mógł brać książki do domu, zamiast je czytać na miejscu.

– Kiedy tu jest całkiem przyjemnie, dziękuję. Miła sala do pracy.

Myslałem, że mój urok osobisty każe jej się przynajmniej uśmiechnąć, ona jednak twardo kontynuowała służbiste marszczenie brwi. Pod nosem miała drobne poprzeczne zmarszczki, które biorą się z wieloletniego wydymania ust. Na jej blurku panował idealny ład. Splecione ręce złożyła na blacie i mówiąc wcale nimi nie poruszała, nie bębniła palcami po stole, ani nie wykręcała palców. Na pewno zakatrupiłaby każdego, kto by odstawił książkę nie na tę półkę co trzeba.

– Trzeba panu wiedzieć, że byli tu już tacy, co chcieli pisać o Marshallu.

– Doprawdy?

– Annie zaden się nie spodobał, a już najmniej ten, który chciał pisać biografie. Był taki ordynarny...

Pokreśliła głową i cmoknęła językiem o podniebienie.

– To był ten ze Wschodu? Facet z uniwersytetu Princeton?

– Tak, to on chciał pisać biografie Marshalla. Wyobraża pan sobie coś podobnego? Mówią, że Princeton to świetny uniwersytet, ale jeżeli wypuszcza takich absolwentów, to ja się pod taką opinią nie podpiszę.

– Może przypadkiem pamięta pani jego nazwisko?

Przekrzywiła głowę i uniosła blat biurka jedną pulchną dłoń. Pukając się palcem w podbródek, ani na chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jego nazwisko? Nie, nigdy go nie pytałam, a i on nie spieszył się z informacją. Przyjechał jak udzielny książę na białym koniu i zasypał mnie pytaniami, nie mówiąc nawet „proszę”. – Gdyby była ptakiem i miała pióra, w tym momencie na pewno by je nastroszyła. – Z tego, co słyszałam, do wszystkich w mieście odnosił się podobnie. Zawsze powtarzam, że człowiek może sobie być ordynusem, ale nie pod moim dachem.

Oczami wyobraźni ujrzałem wymoczek z Princetonu, z teczuszką-dyplomatką firmy Mark Cross, z magnetofonem firmy Sony i z nieprzekraczalnym terminem złożenia pracy, jak kraży od człowieka do człowieka, próbując wycisnąć jakiegokolwiek informacji i odnosząc zerowe rezultaty, ponieważ indagowani absolutnie nie byli w nastroju do udzielania odpowiedzi.

– Może chciałby pan obejrzeć jedną z ulubionych książek Marshalla, panie Abbey?

– Byłbym zachwycony, jeżeli to nie jest dla pani zbyt wielki kłopot.

– Przecież za to mi płacą, żebym podawała ludziom książki.

Obeszła biurko i podażyła w stronę tylnych regałów. Byłem pewien, że idzie do działu literatury dziecięcej, więc z niemalym zdumieniem odnotowałem, że zatrzymała się przy półce z napisem „Architektura”. Rozejrzała się ostrożnie, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– Między nami mówiąc, panie Abbey, wydaje mi się, że ona da panu zgodę. Z tego, co słyszałam, zgodzi się.

– Naprawdę? – Nie byłem całkiem pewien, o czym mówi. Jej głos zniżył się do zawodowego szepotu.

– A ty na pewno nic nie chcesz...? Do cholery z tym wszystkim, zaraz wracam.

Otworzyłem drzwi i dałem krok prosto w wielką kałużę, topiąc w niej za jednym zamachem tenisówkę i skarpetkę. Obejrzałem się, czy zauważyła, ale oczy miała zamknięte, a dłonie nadal splecione na kolanach. Drugą, suchą nogę, też starannie wstawiłem do kałuży i trzymałem ją tam tak długo, aż poczułem, że zimno wsacza się do buta i pod skarpetkę. Wtedy zacząłem dreptać w miejscu. Chłup-chłup.

– Co... ty... wyprawiasz?

Chłup-chłup.

– Tomasz! Przestań! – Zaczęła się śmiać. O ileż przyjemniejszy był to dźwięk od bębnienia deszczu. – Nie wariuj. Zamknij te drzwi. – Stałem plecami do niej i nagle poczułem, jak złapała mnie garścią za białe. Zaśmiewając się, pociągnęła z całej siły.

– Czy mógłbyś łaskawie wrócić do środka? Co ty wyprawiasz?

Spojrzałem do góry na deszcz, który lał tak mocno, że musiałem zamknąć oczy.

– Ponośzę karę! Karę za grzechy! Przez całe zasrane życie pytało mnie, jak to jest być synem Stephena Abbeya. Z każdą kolejną próbą odpowiedzi na to pytanie czuję się coraz większym durniem.

Przestałem chłapać. Zrobiło mi się bardzo, ale to bardzo smutno. Chciałem się odwrócić i popatrzeć na Saxony, ale nie mogłem.

– Przepraszam cie, Sax. Gdybym miał cokolwiek do powiedzenia na ten temat, Bóg mi świadkiem, że bym ci to powiedział.

Wiatr ciskał deszczem prosto w moją twarz. Jakaś rodzina przechodząc obok wybałuszyła gały.

– To nic nie szkodzi, Tomaszu. – Wyjątkowo silny poryw wiatru kazał mi znów zamknąć oczy. Nie byłem pewien, czy dobrze ją usłyszałem.

– Co mówiłaś?

– Mówiłam, że gwizdże na twojego ojca.

Dotknęła moich pleców otwartą dłońią i jej głos stał się mocny, żarliwy, kochający.

Odwrociłem się i wziąłem ją w mokre objęcia. Całowałem jej ciepłą szyję i czułem, jak ona całuje moją.

– Przytul mnie mocniej, ty gąbko. I tak już nasiąkdam.

Przycisnęła się z całej siły i ugryzła mnie w szyję.

Nie umiałem nic powiedzieć. Przypomniłam mi się tylko kawałek z książki France'a „Smutek Zielonego Psa”: *Głos Sola też kochał Krang. Kiedy był z nią, zawsze szeptał.*

Rozdział II

Planowaliśmy odbyć całą podróż w dwa dni, ale okazało się, że trzeba koniecznie zboczyć do Stuckeya po pralinki, do Miasteczka Granicznego, do Wioski Świętego Mikołaja, czy do Miasta Gadów, gdzie co chwila kierowały nas drogowskazy, nie mówiąc o wszystkich innych miejscach, na które nagle nabraliśmy ochoty.

– Poczekaj. Chcesz zobaczyć... co to jest?... aha, pole bitwy nad Green River?

– Sama nie wiem. Chyba chce. W której to było wojnie?

– Co za różnica. Głupie pięć mil stąd. Sax, którą książkę France'a lubisz najbardziej?

– „Sadzawkę Gwiazd” i „Kraję Chichów”, po równo.

– „Sadzawkę Gwiazd”? Naprawdę?

– Tak, tam jest moja ulubiona scena. Jak ta dziewczyna idzie nocą na plażę i spotyka starca, a biały ptak wydziubuje niebieskie dziury z oceanu.

– O rany, a ja nie potrafiłbym powiedzieć, która scena jest moją ulubioną. Chyba coś z „Krainy Chichów”. Na pewno. Ale miałbym trudności czy wybrać scenę magiczną czy komiczną. Właściwie teraz wolę sceny komiczne, ale jak byłem mały – te wojny Słów z Ciszą – o kurcze!

– Tomasz, nie zjeżdżaj z pasa!

Od czasu do czasu zjeżdżaliśmy na parking i usadowieni na gorącej masce samochodu patrzyliśmy na mknące obok pojazdy. Nie odzywaliśmy się przy tym ani słowem i nic nas nie gnało do celu.

Pierwszą noc przespaliśmy w miasteczku tuż na zachód od Pittsburga. Gospodarze motelu trzymali czarno-płowe kundelki, z których dwa wzięliśmy po obiedzie na trawnik przed domem, żeby nas mogły trochę poobgryzać.

- Tomasz?
- No? Hej, trzymaj go, bo ucieknie!
- Posłuchaj, to poważna sprawa.
- Dobrze, słucham.
- Czy wiesz, że jeszcze nigdy nie byłam w motelu z mężczyzną?
- Nie zgrywaj się.

- Naprawdę. I wiesz, co jeszcze? Bardzo mi się to podoba. - Podala mi szczeniaka i wstała. - Kiedy byłam młodsza i bez przerwy myślałam o swoich oparzeniach, bałam się, że nikt mnie nigdy nie wezmie do motelu.

Nazajutrz rano, kiedy już mieliśmy ruszać, gospodyni wyszła z kantorku i wręczyła nam pięknie opakowany suchy prowiant, z batonikami Milky Way na deser. Szepnęła coś do ucha Saxony i poszła z powrotem do biura.

- Co ci powiedziała?
- Że jesteś za chudy i że powinnam ci odstąpić swoją Drogę Mleczną.
- Ja też tak uważam.
- Ani mi się śni.

Tak wyglądała cała nasza podróż: jedna przyjemność za drugą, więc kiedy dotarliśmy do St. Louis i zobaczyliśmy Saarinen Arch, obojgu nam było trochę żal, że już tyle drogi za nami. W środku dnia zatrzymaliśmy się w miasteczku Pacific, stan Missouri i pozwiedzaliśmy lunapark zwany Sześć Flag. Tej nocy wróciliśmy do klimatyzowanego pokoju w motelu i kochaliśmy się. Saxony bez przerwy powtarzała moje imię. Jeszcze nigdy nie kochałem się z kobietą, która by tak robiła. Nagle wszystko układało się tak dobrze. Zairzałem kolejno we wszystkie ciemne zakamarki własnego życia, żeby sprawdzić, czy nic się tam nie czai... Ale nie. Inna rzecz, że niczego się nie spodziewałem.

Rozdział III

Zajechałem na stację benzynową firmy Sunoco, na co z budynku wyszła ładna dziewczyna, blondynka, w jaskrawo czerwonej czapce baseballowej z napisem St. Louis Cardinals.

- Do pełna proszę. Daleko stąd do Galen?

Pochyliła się do przodu i wsparła dlonie na kolanach. Zauważyłem, że paznokcie ma bardzo krótkie, a dwa całkiem czarne. Jakby spadło na nie coś ciężkiego, co spowodowało wylew krwi.

- Do Galen? Jakies cztery mile. Pojedzie pan prosto do krzyżówki i skreśli w prawo, za parę minut będziecie na miejscu.

Zabrała się z powrotem do napełniania baku mojego wozu, a ja zerknąłem na Saxony. Była uśmiechnięta, ale co najmniej tak zdenerwowana jak ja.

- No to... - wykonałem nieokreślony gest w powietrzu.
- No to... - zgodziła się, wciągając głowę w ramiona.
- Jesteśmy prawie na miejscu, moje dziecko.
- Wiem.
- W Krainie Chichów.
- W Krainie Marshalla France'a.

★

Szosa biegła równymi falami, co było bardzo przyjemne po gładkiej jak stół monotonii autostrady. Mineliśmy wagon restauracyjny, potem tartak, z którego zapachniało świeżo spłowanym drewnem, oraz zakład weterynaryjny, z wnętrza którego dobiegało chrapliwe ujadanie przestraszonych i chorych psów. Na krzyżówce tkwił znak stopu, podziurawiony jak rzeszoto pociskami i ospowaty od śladów po śrucie, wypełnionych pomarańczową rdzą. Pod znakiem stopu stał wyrostek i machał na przejeżdżające samochody. Wyglądał dość niewinnie, a mimo to, przyznaje, przeleciało mu przez głowę parę scen z książek „Z zimną krwią”.

- Tak, mówiła mi o tym dzisiaj, kiedy robiliśmy zakupy.
- Powiedziała ci?
- Aha. Rozmawialiśmy o filmach, zaczęło się oczywiście od twojego ojca, i Gaseczka zapytała, czy znam „Lot nad kukułczym gniazdem”. Powiedziałam, że znam, na co ona wyznała mi, że była w zakładzie. Powiedziała to tonem - „No i co w tym złego?”
- Hmmmm. - Zabrałem reke i zacząłem się bawić psią smyczą.
- Ale o co ci chodzi?
- Kupiłaś coś na obiad?
- Tak, mnóstwo pysznych rzeczy. Głodny jesteś?
- Jak wilk.

Robię najlepsze na świecie zapiekane kanapki z serem. Krzątając się po kuchni wokół tych majster-szyków, relacjonowałem Saxony moją leśną idyllę z Anną.

- Świetnie, chleb pełnoziarnisty! A te-raz od-ro-bin-ka ma-sei-ka.
- Naprawdę myślisz, że Ryszard Lee byłby w stanie cię postrzelić?
- Nie tylko myślę, Saxony, ale mogę to udowodnić kilkoma plamami potu na ubraniu. Ten gość nie żartował.

- Tomasz, podobno Dawid Louis mówił, że Anna robiła mu dzikie awantury i pisała obraźliwe listy, ilekroć przysłał tu kogoś, kto chciał pisać o jej ojcu?

- Louis nikogo tu nie nasytał, Sax, po prostu udzielał ludziom informacji. A oni przyjeżdżali tutaj z własnej woli, tak jak my.

- W porządku, przyjeżdżali z własnej woli. Ale sam mi mówiłeś, że po ich wizytach w Galen Anna pisała do Louisa, zarzucając mu, że to wszystko jego wina i że nie miał prawa tego robić.

Kiwnąłem głową i plasnąłem łopatką o blat.

- Dobrze, w takim razie odpowiedz mi na pytanie: dlaczego ona jest taka słodka wobec ciebie? Jeżeli nienawidzi biografów, to dlaczego zaprosiła nas na kolację i dlaczego zawiozła cię dzisiaj do domu Lady Oliviwy?

- To jest właśnie jedna z tych podejrzanych rzeczy, o których mówiłem, Sax. Albo Dawid Louis ma nie po kolei w głowie, albo z jakichś powodów nie lubi Anny France. Jak dotąd, niemal wszystko, co mi o niej opowiadał, okazało się nieprawdą.

- Pamiętaj jednak, że i ona parę razy skłamała na temat ojca, kiedy rozmawialiśmy wczoraj przy kolacji - Saxony wygłosiła to zdanie triumfalnym tonem.

- To prawda. Przyjęła nas z otwartymi ramionami, a kiedy doszło do rozmowy o nim, zaczęła coś kręcić. - Wyrzuciłem łopatkę w górę i złapałem z powrotem za uchwyt. - Nie pytał mnie o takie rzeczy, kochanie, ja tu tylko sprzątam.

- To ciekawe, wiesz? - Podeszła do kredensu i wyjęła z niego dwa jaskrawo niebieskie talerze.

- Hej siup! - wyciągnąłem kanapki z piekarnika w idealnym momencie i przerzuciłem je na paple-rowy ręcznik, żeby odsączyć nadmiar tłuszczu. Oto cały sekret idealnie zapieczonego sera.

Rozdział VII

Przez kilka następnych dni nic szczególnego się nie wydarzyło. Szwendąłem się po mieście i zagady-wałem ludzi. Wszyscy odnosili się do mnie bardzo uprzejmie, ale od nikogo nie dowiedziałem się wiele ponad to, co już wiedziałem. Marshall France był równym gościem, skorym do żartów i wypitki, jak każdy inny śmiertelnik. Za sławą nie przepadał, o nie. Dobry ojciec rodziny, który od czasu do czasu może i rozpieszczał córkę, ale czy nie po to są na świecie ojcowie?

Udałem się do miejskiej biblioteki i przeczytałem na nowo wszystkie jego książki. Bibliotekarka była starszą damą w rogowych okularach barwy różowej ostrzygi nad pyzatymi, obficie urozównanymi policz-kami. Krzątała się zawzięcie, jakby w każdej sekundzie czekał na nią milion rzeczy do zrobienia, ale szybko pojąłem, że cała ta jej krzątania była na pokaz, a tak naprawdę staruszka najbardziej lubiła siedzieć za wielkim debowym biurkiem i czytać.

Kilku uczniów ścigało wypracowania z encyklopedii, a za egzemplarzem „Popular Mechanics” sie-działa zaczytana po uszy młoda kobieta, bardzo ładna.

ny prądem, właściciel sklepu został zastrzelony w napadzie rabunkowym, wczoraj w nocy oslepiła pewna stara kobieta, a dzisiaj ta historia z chłopcem. Galen jest dziurą zabita deskami, Tomasz, na pewno sam to zauważyłeś. Tu się po prostu nic nie dzieje. O takich miasteczkach jak nasze powstają dowcipy – „Macie tu jakieś życie nocne?” „Tak, ale ja dzisiaj żeby bola”. I nagle seria takich koszmarów!

– A co miał na myśli Jordan mówiąc, że to nie miał być on?

– Joe Jordan jest Świadkiem Jehowy. Słyszales o Świadkach Jehowy? Uważają siebie za garstkę wybrańców. „Bóg nie dopuści, żeby coś takiego zdarzyło się któremukolwiek z nich”, a poza tym – pomyśl sam, co byś powiedział, gdybyś nagle przejechał dziecko?

– Ten chłopiec umarł?

– Jeszcze nie, ale wkrótce umrze. To znaczy, najprawdopodobniej tak, z tego, co słyszałam.

– No dobrze, to jeszcze ma jakiś taki sens, ale co miała na myśli pani Fletcher pytając mnie, czy chłopiec śmiał się, zanim samochód go potrafił?

– Głoseczka Fletcher jest miejscową wariatką. To też już z pewnością zauważyłeś. Wszystkich rozstawiła po kątach, zadaje niesamowite pytania, a w swojej stukniętej głowie ma poukładane tak, że daj Panie Boże. Po śmierci męża spędziła przymusowo trzy lata w zakładzie dla obłąkanych.

Doszliśmy do samochodu i Anna otworzyła tylne drzwi, żeby wypuścić psy do środka. Jej wyjaśnienia brzmiały całkiem logicznie. Absolutnie logicznie. Dlaczego jednak odwróciła się i przeciągle spojrzała w las? Ponieważ wiedziałam, że wszystko, co mi przed chwilą powiedziała, było stekiem bzdur.

Mnie i Kulfona wyrzuciła koło domu pani Fletcher, obiecując, że zadzwoni za dzień, dwa. Nie była przy tym szorstka, ale i nie uwodzicielska.

Dochodząc do ganku, zobaczyłem za szklanymi drzwiami sylwetkę Saxony.

– Cześć, kochanie, wyglądasz jak zjawa za drutowanym szkłem.

– Byłeś z Anną?

– Chwileczkę. – Spuściłem Kulfona ze smyczy, a on zaraz usiadł na dolnym schodku. – Tak. Zawiozła mnie do domku Lady Oliwy.

– Co takiego? – Saxony otworzyła drzwi i wyszła na ganek.

– To, co mówię. Niejaka Dorota Lee była podobno pierwowzorem Lady Oliwy. Mieszkała w rozwalającej się chałupie trzy czy cztery mile za miastem, w środku lasu. Anna podjechała tu z pytaniem, czy nie chciałbym obejrzeć tego miejsca. I chciałem, nawet bardzo, aż do chwili pojawienia się tam syna Doroty Lee, który omal nas nie powystrelił za włamanie. Niejak Ryszard. Wykapany obraz Lona Chaneya Juniora z „Myszy i ludzi”. „Co tam z tymi królikami, George” – ten typ, pojmujesz?

– Jak wygląda ten dom?

– Nic szczególnego. Rudera wytapetowana starymi gazetami. Wyjątkowo mało inspirująca.

– Czy Anna wspomniała coś na temat książki?

– Nie, ani słowem, niech ją diabli. Zdaje się, że postanowiła się z nami podrażnić. Opowiada mi na przykład coś o swoim ojcu i zawsze zaczyna od słów: „Teraz będzie coś do twojej książki”. Chociaż jeszcze wcale nie powiedziała, czy da mi ją pisać, czy nie.

Saxony przestąpiła z nogi na nogę i usiłowała przybrać ton nonszalancki. Poczulem, jak bardzo ją kocham za ten nieudany wysiłek.

– Co myślisz o Annie? Osobiście?

Zwalczyłem uśmiešek i przesunąłem dłonią po jej piegawym policzku. Słońce ją trochę wzięło podczas zakupów. Odsunęła się i złapała moją rękę. Uśmiešek jednak wyszedł na powierzchnię.

– Powiedz prawdę, Tomasz, nie wygłupiaj się. Wiem, że Anna ci się podoba, mnie nie oszukasz.

– Czemu miałbym cię oszukiwać? Z pewnością nie pasuje do obrazu, który odmalował Dawid Louis.

A ja już się szykowałem na randkę z Lukrecją Borgią.

– Włec podoba ci się? – Nie puszczała mojej ręki.

– Tak, jak dotąd tak – wzruszyłem ramionami. – Ale coś ci powiem, Sax. Z drugiej strony uważam, że dzieją się tutaj rzeczy podejrzane, które wcale mi się nie podobają.

– Na przykład?

– Na przykład, czy wiedziałaś... – przerwałem na moment i zniżyłem głos do szeptu. – Czy wiedziałaś, że Głoseczka Fletcher przez trzy lata siedziała u czubków?

– Do Galen.

Powiedzieliśmy mu, że i my tam jedziemy, więc może wsiadać. Jego głowę porastało sflaczałe ryżo afro, a ilekroć spoglądałem w lusterko wsteczne, widziałem albo wbity w siebie wzrok szczeniaka, albo gorejący krzak jego włosów, którymi szczelnie zasłaniał widoczność.

– Do Galen jedziecie? Widziałem, że macie tablice Connecticut – to ostatnie słowo wymawiał „ken-NEKI-tiket”. – Chyba nie jedziecie aż stamtąd specjalnie do Galen?

Uprzejmie skłoniłem głowę i popatrzyłem na niego w lusterku. Chwila pozytywnego kontaktu wzrokowego. Stara zabawa w „kto kogo przetrzyma”.

– A właśnie, że tak.

– Olala, z Connecticut do Galen – odezwał się ironicznie. – Nielicha przejażdżka.

Miałem w klasie tylu gnojów podobnych do niego, że jego chamstwo nie wywarło na mnie najmniejszego wrażenia. Zafajdany hippies. Brakowało mu tylko koszulki z napisem „KISS” i wylazających górą spod dżinsów niebieskich slipów.

Saxony odwróciła się do chłopaka.

– Mieszkasz tam?

– A jak.

– Znasz Anne France?

– Pannę France? Jasne, że znam.

Zaryzykowałem jeszcze jednego zeza w lusterko: oczy chłopaka nadal tkwiły we mnie, tyle że teraz już on jeszcze na dobitkę paznokcie kciuka, niezmiernie z siebie zadowolony.

– Do niej jedziecie?

– Owszem, chcemy z nią porozmawiać.

– Porozmawiać? Ona jest w porządku. – Pociągnął nosem i poprawił się na tylnym siedzeniu. – Wystrzałowa kobitka. Luz totalny.

Ni stąd ni zowąd, byliśmy na miejscu. Zjechaliśmy z niewielkiego pagórka, miniliśmy biały dom z dwiema cienkimi kolumnami i szyldem dentysty dyndającym na słupie od lampy wkopanym w trawnik przed domem, dalej był punkt reperacji kosiarek Dagenais, w niebieskosrebrnym blaszanym warsztacie, magazyn pod nazwą „Montgomery Ward”, remiza strażacka, której drzwi były otwarte na oścież, ale w której nie stał ani jeden wóz strażacki, oraz sklep ogrodniczy, polecający jako towar tygodnia pięćdziesięciopięć opakowania pokarmu dla psów „Purina”.

To było całe miasteczko. To właśnie tutaj On napisał wszystkie swoje książki. Tutaj jadał, sypiał, spacerował, rozmawiał z ludźmi, kupował kartofle, prasę i benzynę do samochodu. Większość tutejszych znała go osobiście. Osobiście znali Marshalla France’a.

Główna część miasta leżała po drugiej stronie torów kolejowych. Kiedy dojeżdżaliśmy do przejazdu, szlaban zaczął się właśnie powoli opuszczać, czemu towarzyszyło ostrzegawcze brzęczenie dzwonka. Byłem uszczęśliwiony. Uradowałoby mnie wówczas wszystko, co oznaczało opóźnienie chwili spotkania z Anną France. Poza tym, od dziecka lubiłem patrzeć na przejeżdżające pociągi. Pamiętam jazdy przez cały kraj ekspresem „Dwudziesty Wiek”, albo „Super Wodź”, które często odbywaliśmy z matką, jeszcze zanim rodzice się rozwidli.

Kiedy zbliżyliśmy się do zamkniętego szlabanu, wytoczyłem silnik i założyłem rękę na oparcie fotela Saxony. Było gorące i lepkie. Był to jeden z tych letnich dni, podczas których powietrze przypomina rozmiękły ołów, a chmury same nie wiedzą, czy mają chlusnąć deszczem, czy tylko wisieć na niebie i straszyć.

– Tu mnie pan może wysadzić.

– Mógłbyś nas poinformować, gdzie mieszka Anna France?

Wetknął chudą łapę między nasze dwa fotele i dziobiąc powietrze palcem wskazującym, powiedział:

– Dojedźcie do końca tej ulicy. Jakies trzy przecznice stąd. Potem skreciecie w prawo, w Connolly Street. Ona mieszka pod ósmym. Gdybyście przegapili, spytajcie byle kogo. Każdy wam pokaże. Dzięki za podwózkę.

Wysiadł z samochodu, a kiedy się od nas oddalał, zauważyłem, że na obu tylnych kieszeniach spodni

naszyte ma kolorowe aplikacje. Jedna przedstawiała figę, a druga znak pacyfistów – dłoń ułożoną w literę V. Obie utrzymane były w barwach czerwonej, białej i niebieskiej, palce w gwiazdki.

Pociąg okazał się być powolnym dwustu wagonowym towarowcem. Defilowały przed nami wagony z sztydami firm – Erie Lackawanna, Chesapeake and Ohio, Seatrain, ... Loud; nawet stukot koł poszczególnych wagonów był różny. Na końcu jechała przytulna ceglano-czerwona budka na kółkach, a w jej wysokim kwadratowym okienku facet czytający gazetę i pykający fajkę, jakby o Bożym świecie nie pamiętał. Bardzo mi się to wszystko podobało.

Kiedy pociąg przejechał, białe-czerwone sztaby zaczęły wolno wędrować w górę, tak ocieślały, jakby były śmiertelnie zmęczone i absolutnie nie miały chęci nigdzie się wspinać. Włączyłem silnik i przekozłowałem na drugą stronę torów. Spojrzałem w lusterko: za nami nie było nikogo.

– Widzisz? To jest właśnie cała różnica między tymi stronami a Wschodem.

– To znaczy?

– Staliśmy na przejeździe dobre pięć albo i osiem minut, prawda? Na Wschodzie nie trzeba by było połowy tego czasu, żeby powstała za nami dziesięciomilowa kolejka samochodów. A tutaj – popatrz sama. – Obejrzała się, ale nie powiedziała ani słowa. – Widzisz? Ani jednego. Na tym właśnie polega różnica.

– Aha. Tomasz, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, gdzie jesteśmy? Dociera to do ciebie, że jesteśmy na miejscu?

– Na razie staram się o tym nie myśleć. Od takiego myślenia dostaje skretu kiszek.

Celowo bagatelizowałem. Byłem blisko paniki na myśl o rozmowie z Anną France, ale nie chciałem, żeby Saxony o tym wiedziała. Przypominałem sobie po kolei wszystko, co Dawid Louis mówił mi o Annie France. Czarownica. Neurotyczka. Aby uniknąć dalszej konwersacji, opuściłem szybę w swoim okienku i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Pachniało nagrzanym kurzem i czymś jeszcze.

– Sax, spojrz, rożen! Chodź, zjemy jakiś obiad.

Nad wolnym placem między „Artykułami Sportowymi Phenda” a „Towarzystwem Ubezpieczeniowym Glassa”, ustawiono wielki zielony baldachim. Pod baldachimem, przy turystycznych stolikach z czerwonego drewna, siedziało ze dwadzieścia osób, jedząc i rozmawiając. Recznie malowany szyld informował, że jest to roczne spotkanie Klubu Lwów przy rożnie. Zaparkowałem samochód obok brudnej ciężarówki i wysiadłem. Nieruchome powietrze łchnęło wonią dymu z palonego drewna i oplekanego na rożnie mciświ. Powiał leciutki wietrzyk. Zamarłem w połowie przeciągania się, gdyż przypadkowo spojrzałem na biesiadników. Prawie wszyscy przegrali jedzenie i gapili się na nas. Wszyscy, z wyjątkiem niebrzydkiej kobiety o krotkich, czarnych włosach, która spieszyła między stolikami trzymając w objęciach dwa pudła bułek do hamburgerów, zamarli w pół gestu – grubas w słomkowym kapeluszu z żeberkiem tuż przy otwartych ustach, kobieta nalewająca coca-cola z pustej puszkę do pełnej szklanki, dziecko trzymające oburącz nad głową białe-rozowego szmacianego kroliczka.

– Co to jest, „Oda do greckiej urny”? – wymamrotałem, w zasadzie do nikogo.

Przeglądałem się kobiecie od bułek, która właśnie rozcinała karton widelcem od rożna. Paraliż reszty towarzystwa mógł trwać z dziesięć długich sekund. Czar prysł na hurgot ciężarówki wiozącej zloristogrywego konika rasy palomino. Jeden ze stojących przy rożnie mężczyzn uśmiechnął się i przywołał nas ruchem ociekającej tłuszczem łopatki do smażenia.

– Chodźcie, starczy dla wszystkich. Przybywajcie na odsiecz galenskim Lwom.

Ruszyliśmy w tamtą stronę, a on widząc to, z aprobatą kiwał głową. Na jednej ławce było jeszcze trochę miejsca, więc Saxony przysiadła, ja zaś udałem się do dymiącego rożna.

Mój nowy znajomy oskrobywał tłuszcz ze srebrnych pretów paleniska i wołał przez ramie o dalsze żeberka. Spojrzał na mnie i postukał łopatką w rożen.

– Z Connecticut, co? Przyjechaliscie taki kawał, żeby poprobowac moich żeberek, co?

Na dłoni miał białą, watowaną, kuchenną rekawicę z lusto-brązową plamą po wewnętrznej stronie. Uśmiechnąłem się glupkowato i zachichotałem przez nos.

– Ja tu, widzi pan, mam żeberka, a ten tam, Bob Schott – hamburgery. Ale na pana miejscu nie jadłbym tych jego kotletów, bo Bob jest doktorem i może was specjalnie podtruc, żeby zdobyć nową klientelę.

dwójke opróżniał pieprzoną bańkę aż do dna. Dobrze mówię, Anno? Zaraz, zaraz, to przecież pan chciał pisać książkę o Marshallu, no nie?

– Właśnie o tym mówiliśmy, Ryszardzie. Dlatego go tutaj przyprowadziłam, żeby zobaczył domek twojej matki.

Ryszard odwrócił się ku otwartym drzwiom.

– Te chate zbudował dla niej mój tato, żeby mogła sobie czasami pomieszkować w lesie. W rodzinie była kupa dzieciaków i matka stale powtarzała, że przydałoby jej się ciche miejsce na odpoczynek. Nie miałem jej tego za złe. W domu proz mnie były trzy siostry i brat. Z całej piątki ja jeden mieszkam dzisiaj w Galen.

Przeniósł wzrok na Anne.

– Tomasz, przepraszam cię, ale za pół godziny mam spotkanie w mieście. Zostaniesz tu, czy wrócisz ze mną?

Niespecjalnie uśmiechało mi się leżenie po lesie i pogaduszki z Ryszardem, chociaż chętnie porozmawiałbym z nim nieco później, kiedy już Anna wyrazi zgodę na książkę. Miałem nadzieję, że to zrobi po kolacji u siebie w domu i po tej wycieczce, ona jednak nadal nie wypowiadała się definitywnie ani na tak, ani na nie, ja zaś bałem się żądać jednoznacznej odpowiedzi.

– Chyba lepiej wróć, może Saxony jest już w domu.

– Myślisz, że będzie się o ciebie martwić? – Jej ton graniczył z ironią.

– Ależ skąd, ja tylko...

– Mniejsza o to. Dostarczymy zgubę na czas. W samą porę na podwieczorek. A ty Ryszardzie? Może cię podrzucić?

– Nie, Anno, mam swoje pudło. Muszę stąd zabrać parę rzeczy. Do zobaczenia później. – Był już w drodze do srodka, ale nagle odwrócił się i dotknął rekawu Anny. – Klepska sprawa z tym Haydenem, co? To już czwarta rzecz, która poszła nie tak. A teraz to już jedna po drugiej...

– Nie teraz, Ryszardzie, porozmawiamy później. Nie przejmuj się na razie. – Mówiła to głosem cichym, monotonnym.

– Nie przejmuj się? Jak tu się nie przejmować? Złamałem się w gacie, jak to usłyszałem. Joe Jordan, bidaka, wpadł jak śliwka w szambo.

Obserwowałem twarz Anny podczas tej wymiany zdań: teżała z każdym słowem Ryszarda Lee.

– Powiedziałam już: nie teraz, Ryszardzie. Porozmawiamy później.

Podniosła rękę, jakby zamierzała go odepchnąć. Jej usta zacisnęły się w linijkę.

Otworzyła je na chwilę, jakby zamierzała coś jeszcze powiedzieć i wtedy spojrzała na mnie. Ryszard gwałtownie zamrugnął powiekami i uśmiechnął się szeroko, jakby nagle wszystko zrozumiał.

– Racja! Ta moja niewyparzona gęba! – Z uśmiechem pokręcił głową. – Przepraszam, Anno. Uważaj z nią, kolego, potrafi być ciela jak osa.

– Chodźmy już, Tomasz. Do widzenia, Ryszardzie.

Szerokość ścieżki pozwalała nam iść ramie w ramie.

– Anno, nie rozumiem pewnych rzeczy.

Nie zwinęła kroku, ani nie spojrzała na mnie.

– Na przykład? Chodzi ci o to, co mówił Ryszard?

Przeczesła dłonią krotkie włosy, ukazując na sekundę spoczone czoło. Przepadam za widokiem potu na skórze kobiety. Jest to dla mnie coś wyjątkowo erotycznego, podniecającego.

– Tak, o tym, co mówił Ryszard. A pani Fletcher wypytywała mnie dzisiaj rano, czy ten mały od Haydenów śmiał się, kiedy potrafiła go furgonetka.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Ten, który go potrafił. Jordan? Joe Jordan, tak? – w kółko powtarzał, że to wcale nie miał być on i że wszystko się popieprzyło.

Nie chciałem wymuszać na niej odpowiedzi, ale byłem ciekaw, co tu się właściwie dzieje.

Zwinęła kroku i zaczęła kopać przed sobą kamyk. Kamień trafił w drugi i jak z katapulty wystrzelił w las.

– Dobrze, powiem ci. Od pół roku dzieją się w mieście straszne rzeczy. Jeden człowiek zmarł porażo-

właśnie „udekorowanych” wewnątrz domów dzierżawców ziemi z Południa, ale kiedy się to widziało na własne oczy, całość była jakby mniejsza i smutniejsza. Pośrodku pomieszczenia tkwił stół z surowego drewna, z bardzo porządnie dosuniętymi dwoma rozwalającymi się krzesłami po bokach. W jednym kącie stało żelazne łozko z szarym, wełnianym kocem zwiniętym w nogach i chudą poduszką bez poszewki w głowach. Nic poza tym – ani zlewu, ani kuchni, żadnych garnków, talerzy, ubrań na wieszakach – nic. Chatka pustelnika na ścisłej diecie albo starej wariatki.

– Kobieta, która tu mieszkała...

Z zewnątrz wtargnął do środka stentorowy bas:

– Kto tam jest! Gnoje śmierdzące, jeżeli znowu wyłamałście zamek, to ja wam zaraz nogi z dupy powyrywam!

Na drewnianej werandzie zadudniły kroki i w drzwiach ukazał się mężczyzna dzierżący w lewej dłoni fuzję, tak jakby to był zerwany po drodze kwiatek.

– Ryszardzie, to ja!

– Poczekajcie no, gnojki śmierdzące, ja was... – Patrząc na mnie, składał się do strzału i dopiero po ułamku sekundy słowa Anny dotarły do jego zakutej pały.

– Anna?

– Tak, Ryszardzie. Może byś najpierw sprawdzał, do kogo mówisz. To już trzeci raz. Któregoś dnia zagalopujesz się i rzeczywiście kogoś zastrzelisz.

Była zła, a na Ryszardzie wywarło to natychmiastowe wrażenie. Jak wielki pies, który warczy i za to obrywa od pana po łbie, z miejsca stał się potulny i zawstydzony. Chociaż po ciemku nie było tego widać, założyłbym się, że oblał się rumieńcem.

– O Jezu, Anno – jęknął w nieudolnym odruchu samoobrony – skąd mam wiedzieć, czy to ty, czy nie ty? Nie masz pojęcia, ile razy te sakramenckie bachory się tu wlamywały...

– Gdybyś był łaskaw spojrzeć, Ryszardzie, zauważyłbyś, że drzwi zostały otwarte kluczem. Ile razy jeszcze odbędziemy tę samą rozmowę? Przecież właśnie po to za każdym razem otwieram drzwi kluczem.

Wzięła mnie za rękaw i wyprowadziła obok Ryszarda na ganek. Ledwie wyszliśmy, puściła mnie.

Ryszard wyszedł za nami i wtedy go poznałem: on też był przy rożnie. Krewka, nieogolona twarz farmera na wpół zmęczona, na wpół złośliwa. Własnoręcznie ostrzyżone włosy okalały jego dużą głowę, a oczy i nos jakoś za bardzo sterczały z twarzy. Ciekawe, kim byli przodkowie tego człowieka parę generacji wstecz.

– Pan Ryszard Lee, pan Tomasz Abbey.

Niechętnie skinął głową, nie kwapiąc się do podawania ręki.

– Pan był wczoraj przy rożnie, co. – Zdanie oznajmujące.

– Owszem, byliśmy.

Nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciałem powiedzieć coś więcej, ale zabrakło mi konceptu.

– Matka Ryszarda była Lady Oliwa.

Popatrzyłem na Annę z miną „proszę mnie nie bujać”, ale ona kiwnięciem głowy potwierdziła to, co przed chwilą powiedziała.

– Dorota Lee. Lady Oliwa.

Ryszard uśmiechnął się, demonstrując nie przystający do jego postaci, doskonały garnitur białych żebów.

– Zgadza się. – Wymawiał to „sze”. – I żeby nie to, że tak dobrze znałem twojego ojca, Anno, byłbym się założył, że on coś kreci z moją mamuszką. We dwójkę przesiadywali w tej chałupie więcej niż ktokolwiek z nas.

– Ojciec, kiedy pisał „Kraina Chichów” przychodził tu z miasteczka na piechotę dwa i trzy razy na tydzień, żeby odwiedzić Dorotę. Zakładał czarne tenisówki i szedł polami wzdłuż drogi. Nikt mu nawet nie proponował podwiezienia: wszyscy wiedzieli, jak lubi te spacerować.

Ryszard oparł strzelbę o ścianę i poskrobał się po szorstkim podbródku.

– A mamuska zawsze dobrze wiedziała, kiedy on ma przyjść. Szliśmy wtedy do lasu, zbieraliśmy całą bańkę jagód, które ona potem posypywała cukrem pudrem. Kiedy się zjawiał, siadali na ganku i we

Bob uznał to za najlepszy dowcip pod słońcem. Rozejrzał się po twarzach, sprawdzając, czy wszyscy śmieją się równie serdecznie jak on sam.

– Niech pan lepiej weźmie parę moich żeberek, zobaczy pan, co dobre, bo ja tu jestem właścicielem sklepu i to mięso sam dzisiaj osobiście zdejmowałem świeżutkie z wozu. Lepszego pan nie znajdzie.

Pokazał palcem piekące się żeberka. Ociekały czerwonym sosem i kapały na węgle gorącym tłuszczem, który skwierczał niemal bez przerwy. Pachniały jak marzenie.

– Dobrze gadasz, Dan. Przecież wszyscy wiemy, że to te same, których ci się nie udało sprzedać w zeszłym tygodniu.

Kiedy się obejrzałem przez ramie, żeby zobaczyć, jak sobie Saxony radzi z miejscowymi dowcipniśkami, ze zdumieniem zobaczyłem ją rozesmianą od ucha do ucha.

– My tu sobie gadu-gadu i wcale nie dajemy wam jeść. Co podać panu i pani?

Dan, mistrz ceremonii, miał błyszczącą łysinę, tylko po bokach z rzadka okoloną krótkimi, brązowymi włosami. Jego ciemne, sympatyczne oczy, osadzone były w nalanej, czerwonej twarzy bez zmarszczek, twarzy człowieka, który skonsumował w swoim życiu niejedną kopę żeberka. Ubrany był w biały podkoszulek, wymięte beżowe spodnie i czarne buty robocze. Całość przypominała mi zmarłego przed paru laty aktora nazwiskiem Johnny Fox, który słynął z tego, że bijał żonę, ale który mimo to zawsze grywał w kowbojskich filmach rolę tchórzyliwych, małymieściskowych burmistrzów i sklepikarzy. Z gatunku tych, którzy nie mają odwagi stawiać czoła bandzie Daltona, kiedy ta przybywa do miasteczka z zamiarem niepozostawienia kamienia na kamieniu.

Mój ojciec miał zwyczaj zapraszać do domu facetów pokroju Johnny’ego Foxa. Zawsze sprawiali wrażenie szczerze zdumionych, że mój stary zaprosił ich na kolację. Ojciec stał w drzwiach i dał się na cały głos do Esther, naszej kucharki, że będzie jeszcze jedna osoba przy stole.

Jeżeli byłem akurat w pokoju razem z matką, matka wydawała żalostny jęk i spoglądała przy tym w sufit, jakby tam właśnie miała wypisaną odpowiedź.

– Twój ojciec znalazł następne monstrum – mówiła, po czym ze znużeniem dźwigała się z fotela, żeby ojciec, pojawiając się w drzwiach z nowym kołosem, zastał ją przynajmniej na stojąco.

Ze zbuntowaną pokorą wykrzykiwał:

– Popatrz no, Meg, kogo to my dzisiaj mamy na kolacji! Pan Johnny Fox! Pamiętasz Johnny’ego, prawda?

Johnny zbliżał się do matki na paluszkach i podawał jej reke, jakby była elektrycznym wegorzem gotowym w każdej chwili razić go prądem. Wszyscy bali się matki jak ognia i dobrze wyczuwali, mimo jej niezłomnej uprzejmości, że matka nie cierpi ich obecności pod swoim dachem, a tym bardziej przy stole. Ale posiłki przebiegały bez zgrzytów. Rozmawiano o filmach, w których obecni akurat grali, wymieniano ploteczki i wieści z filmowego światka. A po skończonej kolacji, Johnny (czy którykolwiek inny) pospiesznie zbierał się do odwrotu, wylewnie dziękując matce za wspaniałe przyjęcie. Raz, pewien operator filmowy nazwiskiem Whitey, który dzielił żonę w ciemie opiekaczem do grzanek i dostał za to trzydzieści dni paki, potknął się w drzwiach o gumową wycieraczkę z napisem „WITAMY” i skreślił nogę w kostkę – tak mu się spieszyło do wyjścia.

Pożegnawszy gości, starzy przenosili się do salonu, gdzie ojciec zapalał cygaro marki Montecristo, a matka zajmowała swoje tradycyjne miejsce przy oknie, skąd, zwrócona do niego plecami, rozpoczynała potyczkę.

Na początek pytała rzeczowym tonem:

– Czy to przypadkiem nie był ten, który bije żonę /okradł restaurację/ hoduje psy na walki psów/ przemycą Meksykanów przez granicę?

Ojciec w odpowiedzi wydmuchiwał długi, szary ogon dymu i przyglądał się cygaru z miną człowieka szczęśliwego.

– Tak, to ten sam. Dwa tygodnie temu wypuścili go z ciupy. I całe szczęście, bo Borys już się bał, że trzeba będzie zatrudnić kogoś innego do roli burmistrza. Jego żona nie wniosła oskarżenia, dlatego go puścili.

– Całe szczęście, nieprawdaż?

Matka próbowała dźgać ostrzem ironii, ale bez przekonania, skutkiem czego wychodziło to tak, jakby naprawdę radował ją szczęśliwy obrót sprawy Johnnynego.

- Ciekawy gość. Ciekawy gość. Jakies pięć lat temu pracowałem z nim przy jakimś filmie. Bez przerwy albo chodził pijany, albo przystawiał się do inspicjentki, która była wyjątkowo szpetna.

- To fantastyczne. Ty masz nosa do ludzi, Stephen.

Trwało to tak długo, jak długo ojciec palił cygaro. Wtedy albo stawał za matką i obejmował ją od tyłu w pasie, albo wychodził z pokoju. Ilekroć uczynił to drugie, matka odwracała się za nim i przez dłuższą chwilę patrzyła w puste drzwi.

★

- Żeberka czy hamburger?

- Słucham? Ach, oczywiście, żeberka. Żeberka, doskonale.

Dan nabrał porcję czerwonych skwarek i przełożył je na ogromny żółty talerz koło dwóch bułek. Tuszcz z żeberka natychmiast rozlał się po talerzu i zaczął wsiąkać w bułki.

- Należy się dwa pięćdziesiąt, bez dodatku za rozrywkę.

Wziąłem jeszcze dwie cole i poszedłem do stołu. Siwa starsza kobieta o pobrużdżonych, zapadniętych policzkach i z brązowocarnym żeberem z przodu, siedziała obok Saxony, mówiąc do niej cicho i pospiesznie. Pomyslałem, że to trochę niesamowite, ale Saxony z uwagą słuchała sąsiadki, a kiedy postawiłem przed nią jedzenie, nawet nie drgnęła. Lekko dotknięty tym faktem, zająłem się żeberkami. Parzyły w palce, natychmiast upuściłem je na stół. Nie wydawało mi się, żebym zrobił tym wiele hałasu, a jednak, kiedy podniosłem wzrok, znowu wszyscy się na mnie gapili. Nienawidzę jak ktoś się na mnie gapi. Należę do osób, które, gdy zamawiają kołtę, a przez pomyłkę dostają rybę, bez zmruczenia oka wsuwają rybę, jedynie po to, żeby uniknąć scen. Nie znoszę publicznych awantur, hucznych urodzin obchodzonych w restauracjach, potykania się na ulicy i puszczania bąków przy ludziach, bo wszystko to sprawia, że ludzie nagle przestają robić swoje i gapią się na człowieka przez najdłuższe sekundy w życiu.

Poczetowałem najbliższe towarzystwo uśmiechem mającym oznaczać „Ależ ze mnie oferma!”, nic jednak przez to nie osiągnąłem. Gapili się i gapili, bez końca.

- Tomaszu? - to wierna Saxony spieszyła mi na odsiecz.

- Słucham? - Bezwiednie powiedziałem to głosem zdolnym ściąć smietanę na masło. Saxony podniosła żeberko ze stołu i położyła je z powrotem na moim talerzu.

- Przedstawiam ci panią Fletcher. Pani Fletcher - Tomasz Abbey.

Stara kobieta wyciągnęła rękę poprzez stół i uraczyła mnie mocnym uściskiem dłoni poruszając moim ramieniem jakby pompowała wodę. Wyglądała na sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć lat. Sprawiała na mnie wrażenie urzędniczki miejscowej poczty albo właścicielki kiosku ze słodyczami i prażoną kukurydzą w lokalnym kinie. Nie miała wysuszonej, luskowatej skóry osoby leciwej, która całe życie spędziła na słońcu. Była raczej biała bladocią ludzi spędzających większość życia pod dachem i szarzejącą z czasem jak stara kartka pocztowa.

- Bardzo mi przyjemnie. Podobno zatrzymają się państwo u nas na jakiś czas?

Spojrzałem na Saxony, zastanawiając się, co jeszcze zdążyła powiedzieć pani Fletcher. Pusiła do mnie perskie oko między jednym a drugim kesem żeberka.

- I będziecie na pewno szukać kwatery?

- To możliwe. Tylko na razie jeszcze sami nie wiemy, jak długo tu zostaniemy.

- To bez różnicy. Mam u siebie na dole tyle miejsca, że mogłabym prowadzić kregielnię, a i to jeszcze mało. - Wyjęła z torebki plastikową, czarno-złotą papierośnicę. Otworzywszy ją z traskiem, wydobyła ze środka długi papieros i czarną zapalniczkę. Ledwo zapaliła, zaciągnęła się solidnie, aż na końcu papierosa wyrósł długi słupek popiołu. W miarę jak mówiła, słupek rósł i wyginał się w dół, ale ona go nie strzepywała.

- Dan, te twoje żeberka wyglądają całkiem przyzwoicie! Mogę i ja dostać porcję?

- Jasne, Gaseczko!

- Słyszycie? Nazywa mnie „Gaseczką”. Wszyscy mnie tu tak nazywają.

Kiwnąłem głową, zastanawiając się czy byłoby dużym nietaktem jeść, kiedy ona mówi.

- Poddaje się.

- Nie bardzo się pan wysilił. Ale niech tam. Myślałam, że może zechce pan zobaczyć, gdzie mieszkała Lady Oliwa.

- Mieszkała? Jak to?

- Przecież czytelnicy zawsze pytają autorów, skąd wzięli postacie do swoich książek. Lady Oliwe ojciec pożyczył od kogoś, kto mieszkał tu w lesie. Chodźmy, pokażę panu.

Wysiadając z samochodu, układałem sobie w myślach taki fragment biografii: *Droga wiodąca do chatki Lady Oliwy wila się przez wyrosłą nie wiadomo skąd puszcę. Główną postać „Krainy Chichów” znalazł France w glebi lasu, który po pierwsze w ogóle nie miał prawa znajdować się w tamtej okolicy.*

Do lasu. Idąc za Anną w głąb puszczy, próbowałem sformułować kilka innych wersji, ale w końcu musiałem się poddać. Psy ganiały jak szalone. Anna szła jakieś dziesięć stop przedemną, więc obserwowałem na przemian to drogę, to znowu wyjątkowo niebrzydkie tylne partie jej postaci.

- Ciekawe, kiedy spotkamy Jasia i Małgosie.

- Niech pan lepiej uważa na wilki.

Przeniósłem się myślą do czasów, kiedy mój ojciec polował w Afryce z Hemingwayem. Nie było go w domu przez dwa miesiące, a kiedy wrócił, matka kategorycznie zabroniła mu wnieść do środka łby nosorożców, skóry zebry i inne liczne trofea.

- Jesteśmy na miejscu.

Mylilem się, oczekując, że zobaczę chatkę z piernika i snujący się z jej komina dym o zapachu ciasteczek z jeżyniennej maki. Chata - jeżeli w ogóle zasługiwała na takie miano - była toporną, drewnianą konstrukcją, zapadniętą na jeden bok, jakby oparł się o nią olbrzym. Jeżeli w dwóch jedynych okienkach tkwiły kiedykolwiek szyby, to zostały chyba dawno usunięte i zastąpione sosnowymi deskami, przybitymi na krzyż do framug. Zgrzebnemu gankowi brakowało kilku desek w podłodze, a prowadzący na niego schodek pękł na pół.

- Uwaga.

- Mówiła pani, że tu już nikt nie mieszka, prawda?

- Zgadza się. Ale za jej życia dom wyglądał właściwie tak samo.

- A kim ona była?

- Chwileczkę, zaraz panu pokażę.

Wydobyła długi, staroswiecki klucz i wetknęła go w otwór zamka pod brązową od rdzy klamką.

- To te drzwi trzeba otwierać kluczem?

- Właściwie nie, ale tak jest lepiej.

Nie dając mi okazji do zapytania, co przez to rozumie, Anna pchnęła drzwi i buchnął na nas gesty oparwilgoci i butwienia. Anna, która już weszła do środka, zatrzymała się nagle i odwróciła do mnie. Stałem tuż za nią, więc kiedy to robiła, znaleźliśmy się twarzą w twarz. Cofnęła się o pół kroku. Moje serce wykonało gwałtowny skok, kiedy sobie uświadomiłem, jak blisko była przez pół sekundy.

- Postój tu chwilę, zapale w środku lampę. W podłodze jest pełno dziur, to niebezpieczne. Ojciec kiedyś tak tu sobie skrecił nogę, że musiałam go odwieźć do szpitala.

Wyobraziłem sobie te dziury w podłodze, te żmije i pajaki. Ziewnałem. Zawsze ziewam, kiedy się zdenerwuję. Ludzie interpretują to albo jako wyraz szczególnej dzielności, albo szczególnej głupoty. Czasami nie mogę powstrzymać ziewania. Wszystko razem było wysoce komiczne: rozgrywał się wielki moment w moim dorosłym życiu, w towarzystwie córki France'a wchodziłem do domu osoby, która była pierwowzorem najwspanialszej postaci z mojej ulubionej książki i ziewałem. Tuż przedtem trząsłem się ze strachu, a jeszcze wcześniej myślałem o tylko Anny France, córce znakomitego... nie, nie o córce, wyłącznie o tylko Anny. Jak biografowie potrafią odseparować własne życie od przedmiotu biografii?

- Możesz już wejść do środka, Tomasz. Wszystko w porządku.

Ściany wytapetowane były gazetami, które pozółkły i zbrazowały ze starości i wilgoci. W świetle lampy naftowej zmieszanym ze światłem dziennym wpadającym przez otwarte drzwi, druk gazetowy wyglądał jak robactwo, które oblaźło całe ściany. Widziałem zdjęcia robione przez Walkera Evansa z tak

kontakt z jego córką nie sprzyjał naszym zamiarom? Gówno prawda. Pisałem kartkę w poczuciu winy, bo byłem ciekaw, co się tego dnia wydarzy między Anną a mną, i to wcale nie dlatego, że Anna była córką France'a.

W samochodzie było pełno gratów. Puste kartony, złoty wąż ogrodowy, stara piłka, puszcza jedzenia dla psów „Alpo”. Psy usadowiły się z tyłu. Anna, przez wcisnięcie odpowiedniego guzika, uchyliła im tylne okno.

- Liczba mieszkańców Galen wzrosła przez ostatnie kilka lat najwyżej o dziesięć. - Anna wyjęła z kieszeni paczkę gumy balonowej i poczęstowała mnie. Odmówiłem, a wtedy rozpakowała jedną gumę dla siebie. - W tej okolicy można zostać w zasadzie tylko rolnikiem, a młodzież, jak wszędzie, również i tu nie pcha się do rolnictwa. Ledwo podrosną, uciekają do St. Louis, w krainę neonów.

- Ale pani została?

- Tak. Nie muszę pracować, bo dom jest od dawna splecony, a tantiemy z książek ojca aż nadto starczą mi na życie.

- Grywa pani jeszcze na fortepianie?

Wydmuchiła balon, który pękł, ledwie wydostał się z jej ust.

- Dawid Louls panu mówił? Tak, grywam czasami. Kiedyś była to moja pasja, ale z wiekiem...

Wzruszyła ramionami i nadmuchiła jeszcze jeden balon.

Żuła gumę jak dzieciak - z otwartymi ustami, puszczając z trzaskiem balony - aż myślałem, że zwalnie. Kobieta żująca gumę wygląda obrzydliwie. Każda kobieta, niezależnie od tego, kim jest. Na szczęście, Anna wyjęła gumę z ust i wyrzuciła za okno.

- Nie cierpie, jak guma traci smak. Czy Dawid opowiadał panu o poprzednim kandydacie do pisania biografii mojego ojca, który się tu zjawiał?

- O tym z Princeton? Owszem.

- Cóż to był za dureń. Zaprosiłam go na kolację, a on przez cały wieczór wykladał mi heurystyczną filozofię „Krainy Chichów”.

- Co to znaczy?

- Heurystyka? Jest pan nauczycielem, powinien pan to wiedzieć.

- Doprawdy? Ja nawet nie wiem, co to jest imiesłów.

- Coś potwornego. System oświatowy schodzi na psy.

Opuściłem okienko i przyglądałem się stadu zdrowo wyglądających krów, które oganiały się od much ogonami poleźnymi jak liny okretowe. W tle za nimi traktor mozolnie torował sobie drogę przez płaskie, brunatne pole, a górą czołgał się po niebie punkcik samolotu.

- Za chwilę będziemy na miejscu.

- Na jakim miejscu? Czy wolno spytać, dokąd jedziemy?

- Nie, sam pan zobaczy. To niespodzianka.

Ujechaliśmy jeszcze trzy albo cztery mile, po czym Anna, nie włączając kierunkowskazu, wykonała ostry skręt w lewo, w las tak gęsty, że nie widziałem dalej niż na piętnaście stóp po każdej stronie. Jechaliśmy wąską dróżką. W samochodzie zrobiło się chłodniej, zapanowała gęsta woń drzew i leśnego cienia. Droga stała się wyboista, słyszałem, jak kamienie stukają o talerze kół.

- Nie wiedziałem, że w Missouri są takie lasy.

Słońce błyskało i chowało się między drzewami. Niedaleko nas przemknęła sarna. Spojrzałem na Annę, ciekaw, czy ją zauważyła.

- Niech się pan nie denerwuje, już dojeżdżamy.

Kiedy zahamowała, rozejrzałem się uważnie, ale niczego niezwykłego nie dostrzegłem.

- Spróbuj zgadnąć, co to za niespodzianka: cały ten las zasadził pani ojciec - zgadłem?

- Nie.

Zgasiła silnik i upuściła kluczyki na podłogę.

- No to... pewnie lubił tu spacerować?

- To już lepiej.

- Pisał książki siedząc na tamtym pnium?

- Żle.

- U mnie nie musicie się przejmować świadectwem ślubu, czy takimi tam. - Popatrzyła na każde z nas z osobna i puknęła w stół czwartym palcem lewej ręki. - Mnie tam to nigdy nie obchodziło. Szkoda, że kiedy sama byłam młodsza, myślało się inaczej. Użyłabym sobie, powiadam wam.

Popatrzyłem, co na to Saxony, ale Saxony patrzyła w panią Fletcher jak w obraz.

Pani Fletcher gwałtownie przerwała potok słów i zabębniła palcami po stole.

- Wynajmę wam do... Za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Za tę cenę nie przyjmą was w żadnym motelu w okolicy. Kuchnia też niezła.

Miałem właśnie wtrącić, że musimy najpierw omówić sprawę we dwoje, kiedy Dan przyniósł porcję dla pani Fletcher.

- Co byś powiedział na propozycję wynajęcia mojego dołu za trzydzieści pięć dolarów tygodniowo, Dan?

Dan zaplątał ręce na brzuchu i wciągnął powietrze przez zęby. Wydał przy tym odgłos maszyny parowej.

- Znaczący, chcecie się na chwilę zaczepić w Galen, co?

Nie wiedziałem czy to paranoja, czy jego głos istotnie stał się jakby mniej życzliwy.

Saxony odezwała się zanim sam zdążyłem otworzyć usta.

- Chcemy porozmawiać z Anną France, jeżeli to się okaże możliwe. Zamierzamy pisać biografie jej ojca.

Cóż to była za cisza! Cóż za skondensowane zaciekanie w nas wszystkich twarzach, które otoczyło nas nagle jak dym albo mgła.

- Anna? Chcecie pisać książkę o Marshallu?

Głos Dana wzniósł się ponad skwierczenie różną, ponad ciszę i porywisty wietrzyk, przylatujący gwałtownie nie wiadomo skąd, i równie gwałtownie zamierający.

Byłem wściekły na Saxony. Planowałem dobrych parę dni pobuszczać po mieście, zanim zacznę się zwierzać tubylcom z celu, jaki mnie do nich przyciągał. Czytałem nie tak dawno artykuł o młodym, obiecującym pisarzu, który zamieszkał w małym miasteczku w stanie Washington. Mieszkańcy miasteczka wobec obcych nabierali wody w usta na temat swojego pisarza, ponieważ go lubili i chronili jego prawo do prywatnego życia. I chociaż Marshall France był nieboszczykiem, z góry przyjąłem założenie, że ludzie z Galen nie będą o nim opowiadali zbyt chętnie. Był to pierwszy naprawdę głupi wyskok Saxony. Mogłem go przypisać jedynie zdenerwowaniu faktem, że jesteśmy w Galen.

Dan odwrócił się do kumpli i poinformował ich tubalnym głosem:

- Ten gość chce pisać książkę o Marshallu Fransie.

- O Marshallu?

Kobieta w błękitnych dżinsach i męskiej flanelowej koszuli siedząca przy stole w drugim końcu wiaty, podchwyciła śpiesznie:

- O Marshallu? Czyżby?

Miałem wielką ochotę wskoczyć na ławkę i oznajmić przez tubę ze wzmacniaczem:

- Ludzie! Słuchajcie! CHCĘ PISAĆ KSIĄŻKĘ O MARSHALLU FRANSIE. MACIE COŚ PRZECIWKO TEMU?

Ale nie zrobiłem tego. W zamian napiłem się coca-coli.

- Anno?

Nie byłem pewien czy dobrze usłyszałem. Ale głos brzmiał jakby jego właściciel zwracał się do kogoś po imieniu.

- Słucham.

Ten głos dobiegł spoza moich pleców. Doznałem gwałtownej kolki żołądka.

- Można się przysiąc? - Jej głos spoczął jak liść na moim ramieniu. Gdybym sięgnął ręką do tyłu, mógłbym jej zapewne dotknąć.

- Prosimy bardzo, Anno. Ci państwo, zdaje się, nie marzą o niczym bardziej niż o spotkaniu z tobą. Przyjechali specjalnie aż z Connecticut.

Usłyszałem, jak Saxony przesuwają się po ławce, żeby zrobić dla niej miejsce. Burknęły sobie nawzajem słowa powitania. Musiałem spojrzeć.

Była to ta sama kobieta, która nosiła w pudlach bułki do hamburgerów. Miała krótkie, czarne, połyskliwe czyste włosy ostrzyżone na mnicha, tak, że opadały jej na uszy, ale nie całkiem je zastaniały. Ładny, mały nos, lekko zadarty na końcu, i niemal orientalne oczy, szare albo szarzielone. Pełne usta miały odcień fioletu i widać było, że jest to ich naturalny kolor, chociaż chwilami ciemniały tak intensywnie, jakby ich właścicielka najadła się przed chwilą cukerków z czarnej porzeczki i winogron. Ubrana była w białe spodnie-ogrodniczeki, czarny podkoszulek i czarne gumowe klapki-japonki. Żadnych ozdób. W sumie wyglądała świetnie. klasyczny typ szykownej, schludnej, całkiem jeszcze młodej pani domu ze Środkowego Zachodu. Gdzie ta postać niczym z Charlesa Adamsa, o której wspominał Dawid Louis? Kobieta, na którą patrzyłem, wyglądała jakby dopiero co umyła jej rodzinną furgonetkę campingową na stacji Shella.

Podawała mi dłoń, która była miękka i chłodna, a nie spocona jak moja.

- Pan Tomasz Abbey? - Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, jakby i tak doskonale wiedziała, że to ja. Zatrzymała moją rękę. O mało nie wyszarpnęła mi dłoń w panice, kiedy wypowiedziała moje nazwisko.

- Tak, to ja, bardzo mi...

- Dawid Louis uprzedził mnie listownie, że pan przyjedzie.

To mi się nie podobało. Po diabła do niej pisać? Jeżeli istotnie była taką Meduzą, jaką przede mną odmalował, to uprzedzona, pozamykałaby przecież wszelkie kanały dotyczące życia ojca, do których być może mógłbym dotrzeć, gdybym badał teren incognito. Poprzysiągłem sobie, że przy najbliższej okazji wyślę do Louisa dziesięciostronicowy list z obelgami. Nic dziwnego, że jeszcze żaden biograf nic z nią nie wskórał. Z Louistem w charakterze katalizatora Anna miała fory na dwadzieścia milii.

- Pozwól państwo, że się przysiądę? Latam tu od rana jak opetana, w tym obiednym upale... - Potrząsnęła głową, a jej schludna czupryna zahustowała się przy tym jak gesta spodniczka z trawy.

Uświadomiłem sobie, że nie dokonałem jeszcze ceremonii przedstawienia jej Saxony.

- Pani France - to moja koleżanka, Saxony Gardner.

Koleżanka? Ciekawe, kiedy po raz ostatni użyłem tego słowa.

Wymieniły uśmiechy i ledwie godny tej nazwy uścisk dłoni.

- Pani też pisze, panno Gardner?

- Nie, ja robię badania źródłowe, książkę napisze Tomasz.

Dlaczego nie powiedziała „Tomasz pisze”, tylko podała informacje w czasie przyszłym? Dzięki temu wyszedłem na dyletanta.

Patrząc na ich twarze, starałem się nie myśleć o tym, że Anna jest słiczna, a Saxony tylko ładna. Może zawiniła tu moja chwilowa irytacja zachowaniem Sax.

- Zamierza pan pisać książkę o moim ojcu? Mogłabym znać powody pańskiego zainteresowania?

Pomyślałem, że sytuacja dojrzała do tego, żeby wywalić kawę na ławę i przekonać się, jak Anna France zareaguje.

- Bo nie ma na świecie lepszego pisarza, panno France. Tylko przy lekturze jego książek przenosiłem się bez reszty w świat fantazji. Może to słaby argument, ale jestem nauczycielem angielskiego i literatury w gimnazjum i nawet tak zwani „wielcy” nie robili na mnie nigdy takiego wrażenia jak „Kraina Chichów”.

Była chyba zadowolona z komplementu, a jednak zmrużyła oczy i przelotnie dotknęła mojej dłoni.

- Tyle razy panu mówiłam, że nie trzeba przesadzać, panie Abbey.

Uśmiechnęła się jak zachwycona sobą dziewczynka. Przez ten żarcik i uśmiech ja też się nią zachwycałem.

Co, do licha, mógł mieć na myśli Dawid Louis, odmalowując ją przede mną jako drapieżną wampirzycę, snującą się po domu w czarnych sukniach ze świecą w dłoni? Była ładna, dowcipna, nosiła spodnie z kłapą i sądząc po tym, co na razie zauważyłem, wszyscy w miasteczku znali ją i lubili.

- To prawda, panno France - Saxony wygłosiła to zdanie tak dobitnie, że wszyscy zamilkliśmy i spojrzeliśmy na nią.

Pańcia przytknęła nos do szyby i zaczęła ujadać w moją stronę. Kulfon postawił uszy, ale nie wyglądał na specjalnie zachwyconego tym, co usłyszał. Nie ruszył się z miejsca.

- Och, nie ma o czym mówić. To był bardzo przyjemny wieczór, pan Anno. Właśnie miałem dzwonić, żeby pani podziękować.

Za kurczaka a la kotlet z trupa, za wykwintne pożegnanie...

- W takim razie czuje się zwolniona ze skrupułów. Mówi pan szczerze, prawda?

Pańcia przestała być widoczna w oknie, a zaraz potem i Anna zniknęła w samochodzie. Rozegrała się tam drobna szamotanina, przy akompaniamencie niewyraźnych głosów, po czym zobaczyłem psa pedzającego galopem przez ogród. Pańcia spróbowała pokonać schody jednym susem i runęła na płask, ale momentalnie się pozbierała i już sunęła do ukochanego. Obojętność Kulfona przeszła jak ręką odjął: we dwójkę zaczęli tańczyć w tę i z powrotem po werandzie, skacząc, piszcząc i podgryzając się piśszczotliwie. Powarkiwali przy tym i przewracali się co trzy kroki.

- Pańcia ma kota na punkcie Kulfona. Raz czy dwa na tydzień puszcza ją z panią Fletcher na szkolne boisko, żeby wybiegały nadwyżki energii.

Anna stała u stóp werandy i uśmiechała się do mnie promiennie. Szkarłatna koszulka z napisem CODASCO zdradzała, że Anna ma znacznie większy biust niż z początku myślałem. Koszulkę uzupełniały spłowiełe, seksownie obcisłe Levisy i znoszone niebieskie tenisówki, podarte, i na oko bardzo wygodne.

Właśnie miałem powiedzieć coś na temat jej znakomitego wyglądu, kiedy Anna wytknęła mi palec.

- Co tam jest napisane na pana koszulce?

Spojrzałem w dół i machinalnie zastoniłem ręką wielkie białe litery.

- A, takie tam, „Virginia To Kraj Kochanków”. Dostałem... od znajomej.

Wetknęła dłoń w tylny kieszenie dżinsów.

- I to pan jest jednym z tych kochanków, tak? - Uśmiechnęła się przy tym w taki sposób, że poczułem, jakbym miał pół metra wzrostu.

- Tak. Jestem z tych najstojniejszych. Byłem notowany w „Wierście Lub Nie”.

- Nie - jej uśmiech rozciągnął się jeszcze bardziej.

- Co nie? - mój uśmiech wyraźnie zmalał.

- Nie wierzę.

Jak na zawołanie, Kulfon właśnie w tym momencie dosiadł Pańci, przez co poczułem się zażenowany, ale i wdzięczny Kulfonowi za zmianę ośrodka uwagi. Odciągnąłem go. Warknął. Zdaje się, że warknęli oboje.

- Gdzie panna Saxony?

- Wybrały się po zakupy z panią Fletcher.

- To fatalnie. Chciałam was właśnie zaprosić na basen. Zapowiada się upalny dzień.

- Szczerze mówiąc, nie jestem w nastroju. Słyszała pani, co się wydarzyło dzisiaj rano?

Wskazałem ręką w stronę szosy.

- Synek Haydenów? Tak, wiem. To straszne. Pan to widział?

- Od początku do końca.

Odłożyłem książkę na balustradę i skrzyżowałem ręce na piersiach. Psy klapnęły na ziemię w odległości stopy jedno od drugiego, ziejąc jak lokomotywy parowe.

- Może w takim razie da się pan namówić na przejażdżkę? Od tego przestaje się myśleć o rzeczach nieprzyjemnych. Weźmiemy psy

Psy podskoczyły na to, jakby wszystko rozumiały.

- Dziękuję. Tak, to mi na pewno dobrze zrobi. Dziękuję pani, Anno.

Wszedłem na chwilę do domu, zabrałem portfel i klucze, napisałem kartkę do Saxony. Nie miałem pojęcia, jak przyjmie fakt, że nie ma mnie w domu, ale na wszelki wypadek, żeby nie dolewać oliwy do ognia, nie napisałem, że jestem z Anną, tylko że zabrałem Kulfona na dłuższy spacer. A w ogóle - wielkie rzeczy! Dlaczego miałbym odczuwać wyrzuty sumienia?

Czy nie przyjechalismy tu po to, żeby napisać książkę o Marshallu Fransie, wobec tego, czy każdy

bycia do Galen. Pierwsze wrażenia z miasteczka, i tak dalej. Zamierzałem też rozpocząć lekturę kilku specjalnie w tym celu przywiezionych biografii literackich, żeby zobaczyć, jak to się robi.

Przebrałem się w sztruksowe szorty, podkoszulek i sandały. Przyniosłem z kuchni jeszcze jedną filiżankę kawy. Kulfon chodził za mną krok w krok, ale pomału przyzwyczajałem się i do tego. Byłem wręcz bliski postanowienia, że co będzie z książką, to będzie, ale zaraz po powrocie do Connecticut kupię sobie takiego psa nie z tej ziemi. Nie wykluczałem nawet, że kupię go tutaj i będę hodował krewniaka psów Marshalla France'a. Jezeli nie dorobię się biografii, to chociaż bullteriera.

Usiadłem w jednym z bujanych foteli i postawiłem filiżankę z kawą na podłodze, w zasięgu ręki. Kulfon raz czy dwa przymierzył się, weszac, do kawy, ale dałem mu ostrzegawczo w łeb i grzecznie legł na ziemi. Otworzyłem książkę i zacząłem czytać. Doszedłem może do połowy strony, kiedy obraz chłopca leżącego na ziemi wdarł się gwałtownie w moje myśli. Nie mogłem go odpędzić. Pomyślałem o Saxony, o Saxony w łózku, o tym, co właśnie przeczytałem na temat Raymonda Chandlera, o tym, jaki dziś mamy piękny dzień i jak by to było pójść do łózka z Anną France - ale chłopiec z ulicy mimo wszystko nie chciał odejść. Wstałem i podeszedłem do balustrady, żeby sprawdzić, czy poznam to miejsce, gdzie furgonetka potrafiła chłopca. Żeby zobaczyć, czy zostały tam jeszcze ślady krwi albo jakiegokolwiek inny dowód na to, że przed godziną wszyscy staliśmy tam, patrząc jak dziecko umiera.

Pamiętam, że kiedy dostałem wiadomość o tragicznej śmierci ojca, też siedziałem na werandzie. Poprzedni wieczór spędziłem na podłodze salonu w domu Amy Fischer, w towarzystwie Amy Fischer. Oglądaliśmy ojca w filmie „Pan i Pani Czas”. Byłem znacznie bardziej zainteresowany rozbieraniem Amy niż grą aktorską ojca, którą oglądałem przedtem niezliczoną ilość razy. Ponieważ rodzice Amy wyszli, Amy pozwoliła mi robić wszystko, co chciałem. Przez cały czas jak to robiliśmy, słyszałem za plecami głos ojca, nawet raz czy dwa parskałem śmiechem, bo dziwnie mi było pieprzyć się na oczach starego. Szarobiel z ekranu telewizora rzucała na nasze ciała zmienne cienie, a kiedy już skończyliśmy, leżaliśmy jeszcze chwilę ramieniem przy ramieniu, oglądając końcówkę filmu. Nazajutrz rano Amy postanowiła, że zjemy śniadanie na werandzie. Razem nakrywaliśmy do stołu, a Amy wyniosła nawet radio tranzystorowe, żebyśmy mogli przy jedzeniu posłuchać muzyki. Leciła właśnie „Massachusetts” Bee Geesów, rozparłem się na bujanej kanapie - kiedy nagle przerwano piosenkę, żeby podać komunikat z ostatniej chwili: samolot Stephena Abbeya rozbił się w Nevadzie, nikt nie ocalał. Ani drgnąłem, kiedy na antenie wróciła końcówka piosenki. Amy pokazała się w drzwiach z patelnią jajecznicy i kanadyjskiego bekonu. Zawołała mnie do stołu. Nie słyszała komunikatu. Człowiek, jak już mówiłem, robi dziwne rzeczy, kiedy go spotka coś strasznego. Co ja zrobiłem? Usiadłem do stołu i wymiotłem talerz do czysta. Brałem nawet dokładkę jajecznicy. Potem położyłem widelec koło pustej szklanki po soku pomarańczowym i powiedziałem: „Mój ojciec zginął przed chwilą w katastrofie lotniczej”. Wśród uczniów panowała wówczas taka moda, że co drugie zdanie było zgrywą, więc słodka Amy Fischer tylko pokręciła głową nad moim brakiem dobrego smaku i spokojnie jadła dalej.

Kiedy włączam telewizor i na ekranie jest akurat film „Pani i Pan Czas”, natychmiast przypomina mi się wyraz niesmaku na twarzy Amy i determinacja, z jaką dalej wsuwała żółta jajecznica.

Dopiero po paru sekundach uprzytomniłem sobie, że przed domem zatrzymał się samochód. Kierowcy nie widziałem, za to dobrze widziałem dużą, białą kluczę usadowioną na tylnym siedzeniu i rozplazczającą nos o półotwarte okno. Samochodem była złoto-biała furgonetka Dodge'a, dokładnie taka sama, jaką matka w filmie „Beaver To Załatwi” wozila swoją rodzinę. Starałem się dojrzeć kierowcę, ale biały bullterier zaczął gwałtownie przeskakiwać z tylnego siedzenia na przednie i z powrotem. Doszedłem do wniosku, że to nikt inny tylko Anna i Pańcia. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z wozu wychyliła się nienaganna czarna fryzura mnicha. Anna przeskonila dłońmi oczy i spojrzała w stronę domu.

- Hej tam!

Pomachałem jej książką, zażenowany z powodu szortów i podkoszulka. Nie wiem czemu, bo przecież tak skutecznie zdołałem w sobie stłumić niepewność z okresu dzieciństwa, że jest mi teraz najzupełniej obojętne, co kto pomyśli o moim stroju.

Anna stała przy samochodzie i mówiła z jedną dłońią przystawioną bokiem do ust:

- Przyjechałam sprawdzić, czy życie po wczorajszym wieczorze. Bardzo mi przykro, że musiałem was tak zostawić.

- Czy Dawid nie mówił panu, jakie jest moje zdanie na temat biografii ojca?

Odpowiedziała Saxony.

- Owszem, mówił, że jest pani zagorzałą przeciwniczką powstania takiej biografii.

- To nie całkiem prawda. Byłam temu przeciwna, ponieważ jak dotąd wszyscy, którzy chcieli o nim pisać, przybywali tu do nas ze złych pobudek. Każdy miał ambicję uchodzić za autorytet w sprawie Marshalla France'a. A kiedy się z jednym czy drugim chwilę porozmawiało, okazywało się, że absolutnie ich nie obchodzi, jakim człowiekiem był on naprawdę. Dla nich jest to postać literacka.

Przez jej głos przesunął się, jak lawica ciemnych chmur ton głębokiej goryczy. Mówiła zwrócona twarzą do Saxony, więc widziałem tylko jej profil. Miała mocno zarysowany, ostry podbródek. Kiedy mówiła, białe zęby błyskały kontrastowo spod ciemnych, ciężkich ust, po czym gwałtownie zniknęły z koncem wypowiedzi. Miała długie, rzadkie rzęsy, jakby dopiero co starannie podwiniete. Na długiej, białej i niewiarygodnie bezbronnej szyi znaczyły się jedyne zmarszczki. Uznałem, że musi mieć nieco ponad lub nieco poniżej czterdziestki, ale wszystko w niej wyglądało jedrnie i zdrowo. Bez trudu mogłem ją sobie wyobrazić w późnej starości. Chyba, że po ojcu odziedziczyła słabe serce.

Zwróciła się do mnie, obracając w palcach niebieski plastikowy widelec, który dostałem do zebrerek.

- Gdyby pan znał mojego ojca, panie Abbey, wiedziałby pan, dlaczego jestem taka czula na tym punkcie. Ojciec był wyjątkowo zamknięty w sobie. Poza matką i panią Lee, jego jedynym prawdziwym przyjacielem był Dan - usmiechnęła się i skinęła głową w stronę sklepikarza, który wzruszył ramionami i skromnie spuścił wzrok na łopatkę - i może jeszcze parę osób z miasta. Wszyscy go znali i lubili, ale on nie znoślił być na widoku i robił wszystko, żeby tego uniknąć.

Dan słysząc to, odezwał się, ale tylko do Anny:

- Najbardziej lubił przyść do mnie do sklepu i sięć razem ze mną za ladą masarską, na takim drewnianym stołku jak te, co mam na zapleczu. Czasami, jak ktoś z personelu nie przyszedł do pracy, siadał za kasą.

Co za początek do mojej biografii! France siedzący przy kasie w sklepie Dana w Galen! Nawet jeżeli książka nie miałaby dojść do skutku, wielką frajdą było dla mnie siedzieć tu w towarzystwie ludzi, którzy stanowili część jego życia. Zazdrościłem im wszystkim nieprzytomnie.

- Łatwo było poznać, kiedy siedzi u ciebie na zapleczu, Dan. W sklepie nie było obsługi.

Dan poskrobał się po głowie i puścił do nas oko. Zaczęło mnie nurtować uporczywe pytanie. Patrzyłem oto na krego grubasa, sklepikarza, który spędził całe lata w towarzystwie mojego idola. O czym oni mogli z sobą rozmawiać? O baseballu? O babach? O tym, kto się wczoraj schiał w remizie? Było to myślenie wstretne i niegodne, ale dlaczego chociaż na jedno popołudnie nie mogłem zająć jego miejsca za ladą masarską? Jedno popołudnie pogaduszek o dupie Maryni z Marshalliem France'em, a może także o książkach, o wyobraźni... o postaciach z jego utworów.

- No, przyznaj się, Marshall, jak wpadłeś na pomysł (wypełnić miejsce wykropkowane)?

Na to on opierałby się plecami o udzce jagnięce i mówił coś w tym stylu:

- Kiedy byłem mały, poznałem potykaczą noży...

Potem nastawilibyśmy radio, żeby wysłuchać sprawozdania z meczu piłkarskiego w tym półsennym, rozluźnionym nastroju, w którym mężczyźni zwykle gawędzą i spoglądają w dal. Omawialibyśmy przeciętną celnych uderzeń Stana Musiala albo nowy traktor Freda...

Pogrążony w marzeniach o rozmowie z France'em, usłyszałem nagle głos Saxony: „coś tam - coś tam - coś tam - Stephen Abbey”. Natychmiast otrzeźwiałem, a kiedy znów objąłem wzrokiem rzeczywistość, pani Fletcher wpatrywała się we mnie z rozdziawionymi ustami.

- Stephen Abbey to pana ojciec?

Wzruszyłem ramionami, ciekaw, dlaczego Saxony wyciągnęła szyld z worka. Oj, zanosilo się na to, że będziemy musieli odbyć miłą rozmówkę!

W powietrzu rozległ się delikatny, przypominający wizg pily łańcuchowej, płacz niemowlaka i zatkał łukę w rozmowie.

- Ten facet jest synem Stephena Abbeya!

Stało się. Wszystkie oczy podniosły się znad talerzy, kotlety powędrowały w dół, dziecko przestało

plakać. W spojrzeniu, które posłałem Saxony, czaiła się nagła śmierć. Saxony przestała się uśmiechać i odwróciła wzrok. Próbowala załagodzić sytuację, tłumacząc Annie, że skoro oboje mieliśmy sławnych ojców, na pewno dobrze się dogadamy.

- Nawet jeżeli to prawda, to mój ojciec grał w innej lidze niż ojciec pana Abbeya.

Mówiąc to, Anna patrzyła wprost na mnie. Jej wzrok bez żenady wedrował po mojej twarzy. Ta drobna lustracja trochę mi się podobała, a trochę nie.

- A więc to prawda? Stephen Abbey był pana ojcem?

Ująłem zimne zeberko palcami i wgrzyłem się w nie. Chciałem jak najbardziej opóźnić odpowiedź, a pokazywać kęs mięsa w ustach uznałem za dobry sposób.

- Tak - mlask, mlask. - Był

Wzrokiem hipnotyzera wpatrzyłem się w zeberko i moje własne tłuste palce. Żucie szło mi łatwo, gorzej było z polykaniem. Jakoś poszło, za pomocą połowy puszkii coca-coll.

- Pamiętasz, jak ja i twój ojciec wzięliśmy cie do kina na „Nowicjuszy”, Anno?

- Naprawdę?

- Co znaczy - „naprawdę”? Tak było. Pojechaliśmy do kina w Hermann, a ty bez przerwy chciałaś siusiu.

- Jakże to uczucie, panie Abbey?

- To raczej pani powinna mi o tym opowiedzieć, panno France - odparłem z dwusekundowym złośliwie-przebiegłym uśmiechem, który ona podchwyciła i skwapliwie odestała mi przez stół.

- Pomyśleć: dwoje dzieci sławnych ojców przy naszym skromnym stole, Dan!

Pani Fletcher klasnęła w ręce, a potem położyła dłonie płasko na blacie i tarta nimi w przód i w tył, jakby heblowała stół.

- Anno, bułki się kończą!

Zerwała się na równe nogi, spojrzała na swoje spodnie i strzepnęła z nich parę okruchów.

- Może porozmawiamy później? Wpadnijcie do mnie dzisiaj na kolację. Około wpół do osmej? Eddie dał wam adres i pokazał drogę, prawda?

Zatkało mnie. Wymieniliśmy uściski dłoni i Anna poszła. Kolacja, dzisiaj wieczorem, w domu Marshalla France'a? Eddie? Ten niedohipisialny wyrostek, którego podwieźliśmy samochodem? Przecież to niemożliwe, żeby zdążył tu przed nami.

★

Odwieźliśmy panią Fletcher do domu, który stał w drugim końcu miasteczka. Dom był fantastyczny. Dochodziło się do niego brukowaną ścieżką, przecinającą ogród, w którym rosły dwumetrowe słoneczniki, mikrodynie wielkości kasztanów, arbuzy i krzaki pomidorów. W opinii pani Fletcher, jedyny godny uwagi ogród to taki, który w całości da się zjeść. Róże i groszek pachnący nie robiły na niej żadnego wrażenia, bez względu na zapach.

Po czterech szerokich, drewnianych stopniach wchodziło się na zadaszony ganek jakby wyjęty z marzenia o popijaniu na nim mrożonej herbaty w środku sierpnia. Istny Norman Rockwell, bez blagi. Był tam też biały hamak, zdolny pomieścić chyba z dziesięć osób, dwa białe bujane fotele z zielonymi poduszkami na siedzeniach i nieskazitelnie biały ples o urodzie młodego prosięcia.

- A to Kulfon. Bullterier, jeżeli nie znacie tej rasy.

- Kulfon?

- Tak, to Marshall France go tak ochrzcił

Nigdy nie przepadałem za psami i kotami, ale z Kulfonem była to miłość od pierwszego wejrzenia. Był wyjątkowo szpetny, krep, ciasno obciągnięty skórą - jak wypchany serdelek, gotów w każdej chwili pęknąć. Oczy tkwiły po bokach głowy, jak u jaszczurki.

- Gryzie?

- Kulfon? Uchowaj Boże. Kulfon, chodź no tu, synku.

Kulfon wstał, przeciągnął się, a wtedy skóra na jego ciele spreżyła się wprost niebezpiecznie. Zbliżył się do nas na sztywnych nogach i natychmiast legł z powrotem, jakby wysiłek paru kroków skrajnie go wyczerpał.

- Te rase hodowano w Anglii do psich walk. Walka wyglądała tak, że wpuszczano psy do jednego

- Uspokój się, Joe. Poczekamy, zobaczymy. Zadzwoń pan po karetkę, panie Abbey? Numer jeden-dwa-trzy-cztery-pięć. Pięć pierwszych cyfr. To gorąca linia.

Chłopcu zabułgotało w gardle, a jego nogi raz czy dwa podskoczyły mimowolnie, jak udka żaby dotkniętej elektrodą na lekcji biologii. Spojrzałem na Jordana, ten jednak patrzył wciąż na dziecko i kreślił głową.

- Powtarzam ci, Gaseczko, wszyscy wiedzą, że to nie miałem być ja!

Kiedy się odwróciłem, żebybiec do telefonu, usłyszałem za sobą głos pani Fletcher:

- Nie denerwuj się, trzeba czekać.

Asfalt parzył moje bose stopy. Kątem oka raz jeszcze dostrzegłem topniejącą porcję lodów. W biegu minąłem Saxony, stojącą na górnym stopniu ganku. Przytrzymała Kulfona za szeroką obrozę.

- Czy on nie żyje?

- Jeszcze żyje, ale kiepsko z nim. Muszę zadzwonić po karetkę.

Kiedy przyjechało pogotowie, w pewnej odległości od miejsca wypadku stało już więcej gapiów. Środek ulicy zajął biały samochód policyjny, na dachu którego zapalał się i gasł rząd nerwowych niebieskich lampek.

Krotkie erupcje rozmów z krótkofalówką radiowozu wypełniały przestrzeń urywanym klekotem, który uspokajał i irytował zarazem.

Stojąc na ganku, patrzyliśmy, jak pielegniarze ostrożnie kładą wiotkie ciało na noszach i wsuwają na tył ambulansu. Po odjeździe karetki, Joe Jordan i policjant rozmawiali o czymś, stojąc przed naszym domem. Jordan co chwila pocierał dłonią podbródek, a gliniarz założył oba kciuki za szeroki, czarny pas munduru.

Pani Fletcher oderwała się od gromadki gapiów i przyłączyła do nich dwóch. Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę, po czym Jordan i policjant odjechali razem wozem patrolowym. Pani Fletcher odprowadziła ich wzrokiem. Po chwili odwróciła się i gestem przywołała mnie do siebie. Zszedłem po schodach i zbliżyłem się do niej po nagrzwanych płytach chodnika.

- Wszystko widziałeś, co, Tom?

- Tak, niestety. To okropne.

Słońce stało wysoko, dokładnie nad ramieniem pani Fletcher. Musiałem przekrzywić głowę, żeby popatrzeć jej w oczy.

- Czy chłopiec śmiał się, zanim został potrącony?

- Śmiał się? O czym pani mówi?

- Pytam po prostu, czy się śmiał. Śmiał się - rozumiesz chyba, co to słowo znaczy? Jadł lody pistacjowe w rożku, to się zgadza, ale czy się śmiał?

Pytanie było zadane całkiem serio. Co to wszystko miało znaczyć?

- Nie wiem, nie zauważyłem

- Pomyśl. Śmiał się, czy nie?

- Chyba nie, prawie na pewno nie. Patrzyłem na niego aż do momentu potrącenia, ale nie aż tak dokładnie. Chociaż tego akurat jestem pewien, tak, nie śmiał się. Czemu to takie ważne?

- Ale przejechał ręką po płocie, tak?

- Owszem, przejechał ręką po płocie. Wolną ręką, po szczycie płotu

Przyjrzała mi się bacznie. Poczułem się głupio i niewyraźnie. Żeby uciec spod rentgena jej wzroku, rozejrzałem się dookoła: wszyscy zebrani przyglądali mi się w ten sam beznamietny sposób, który tak mnie wytrącił z równowagi poprzedniego dnia, przy różnie.

Stary farmer w rdzawym stroju, młody chłopak z torbą warzyw pod pachą, kobieta o wyglądzie nadzianej lali z włosami podkreconymi do góry na różowe łokówki i nieapetycznie dyndającym w kciuku ust papierosem - wszyscy się na mnie gapili...

■

W godzinę potem pani Fletcher i Saxony udały się na zakupy. Zapowiedziały, że wrócą dopiero wczesnym popołudniem. Właściwie miałem ochotę iść z nimi, ale nie zapraszały mnie, a nie mam zwyczaju sam się wpraszać. Poza tym, pomyślałem, że dobrze nam zrobi jak się na chwilę rozstaniemy. Chciałem spisać notatki, które w postaci luźnych myśli gromadziły się w mojej głowie od chwili przy-

- Jak się dzisiaj miewasz, koleżanko? - zapytałem.
- Dobrze. Tylko czasami w nocy szajba mi odbija. Myśle, że na pewno nic się nie uda albo że ty sobie pójdziesz... takie tam. Całe życie tak miałam. Myśle, że teraz to z przemęczenia. Rano na ogół wszystko wraca do normy.
- Leciutkie rozdwojenie osobowości, co? - zdjąłem jej z oczu pasek włosów.
- Tak, wcale nie takie leciutkie. Dokładnie wiem, co się we mnie dzieje, kiedy się dzieje, ale w żaden sposób nie mogę tego powstrzymać. - Przerwała i wzięła mnie za rękę. - Myszysz, że jestem stuknięta, Tomaszu? Nie przestajesz mnie lubić, kiedy to się dzieje?
- Nie bądź śmieszna, Sax. Znasz mnie przecież i wiesz, że gdybym przestał cię lubić, to bym sobie poszedł. Nie myśl tak.

Uściskałem jej rękę i pokazałem język. Naciągnęła poduszkę na głowę, a Kulfon natychmiast spróbował wturcić tam za nią i swój łeb.

Spojrzałem za okno. Żalany słońcem ogród chwiał się na wietrze. Nad niektórymi roślinami krawczyły pszczoły, czerwony ptaszek przysiadł jak ogień na balustradzie werandy, niecałe trzy stopy ode mnie.

Wczesny ranek w Galen, Missouri. Ulicą przejeżdżały nieliczne samochody. Ziewnałem. Dzieciak liżący lody w wafłowym rożku szedł wzdłuż płotu pani Fletcher i wolną ręką przesuwiał po szczycie parkanu. Tom Sawyer z wściekle zielonym, pistacjowym lodem. Przyglądałem mu się sennie, zdumiony faktem, że jest na świecie ktoś, kto potrafi jeść lody o godzinie osmej rano.

Nie oglądając się na boki, chłopiec ruszył na drugą stronę ulicy. I wtem - wyleciał w powietrze, jak wystrzelony z procy. Furgonetka jechała na pełnym gazie, więc chłopca wyrzuciło wysoko ponad moje pole widzenia z okna. Kiedy zniknął mi z oczu, nadal jeszcze wzrósł się w górę.

- O cholera! - chwyciłem portki z krzesła i rzuciłem się do drzwi. Usłyszałem wołanie Saxony, ale nie zatrzymałem się dla złożenia wyjaśnień. Po raz drugi w życiu oglądałem scenę potrącenia człowieka przez samochód. Za pierwszym razem było to w Nowym Jorku. Ofiara wylądowała na głowie. Zbiegając z ganku po dwa stopnie, pomyślałem sobie przelotnie, jak nierealnie wyglądają takie wypadki. Widzisz faceta, który gada ze znajomym albo liże loda - potem szybki ruch, gluche uderzenie - i martwe ciało sztybuje w powietrzu.

Kierowca wysiadł z furgonetki i stał pochylony nad ciałem. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, kiedy doszedłem na miejsce, były zielone lody, oblepione ziemią i żwirem. Zaczynały już topnieć na czarnym asfalcie.

Nikogo więcej nie było w pobliżu. Zbliżyłem się do kierowcy i z wahaniem zajrzałem mu przez ramię. Śmierdział potem i ciepłem ludzkiego ciała. Chłopiec leżał na boku, z nogami rozrzuconymi jak na stop-klatce ukazującej dziecko w biegu. Z ust sączyła mu się krew, oczy były szeroko otwarte. Nie: tylko jedno oko było otwarte, drugie było półprzymknięte, powieka gała.

- Mogę pomóc? Wezwę karetkę, dobrze? Niech pan tu zostanie, a ja polecę wezwać karetkę.
- Kierowca odwrócił się: znałem jego twarz z biesiady przy rożnie. Był jednym z kucharzy. Stary kawalarz.

- Nic się nie zgadza. Ale ja to wiedziałem. Tak, pewnie, niech pan ściągnie karetkę. Nigdy nic do końca nie wiadomo.

Twarz miał ściągniętą, minę przerażoną, ale najbardziej zdumiał mnie ton jego głosu: złość mieszała się w nim z żalem nad sobą. Bez cienia lęku. Czy też skruchy. Uznałem, że to wynik szoku: ludzie na skutek ciężkich przeżyć często się dziwnie zachowują i mówią od rzeczy. Nieszczęsny błazen wiedział prawdopodobnie, że na jego życie padł w tej chwili cień, niezależnie od tego, co będzie z chłopcem. Był skazany na pięćdziesiąt, z grubsza sądząc, lat życia w świadomości, że przejechał dziecko. Jak Boga kocham, było mi go żal.

- Joe Jordan! Przecież to nie miałeś być ty!
- Pani Fletcher wyłoniła się zza naszych pleców z różową ściereczką do naczyń w dłoni.
- Wiem, niech to wszyscy diabli! Co tu się jeszcze popieprzy, zanim zrobimy z tym porządek? A to wczorajsze - słyszała pani? Która to już była kolejna rzecz - czwarta? Piąta? Teraz już nie ma mądrych, nie ma!

kojca albo dołu, a one szarpały się nawzajem na strzępy. Ludzie mają pomysły nie z tej ziemi, co, Kulfon?

Pysk psa pozostawał bez wyrazu, chociaż oczy bacznie śledziły wszystko. Małe, brązowe węgielki oczu, osadzone głęboko w facjacie śnieżnego bałwana.

- Może go pan pogłaskać, Tom. On lubi ludzi.
- Wyciągnąłem rękę i bez przekonania pacnąłem Kulfona dwukrotnie po głowie, jak przycisk na hotelowym kontuarze. Wetknął pysk we wnętrze mojej dłoni. Podrapałem go za uchem. Było to takie przyjemne, że postawiłem torbę na ziemi i usiadłem na deskach ganku koło psa. Wstał, wdrapał mi się do połowy na kolana i znów padł, jak mięsisty worek. Saxony podała mi swój pleciony koszyk i zeszła do ogrodu podziwiać pomidory.

- Posiedźcie tutaj chwilę, a ja pójdę do środka i wszystko przygotowuję.
Pani Fletcher zniknęła w głąb domu.

Kulfon na chwilę uniósł głowę, popatrzył za nią, ale postanowił zostać na moich kolanach.
Po pożegnaniu z Anną przy rożnie, powiedziałam pani Fletcher, że chętnie wynajmiemy jej „dół” na parę dni, a jeżeli sytuacja rozwinie się pomyślnie, to wynajmiemy go na dłużej, płacąc raz na tydzień. Zgodziła się i powtórzyła, że wcale jej to nie przeszkadza, że nie jesteśmy małżeństwem. Dałem jej czternaście dolarów załiczki.

Obok domu pani Fletcher stała wielka, żółta lodownia z przełomu wieku. Przyglądałem się jej z mieszanim lęku i zachwytem. Solidna i niewzruszona, a zarazem jakoś bardzo nie na miejscu, nawet w takim sennym miasteczku jak Galen, gdzie - byłem o tym przekonany - nadal można było kupić garść cukierków za pensa. Nasza gospodyni wyjaśniła, że jeszcze parę lat wstecz budynek służył za magazyn, aż do dnia, w którym kilka przegniłych belek odpadło ze stropu zabijając dwóch nietutejszych robotników. Po wypadku przyjechała z St. Louis „banda bubków”, którzy dokonali oględzin gmachu pod kątem przerobienia go na sklep antykwaryczny, ale mieszkańcy Galen niedwuznacznie dali im do zrozumienia, że nie życzą tu sobie ani ich, ani żadnego przerabiania lodowni - co to, to nie!

Co się tyczy moich emocji w stosunku do Saxony, to wydarzenia ostatnich godzin tak mnie wyczerpały, że nawet jej nie spytałem, dlaczego wszystko wypaplała. Teraz zaś, głosząc Kulfona i popatrując na lodownię, podsumowywałem osiągnięcia dnia i musiałem przyznać, że przez to jedno popołudnie w Galen zaszliśmy dalej niż w ogóle uważałem za możliwe. Dojechaliśmy na miejsce, znaleźliśmy kwatere, poznaliśmy grupę miejscowej ludności i Annę France za jednym zamachem, a w dodatku - co już graniczyło z cudem - zostaliśmy zaproszeni do jej domu na kolację. Może więc Saxony nie zrobiła jednak aż takiego głupstwa? A może to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, że spadliśmy prosto na cztery łapy w Krainę France'a?

Rozdział IV

- Na tym zdjęciu jest mój mąż, Joe. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają wam w pokoju zdjęcia zmarłych? Mogę je stąd usunąć.

Pani Fletcher wzięła się pod boki i z dezaprobatą patrzyła na Joe'ego. Wyglądał jak Larry z filmu „Trzy kozły ofiarne”. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak wyglądało ich wspólne życie.

- Ten pokój za życia męża był jego gabinetem. Dlatego trzymam to zdjęcie. Zostawiłam tu też jego mały telewizor, radio, biurko, przy którym pisywał wszystkie swoje petycje i listy... - jednym gestem ogarnęła cały pokój, i telewizor, i radio, i biurko. Na ścianach wisiały dyplomy i świadectwa, fotografia pana domu z gigantyczną rybą i druga, z ręką na ramieniu syna, który właśnie ukończył szkołę, i jeszcze jedna, z nominacji na Łosia. Na tle jednej zielonej ściany stała zielona etażerka zastawiona numerami „Reader's Digest”, „Popular Mechanics” i „Boy's Life”, pośród których widniały nieliczne książki. Jedno ze świadectw na ścianie dziękowało panu Fletcher za przewodzenie skautom w roku 1961. Prawie całą podłogę okalała kolisty czerwono-zielony dywan, ale ledwie weszliśmy do pokoju, Kulfon ułożył się tuż przy mojej nodze, na jednym z nielicznych, odsoniętych kawałków ciemnego parkietu. Byliśmy już jak starzy kumple. Koło okna stał jeszcze jeden bujany fotel, na oko sądząc, bardzo wygodny. Ledwie sta-

nałem w progu, od razu poczułem, jak przyjemnie musi się mieszkac w tym pokoju. Duże okno dawało widok na wciąż jeszcze zalany słońcem ogród warzywny.

Na dole, poza gabinetem, były jeszcze trzy pomieszczenia: sypialnia, w której wszystko lśniło białą lodowca i pachniało lawendą, salon, wyposażony w gigantyczne, wiktoriańskie meble, które wszystko wokół pomniejszały i przede czy później na pewno przyprawiłyby mnie o depresję, oraz kuchnię-jadalnię, tak wielką, że mogłyby się w niej odbywać Konwencje Demokratów. Za jedne trzydzieści pięć dolarów tygodniowo. Pomyślałem, czy nie warto by się zainteresować miejscową szkołą – może mają wolny etat dla anglisty. Wprowadziłbym się tutaj z Saxony, ściągnąłbym dyplom pedagogiczny z Missouri, za dnia uczyłbym w szkole, a wieczorami czytałbym sobie i pisał książkę, gdyby rozmowy z Anną jednak dały pomysłowy rezultat... Kulfon złożył łeb na mojej stopie i tym samym sprowadził mnie na ziemię.

Uświadomiłem sobie, że śniąc na jawie, cały czas wpatrywałem się w etażerkę. I nagle dotarło do mnie, w co się tak wpatruję. Podskoczyłem do półki jak oparzony, wyciągając reke po łup o wiele za wcześnie.

– Saxony! „Nocne wyścigi w głąb Anny”! Popatrz! – Już trzymałem książkę w garści, już ją kartkowałem gorączkowo w te i z powrotem. – Coś podobnego, zobacz! O trzy rozdziały więcej niż w twoim wydaniu, Sax!

To ją ruszyło. Wyrwała mi książkę.

– Masz rację, nic z tego nie rozumiem.

Odwrociła się, żeby zapytać panią Fletcher, ale starej gospodyni już nie było. Popatrzyliśmy po sobie, a potem ja wyjrzałem przez okno, które tkwiło tuż nad ramieniem Saxony. Skarłała przez kontrast z potakującymi i chwiejnymi słonecznikami, nasza gospodyni szła przez ogród w stronę domu. Patrzyła prosto w okno. Prosto na nas.

Saxony usiadła na wysokim białym łóżku i zrzuciła tenisówki.

– Pozwolisz mi pierwszej przeczytać? Szybko skończę.

– Jasne, czytaj. I tak chciałem wziąć prysznic.

Prysznica jednak nie było. W zamian za to znalazłem w łazience siedmio- albo i ośmiostopowej długości wannę na białych łąkach, przytrzymujących pazurami białe kule. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby się wymoczyć w letniej wodzie – właściwie, po wszystkim, co się tego dnia zdarzyło, była to nawet wielce kusząca perspektywa. W metalowej mydelniczce czekało nietknięte, pekaty mydło Ivory, a przez ściankę wanny przewieszony był miesisty ręcznik froté i ściereczka do namydlenia.

Namydlałem właśnie głowę, śpiewając przy tym piosenkę Randy Newmana, kiedy do łazienki wparowała Saxony. Trzymała w ręku książkę i bez słowa wyjaśnienia usiadła na białym, wiklinowym koszu na brudy.

– Wszystko w porządku, Sax?

– Tak. Jakoś odechciało mi się czytać. Myślałam, że chce, ale jakoś nie chce. Gniewasz się?

– Nie. Przedtem tak. Przedtem chyba byłem na ciebie zły, ale wszystko tak się świetnie ułożyło, że mi przeszło.

– Dlatego, że powiedziałam o twoim ojcu?

– Dlatego też. Ale przede wszystkim dlatego, że wygadałaś o biografii.

Wstała z kosza i podeszła do umywalki. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze apteczki.

– Tak właśnie myślałam. Cieszysz się, że idziemy do niej na kolację?

Mówiła bezbarwnym tonem, do którego nie byłam przyzwyczajona. Na ogół miała oddzielny ton na każdy nastrój i z łatwością można było rozpoznać po głosie, jak się w danej chwili czuje. Odkąd jednak weszła do mnie do łazienki, mówiła jak gadający komputer.

– Jasne, że się cieszę! Czy rozumiesz, że jeżeli ona nas – cudzysłów – zaakceptuje, to będziemy w połowie drogi do sukcesu?

– Rozumiem. Co sądzisz o tym miasteczku?

– Saxony, czy byłabyś uprzejma poinformować mnie, co się stało? Mówisz jak ktoś z „Nocy żywych umarłych”. Co z tobą, śpisz, czy co? Nie dociera do ciebie, że jesteśmy zaproszeni na kolację przez Annę France – Tę Annę France?

ostatecznej decyzji w sprawie biografii. Niemy flirt między Anną a mną. Co za potwór ze mnie. Tulilem Saxony i całowałem czubek jej głowy. Całe to przytulanie, dotykane i poczucie winy sprawiło, że gwałtownie jej zapragnąłem. Przewróciłem ją delikatnie na plecy i podsunąłem koszulę do góry.

Rozdział VI

Nazajutrz rano słońce wśliznęło się do pokoju i na nasze łóżko około godziny siódmej. Obudziło mnie jego ciepło na twarzy. Nienawidzę wcześnie wstawać, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne, więc zacząłem się wiercić i kokosić w poszukiwaniu kawałka cienia. Niestety, Saxony przykleiła się do mnie na dobre, więc poruszałem się z trudem.

Na domiar złego, drzwi się nagle uchyliły i do pokoju przydreptał Kulfon. Bez pardonu wskoczył na łóżko. Czulem się tak, jakbyśmy wszyscy troje płyneli tratwą przez sam środek oceanu, bo leżeliśmy ścisczeni jedno na drugim pośrodku łóżka. Nie wspominałem dotąd, że mam klaustrofobie. Zapieczetowany między dwoma gorącymi korpusami, z głową opiekana słońcem i nogami omotanymi przescieradłem... doszedłem do wniosku, że czas wstawać. Poklepałem Kulfona po łbie i pchnąłem go lekko. Warknął. Myślałem, że to zwykła poranna gburowatość, więc jeszcze raz poklepałem go po głowie i pchnąłem. Warknął głośniej. Wymieniliśmy spojrzenia ponad cienką różową falą koca, ale bulliternery mają pysk absolutnie pozbawiony wyrazu, więc nigdy nie wiadomo, co sobie myślą.

– Kulfon, dobry piesek.

– Dlaczego on na ciebie warczy? Co mu zrobiłeś?

Saxony przytuliła się jeszcze mocniej i poczułem na szyi jej ciepły oddech.

– Nic mu nie zrobiłem. Chciałem go odsunąć, żeby mógł wstać.

– Ohoho. Spróbujesz jeszcze raz?

– Sam nie wiem. A jak mnie ugryzie?

Popatrzyłem na nią przez ramię. Zamrugała oczami.

– Nie, nie sądzę. On cie lubi. Pamiętasz wczoraj?

Mówiła to z dużym przekonaniem.

– Coś podobnego. Wczoraj to wczoraj, a dzisiaj to dzisiaj, a w ogóle to nie o twoją rękę tutaj chodzi.

– Więc zamierzasz tu tkwić całe rano? – Uśmiechnęła się i płaskim wnętrzem dłoni potarła nos. Dzięki Bogu, że przeszło jej to wczorajsze. – Tom-cio-ma-cy-ko-ra...

Popatrzyłem na Kulfona, a on na mnie. Pełna pogarda. Czubek nosa jak suszona śliwka sterczał zza jednej z czterech łap.

– Pa-ni-Fletch-er!!!

– Tomasz, przestań, nie rób tego. Może ona jeszcze śpi.

– Tym gorzej dla niej. Nie dam się pogryźć. Dobry piesek. Kulfon. Pani Fletcher!

Usłyszeliśmy krok, a tuż przed pojawieniem się głowy w szparze drzwi, Kulfon zeskoczył z łóżka, żeby powitać panią.

Saxony zanosila się ze śmiechu, naciągnęła poduszkę na głowę.

– Dzień dobry państwu. Co się stało?

– Dzień dobry Kulfon wlaź nam do łóżka, odepchnąłem go lekko, bo chciałem wstać, rozumie pani, a on zaczął na mnie warczeć. Bałem się, że mówi poważnie.

– Kto, Kulfon? Nigdy w życiu. Proszę spojrzeć.

Kulfon stał koło niej, ale cały czas miał oko na łóżko i na nas. Pani Fletcher odsunęła go nogą na bok. Zawarczał, nawet na nią nie patrząc. Jednocześnie merdał ogonem.

– Co państwo zjedzą na śniadanie? Postanowiłam pierwszego dnia wam zafundować. Załóżę się, że nie zrobiłaś zakupów prawda, Saxony?

Usiadłem i przyzłaziłem dłońmi włosy.

– Doprawy, nie powinna pani, przecież my z łatwością...

– Sama wiem, co powinienam. No więc – co państwo sobie życzą? Robię dobre naleśniki i parówki. To może naleśniki i parówki?

Zamówiliśmy naleśniki z parówkami. Pani Fletcher wyszła z pokoju, a Kulfon wskoczył z powrotem na łóżko. Przelazł przez moje nogi i umościł się w poprzek brzucha Saxony.

Światło zapaliło się, zanim doszedłem do szczytu schodów. Zobaczyłem, jak moje trzy przewodniczki znikają za ciemnym węglem.

- Jesteś tam? - dobiegił mnie głos.

Przyspieszyłem kroku i zawolałem:

- Tak, tak, jestem tuż za wami.

Podłoga była z jasnego, surowego drewna, starannie oheblowanego i zakonserwowanego: przypominała mi podłogi w domach skandynawskich. Żadnych stołów, krzeseł, boazerii, żadnych obrazów na ścianach. Dom zdawał się być podzielony na dwie osobowości: górną i dolną. Czysta, ascetyczna góra i zagracony dół. Wyszedłem zza węgła ściany i ujrzałem światło padające przez wąskie drzwi pokoju. Panowała absolutna cisza. Zbliżyłem się do wejścia, przekroczyłem próg i z miejsca doznałem zawodu. W pokoju nie było dosłownie nic, poza wielkim, debowym żaluzjowym biurkiem i obrotowym krzesłem osadzonym w specjalnym otworze w podłodze. Na biurku tkwił zielony bibularz i stare, pomarańczowe wieczne pióro Parkera, typ „Lucky Curve”. Nic więcej.

- Jak tu pusto.

- Tak, całkiem inaczej niż w salonie. Ojciec twierdził, że kiedy pracuje, wszystko go rozprasza, więc urządził sobie gabinet właśnie tak.

Rozdzwonił się telefon, który stał tuż za drzwiami, Anna przeprosiła nas i podniosła słuchawkę. Sax podeszła do biurka i przesunęła ręką po blacie.

- Oślepi? Jak to - oślepi? Niemożliwe. Jak to się stało?

Jedno spojrzenie na Saxony przekonało mnie, że i ona podsłuchuje. Anna miała napiętą twarz, patrzyła w podłogę. Wydawała się raczej zła niż zmartwiona.

- Dobrze już, dobrze. Nie ruszaj się stamtąd, a ja przyjadę najszybciej jak się da. Co? Nie! Masz siedzieć na miejscu! - Odłożyła słuchawkę i przesunęła ręką po czole. - Przepraszam, ale ktoś z moich znajomych miał wypadek. Muszę natychmiast jechać do szpitala. Podrzucę was do domu.

- Bardzo mi przykro. Czy możemy jakoś pomóc? Chętnie...

Potrząsnęła głową, patrząc gdzieś za okno.

- Nie. To niemożliwe.

Zgasiła światło i nie oglądając się na nas pospieszyła korytarzem w stronę schodów.

Rozdział V

- Śpisz? - Dotknęła bardzo lekko mojego ramienia, jednym palcem.

Przeturlałem się na drugi bok, twarzą do niej. Blask pełni księżyca wpadał przez okno i złocił długie białe pasma w jej włosach i bladoniebieskiej nocnej koszuli. Mimo że na wpół spałem, kolor ten przypominał mi widok pokoju France'a, zanim Anna zapaliła światło.

- Ja? Spać? Skądże znowu, Sax, gdzież bym...

- Proszę cie, Tomaszu, nie wyglupiaj się. Akurat teraz nie chcę, żebyś się wyglupiał. Proszę...?

Nie widziałem jej twarzy zbyt wyraźnie, ale po głosie poznałem, jaką ma minę. Oczy jeszcze suche, ale usta już obrócone kącikami w dół: zaraz zacznie bardzo szybko mrugać. To był jej niemy znak, że chce, żeby ją dotknąć i przytulić. A zawsze kiedy to już zrobiłem, przywierala do mnie z całej siły, tak, że aż robiło mi się smutno i zadawałem sobie pytanie, czy mam w tej chwili dość siły dla nas obojga - bo tego właśnie ode mnie oczekiwała.

- Wszystko dobrze, mała?

Położyłem dłoń na tyle jej głowy, tuż nad karkiem i poczułem czystą gładkość włosów.

- Tak, tylko teraz nic nie mów. Przytul mnie mocno i nic nie mów.

To się już zdarzało. Czasami nocą robiła się małutka i wystraszona, przekonana, że cokolwiek ma w życiu dobrego, zaraz to straci i nie będzie mogła nic na to poradzić. Nazywałem te stany jej „nocnymi lekami”. Ona sama pierwsza przyznawała, że to wszystko bzdury i czysty masochizm z jej strony, ale nic nie umiała na to poradzić. Najgorsze, mówiła, było to, że te stany przychodziły najczęściej albo wtedy, kiedy czuła się absolutnie szczęśliwa, albo kiedy była bezzdenie smutna i w depresji.

Tuląc ją, zastanawiałem się, czy tym razem nie ma tu przypadkiem mojej winy. Zrobiłem sobie dwussekundowy replay wieczoru u Anny. No tak: demonstracyjny chłód Anny. Parszywe jedzenie. Brak

Zdaje się, że byłem naprawdę zły i mój głos dawał temu wyraz. Pochwyciłem jej spojrzenie w lustrze, a wtedy ona uśmiechnęła się do mnie niemrawo. Potem odwróciła się, popatrzyła mi prosto w oczy, a ja poczułem się jak idiota, siedząc po szyję w wannie, z kolanami pod brodą i głową całą w pianie.

- Dociera. - Patrzyła na mnie jeszcze chwilę, a potem powtórzyła: - Dociera.

Podeszła do kosza, wzięła leżącą na nim książkę i wyszła z łazienki.

- No i co to miało być? - Zapytałem wannę. Mydło wymyskneło mi się z dłoni i z pluskiem utonęło w wodzie.

Kąpiel dokończyłem na wpół tylko wiedząc, co robię, bo przez cały czas usiłowałem rozgryźć sens zachowania Saxony. Kiedy jednak ociekając wodą wkroczyłem do sypialni, Saxony miała minę jakby nigdy nic, więc i ja postanowiłem siedzieć cicho.

Zamierzaliśmy udać się do domu France'a na piechotę. Pani Fletcher siedziała w bujanym fotelu na ganku i łuskała kukurydze. Kulfon leżał przy niej i pilnował dużej, białoróżowej kości, której na razie nie jadał. Pani Fletcher udzieliła nam szczegółowych wskazówek, jak dotrzeć do Anny, która mieszkała, jak się okazało, o jakieś sześć przecznic od nas. Schodząc z ganku, byłem przekonany, że gospodyni siedzi wzrokiem każdy nasz ruch, ale nie odwróciłem się, żeby to sprawdzić. Byłby to oczywisty nietakt, a nie miałem ochoty zadzierać z dobrodziejką. Gdybyśmy istotnie mieli zatrzymać się w Galen na dłużej, jej dom był zbyt ładny i zbyt wygodny (nie mówiąc już o tym, że tani), by z niego rezygnować tylko dlatego, że właścicielka jest wścibską dziwaczką.

Słońce, zasiadające z wolna na dachu lodowni, wyglądało blade w porównaniu z mocną, cytrynową zócią gmachu. Na jednej ze ścian widniały duchy niegdyś czarnych liter, których nie zauważyliśmy przechodząc tamtędy pierwszy raz.

- Popatrz, widziałaś to? „Własność Rodziny Fletcherów”. Ciekawe, dlaczego nam nie powiedziała, że jest właścicielką?

- Może się wstydziła przyznać do bogactwa? - Sax popatrzyła na mnie, mrużąc oczy pod słońce.

- Jakiego tam bogactwa? Bogactwa, które polega na wynajmowaniu pokoi obcym ludziom i posiadaniu nieczynnej lodowni? Moim zdaniem, nie chciała się przyznać, że jest właścicielką budynku, w którym ludzie ponieśli śmierć z powodu zaniedbań, jakich dopuścił się gospodarz.

Ta teoria na kilka najbliższych minut marszu w ciszy wzięła górę nad poprzednią.

Wieczór dopiero się zaczynał i niebo przybrało barwę kobaltowego błękitu, przeciętego przez sam środek białą kreską spalin lecącego gdzieś w górę samolotu. Daleko w tle postękiwała koparka, a koło stacji benzynowej Exxon prowadzonej przez Berta Keenera, pachniało świeżo skoszoną trawą, olejem samochodowym i benzyną. Przed stacją, na czerwonym, aluminiowym krześle ogrodowym, siedział facet, a przy nim, na stercie starych opon, stała puszka od piwa. Jeszcze jeden wykupany obraz Normana Rockwella, tym razem zatytułowany „Stacja benzynowa Berta w czerwcu”. Na stację zajechał nowy, biały volkswagen i ustawił się koło dystrybutora. Kierowca opuścił boczną szybę i wytknął głowę przez okienko.

- Rusz no czwórze, Larry! Za co ci płacą, za picle piwa?

Larry, ten z czerwonego krzesła, wykrzywił się paskudnie i zanim wstał z miejsca, spojrzał na nas.

- Kupi sobie taki szwabskie auto i zaraz mu się wydaże, że jest Adolfem Hitlerem, no nie?

Mineliśmy zamknięty sklep spożywczy, na którego witrynach kolorowe etykiety informowały o okazjnych zakupach bieżącego tygodnia. Zauważyłem, że ceny są tu niższe niż w Connecticut.

Dalej był bar dla kierowców, w którym dominował kolor wścieklej pomarańczy, a muzyka rockowa waliła przez megafon na cały nieasfaltowany parking. Megafon umieszczony był na dachu przysadzistego, sześciennego bunkra. Jedynym samochodem na parkingu był chevrolet z końca lat sześćdziesiątych, w którym siedział komplet pasażerów i wszyscy lizali duże porcje lodów w rożkach.

Sami nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się na uliczce Anny. Mój żołądek, do tej pory w miarę spokojny, powiedział reszcie organizmu „Łączcie!” i w ułamku sekundy ogarnęła mnie całego paniczna drżączka.

- Tomasz...

- Nic nie mów, Sax, włazimy i tyle. Niech to już raz będzie za nami.

Byłem kompletnie roztrzęsiony i wiedziałem, że nie wolno mi ani na chwilę przystanąć, bo kolana zaczęły mi latać i zapomne języka w gębie.

- Tomaszu...

- Przestań już!

Zdjąłem jej bezwładną rękę z zagiecia własnego łokcia i pociągnąłem w stronę domu Anny.

Wszyscy mieszkańcy miasteczka musieli w tym czasie albo siedzieć przy kolacji, albo powyjeżdżać za miasto, bo w drodze do Anny nie mineliśmy żywej duszy. Było to dość niesamowite. Domki utrzymane były na ogół w stylu białej, środkowo-zachodniej solidności. Drewniane parkany z aluminiowym daszkiem a na trawnikach żeliwne posążki. Na skrzynkach pocztowych widniały nazwiska w stylu Calder i Schreiner, a wśród nich jedno, które mnie urzekło: „Twierdza Bola i Leonil Burns”. Wyobraziłem sobie te domki w grudniu, z Bożonarodzeniową iluminacją i wielkimi neonowymi Świętymi Mikołajami na dachach.

A dalej był już ten dom. Znałem go aż za dobrze ze zdjęcia w gazecie. Wielki, brunatny, wiktoriański, z obfitością drewnianych ornamentów i przy bliższych oględzinach, małych witrażyków. Od frontu geste i starannie przystryżone żywopłoty. Mimo ciemnokakaowej barwy, dom sprawiał wrażenie świeżo pomalowanego.

W identycznym domu mieszkała moja babka. Dożyła w stanie Iowa dziewięćdziesięciu czterech lat i przez całe życie twardo odmawiała obejrzenia choćby jednego filmu syna. Kiedy umarła i robiono przegląd jej rzeczy, znalazło się wśród nich jedenaście oprawionych w skórę albumów z wycinkami dotyczącymi jego kariery, od pierwszego filmu począwszy. Babcia chciała, żeby ojciec został weterynarzem. W swoim wielkim, wiejskim domu i wokół niego, hodowała kupe zwierzątek, w tym osła i kure. Ilekroć ją odwiedzaliśmy, osioł gryzł mnie na powitanie, a potem się śmiał.

- ...wejść?

Saxony znów zagnieździła się u mnie pod pachą i świdrowała mnie wzrokiem.

- Słucham?

Miała ściągniętą twarz i rumieńce na policzkach. Poznałem, że denerwuje się nie mniej ode mnie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wejść? Zdało się, że już czas.

Spojrzałem na zegarek, absolutnie nie rejestrując tego, co widzę, i kiwnąłem głową.

Przeszliśmy przez ulicę i stanęliśmy przed domem. Oszklone drzwi, drewniana skrzynka na listy, na której białymi, drukowanymi literami wypisane było samo nazwisko (ależ w niej kiedyś musiały być listy!) i czarny przycisk dzwonka wielkości pionka od warcoba. Naciśnąłem go, a wtedy z drugiej strony domu zabrzmiały dzweczne kuranty. Pies zaszczał i zaraz ucichł. Spojrzałem pod nogi, gdzie leżała dopasowana kolorem do ścian domu brązowa mata z napisem „IDZ PRZECZ!” Trąciłem Saxony łokciem i wskazałem na matę.

- Myślisz, że to o nas chodzi?

Tego tylko brakowało. Uznałem matę za dobry kawał, a ona natychmiast musiała z niej uczynić kolejny problem. A jeżeli Anna istotnie...

- Witajcie. Proszę do środka. Na razie nie podam wam ręki, bo jestem cała tłusta od kurczaka.

- Popatrz, przecież to Kulfon!

Rzeczywiście. Biały bullterier wściubił pysk między kolana Anny i lustrował nas kornicznymi szparkami skośnych ślepi.

Anna ścisnęła psi łeb kolanami i przytrzymała go jak w dybach. Pies nie ruszył się, ale widziałem, że za plecami Anny merda ogonem.

- Nie, to jest Pańcia, narzeczona Kulfona.

Anna uwolniła psa, a Pańcia bezzwłocznie podbiegła do nas, żeby się przywitać. Miała równie przyjazne usposobienie jak Kulfon. Przedtem nigdy w życiu nie widziałem bullteriera, a tu nagle aż dwa w odstępie paru godzin. Obecność Pańci nie dziwiła jednak tak bardzo, skoro w drugim koncu ulicy mieszkał Kulfon.

Szeroki hol kończył się schodami. W połowie schodów, na podescie, dwa duże okna witrażowe rzucały refleksy w technikolorze na najniższe stopnie i fragmenty holu. Ściany były białe. Po lewej od wejścia wisiało duże, złote lustro typu rybie oko, a obok gięty, drewniany wieszak z kolekcją sfatygowanych

Było to pytanie testowe, ponieważ Lucente osobiście udzielił mi już na nie odpowiedzi. Dziewięć miesięcy.

- Dwa lata.

Znów zobaczyłem w jej rekach przycisk do papieru, który przerzucała z dłoni do dłoni.

Zerknąłem na Saxony, ale Saxony wpatrywała się w Anne.

- Co u niego robi?

- Co robił? - Anna wzruszyła ramionami, jakby pytanie nie było warto odpowiadać i co to za głupota ze strony mojej znajomej, że je w ogóle zadała.

- Na pewno nie robił tego, co się w takim miejscu zwykle robi, bo na widok trupa dostawał mdłości. Dostownie! Mówił mi, że ile razy zawołał go tam, gdzie odbywała się robota, wchodził, rzucił jedno spojrzenie i zaraz leciał do łazienki. Biedny ojciec, nie był stworzony do opieki nad zmarłymi. O nie. Wiecie, co tam robił? Gotował. Zajmował się kuchnią i sprzątaniami.

- I nigdy nie pomagał właścicielowi? Nawet później?

- Nigdy. Ojciec nie mógł patrzeć nawet na przejechane zwierzę. Ale powiem panu coś śmiesznego do pańskiej biografii. Ojciec czasami jeździł z karawanierzami po ciału. Raz dostali wezwanie na szóste piętro bez windy. Wdrapali się na górę, otworzyli drzwi i zobaczyli nieboszczyka o wadze trzystu funtów.

- Trzystu funtów? I jak go stamtąd wydostali? Dźwigiem?

Pomijając fakt, że i w tej sprawie na pewno kłamała, sam pomysł był frapujący.

Jej z kolei przypała do gustu mój dźwig. Rozesmiała się i - autentycznie! - klepnęła w kolano.

- Nie, niezupełnie. Zrobili tak: wystali ojca na parter i kazali mu pilnować, żeby nikt się nie krecił po schodach ani nie wchodził z ulicy. Ojciec zbiegł na parter, krzyknął, że droga wolna i chciał wracać na górę. A wtedy usłyszał głośne BUMS! I zaraz potem - BUM BUMS! Popatrzył do góry: karawanierze spokojnie turlali ciało w dół po schodach, pomagając sobie przy tym nogami. Wyobraża pan sobie? Niech pan pomyśli: wchodzi facet jakby nigdy nic do klatki schodowej, a tu prosto na niego turla się trzystufuntowy nieboszczyk - niezłe, co?

- Pani żartuje.

Uniosła trzy środkowe palce prawej ręki, dłonią do zewnątrz i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Słowo skauta.

- Turlali go po schodach? Przez sześć pięter?

- Dokładnie.

- No a potem? Musiał być przecież zdrowo poobijany?

- Był, oczywiście, ale zawieźli go do kostnicy, zrobili makijaż i tak dalej i na drugi dzień na pogrzebie - tak opowiadał ojciec - trup wyglądał jak nowy.

Bujda nie bujda, historia była przednia. Dostrzegłem w niej echa talentu narracyjnego France'a.

Anna odłożyła przycisk na brzeg stołu.

- Chciałby pan obejrzeć jego gabinet? Może pana zaciekawi.

- Nawet pani nie wie, panno France, jak marzę o obejrzeniu jego gabinetu!

Mówiąc to, do połowy uniosłem się z fotela.

Anna prowadziła, za nią kroczyła Pańcia, dalej Saxony, na koncu ja. Jest się tym dżentelmenem, nie?

W dzieciństwie siadywalismy z siostrą i bratem na szczycie schodów pokrytych czerwonym chodnikiem i patrzyliśmy, jak rodzice szykują się do wieczornego wyjścia. Byliśmy już w piżamach i puchatych, brązowych bamboszach, a światło z holu sięgało zaledwie czubków naszych stop. Z tej odległości nie słyszeliśmy, co mówią do siebie rodzice, ale czuliśmy się bezpiecznie i sennie, oni zaś wyglądali tak elegancko, tak pięknie. Tylko w takich chwilach ojciec był dla mnie kims więcej niż „papa”, którego prawie nigdy nie było w domu, a kiedy był, zbyt wylewnie okazywał nam swoją miłość. Nie pamiętałem o tym przez całe lata - takie drobne proustowskie wspomnienie, które łatwo ucieka, a tak bardzo cieszy przypadkiem odnalezienie. Wchodzenie po schodach do gabinetu France'a przywróciło mi ową obraz z taką siłą, że przez chwilę miałem ochotę uisnąć na schodach i przypomnieć sobie, jak to jest. Ciekawe, czy Anna też patrzyła stąd na swoich rodziców.

wcześniej niż inni zaczęli obawiać się Hitlera. Brat ojca, Izaak, został zamordowany w obozie koncentracyjnym.

Dawid Louis upiera się, że ojciec pani był jedynakiem.

Zna pan niemiecki, panie Abbey? Nie? Szkoda, Niemcy mają takie powiedzonko, które jak ułaj pastuje do Dawida Louisa: „Dreck mit zwei augen”. Rozumie pan? „Śmieć z oczami”. Chociaż niektórzy tłumaczyliby to raczej jako „Gówno z oczami”. Ja jestem dziś łaskawa.

Krawędzią widełca kilkakrotnie przejechała po stole. Do tego czasu mówiła tonem zrównoważonym i budzącym sympatię, ale „gówno” nagle wszystko odmieniło. Nie wyglądała mi na kobietę, która często używa wulgarnych słów. Przypominałem sobie za to Louisa, jak siedział w gabinecie na obitej płótnem kanapie i opowiadał mi niesamowitą historię o tym, jak Anna i jej koty parskają na niego z nienawiścią. W tym domu nie było żadnych kotów. Uznałem, że będzie to pytanie niewinne, w sam raz na pozbycie się „gówna”, które nadal wisiało w powietrzu.

– Czy ma pani koty?

– Koty? Nie, nigdy! Nienawidzę kotów

– A ojciec pani nie trzymał kotów?

– Nie. W zasadzie nie cierpiał zwierząt. Właściwie z tych pokrytych sierścią znosił jedynie bullterier-y.

– Naprawdę? Jego książki świadczą o tym, że sporo wiedział o zwierzętach.

– Jeszcze kawy?

Pokreśliłem głową tak zdecydowanie, że o mało mi nie odpadła. Anna nie zaproponowała Saxony dolówki herbaty. Ciekawe, czy to z uwagi na osobowość Saxony, czy dlatego, że była drugą, konkurencyjną kobietą. Rywalizacja o mnie? Szkoda żuć. Czasami spotyka się kogos i już z pierwszego dotknięcia rodzi się nagle niechęć, albo wprost przeciwnie. Osoba może być błyskotliwa, piękna, pociągająca, a ty jej nie lubisz i koniec. Jeżeli tak właśnie było w ich przypadku, to przyszłość przedstawiała się niewesoło. Postanowiłem nie myśleć o tym, dopóki Anna nie wypowie się ostatecznie w sprawie naszej biografii.

Wstaliśmy od stołu i przeszliśmy do drugiego pokoju, Saxony przodem. Było już ciemno, jeżeli nie liczyć światła wpadającego z ulicy. Wydobywało ono z mroku zarysy i półksiężycy masek, manekinów i innych przedmiotów i było, mówiąc ogólnie, dość niesamowite. Anna zatrzymała się tuż przede mną, z dłońmi na włączniku światła, ale nie zapaliła go.

– Ojciec lubił ten pokój właśnie tak. Często przyłapywałam go na tym, że stał w drzwiach i przyglądał się swoim skarbowi w takim kocim świetle.

– „Kocim świetle”, tak? To ze „Smutku Zielonego psa”?

– Brawo! Zna się tego France’a, co?

Włączyła światło i nagle wszystkie rzeczy, które straszą w nocy, stały się z powrotem tylko rzeczami, dziełami Bogu. Nie lubię filmów grozy, opowieści z dreszczykiem, koszmarnych snów, czarnych ubrań. Prowadzę lekcje z Poego, bo tak mi kaze program, ale po każdym czytaniu „Niedyskretnego Serca” przez dwa tygodnie muszę dochodzić do siebie. Owszem, lubię maski i niezwykle przedmioty, ale upodobanie do tego, co prawie realne, a strach przed tym, co potworne, to dwie absolutnie różne rzeczy. Proszę uprzejmie pamiętać, że jestem tchórzem.

Saxony usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. Pańcia oparła łapę tuż przy niej i spojrzała na Annę z pytaniem, czy może wskoczyć. Brak odpowiedzi uznała za „tak”, wobec czego jęła mozolnie gramolić się na górę, po jednej niezdarnej lapie na raz.

Po przyjeździe do Nowego Jorku zatrudnił się w zakładzie pogrzebowym. Och, najmocniej przepraszam, może ktoś z państwa ma ochotę na brandy, albo coś innego do picia? Kaniua? Tia miała? Smam wszystko.

Odmówiliśmy oboje, więc Anna zapadła się z powrotem w fotel.

– Ale to tajemnica. Tylko nieliczni wiedzą o pierwszej pracy mojego ojca.

Zerknąłem na Saxony, ale Saxony wpatrywała się w Annę. Nagle odezwała się, po raz pierwszy od kolacji.

– Jak długo pracował u tego grabarza?

meskich kapeluszy. Czyżby nosił je kiedyś Marshall France? Na prawo od wieszaka w kosztownych, nowoczesnych srebrnych ramach widniały grafiki przedstawiające osiemnasto- i dziewiętnastowieczne balony i zeppeliny. Obok nich – co bardzo mnie zaskoczyło, bo miałem France’a za człowieka skromnego – wisiały oprawione w ramki parodie okładek Van Walta do wszystkich jego książek... Nie chciałem okazać się wścibski, więc odwróciłem wzrok od obrazków. Może kiedyś, kiedy się wszyscy ze sobą oswoimy (jeżeli po dzisiejszym nastąpi w ogóle jakieś kiedyś) Zaczętem bawić się z Pańcią, która podskakiwała na środku holu. Zachęcona moim zainteresowaniem, poczęła skakać na mnie.

– Niesamowite są te psiaki. Właściwie do dzisiaj ich nie znałem, a teraz chętnie bym sobie takiego zafundował.

– Sporo ich pan tutaj zobaczy. Nasza okolica jest enklawą bullterierów. To jedyne psy, które uznawał mój ojciec. Jeżeli Pańcia stanie się zbyt nachalna, proszę ją po prostu odepchnąć. Bullterierzy to najsympatyczniejsze psy na świecie, ale chwilami dostają kuku na muniu. Proszę, chodźmy do pokoju.

Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, jaka ona jest w łozku, ale szybko odpędziłem tę myśl, gdyż wydało mi się świętokradztwem robić to z córką France’a. A zaraz potem pomyślałem, że do diabła ze skrupułami, Anna była pociągająca, miała niesamowity, głęboki głos, a styl, w jakim się ubierała – dzinsy i koszulki – podkreślał jej wciąż atrakcyjną, zgrabną figurę. Przekraczając próg pokoju, wyobraziłem ją sobie w paryskim atelier, żyjącą ze zwirowanym malarzem, któremu oczy się błyszczą jak Rasputinowi i który bierze ją pięćdziesiąt razy dziennie, w przerwach między malowaniem jej aktów a pićm absyntu.

W niesamowitym salonie France’a mój oszołomiony wzrok zarejestrował w pierwszej chwili następujące przedmioty: ręcznie rzeźbionego Pinoka z drzewa oliwnego, z ruchomymi rękami i nogami, manekin sklepowy z lat dwudziestych, wzrost sześć stóp, pomalowany w całości na srebrno, a z urody przypominający Jean Harlow uczesana gładko do góry oraz indyjski kilim Navaho. Kukiełki na reke i marionetki. MASKI! (w większości japońskie, południowoamerykańskie i afrykańskie, sądząc na pierwszy rzut oka). Pawie pióra w glinianym wazonie. Japońskie drzeworyty (Hokusai i Hiroshige). Cała półka budzików o malowanych cyferblatach, żeliwnych skarbonek i cynowych maskotek. Stare księgi w skórzanych oprawach. Trzy szeszcienne drewniane skrzynie po herbacie z Szanghaju, malowane w żółte, czerwone i czarne kwiaty, wachlarze, kobiety i czołna. Gdzieś w głębi leciał na stereo motyw przewodni „Kabaretu”. U góry wisiał nieruchomo wentylator z drewnianymi skrzydłami.

Staliśmy w drzwiach wstrzymując oddech. On był autorem książek, które nas zafascynowały, a tak wyglądał jego pokój – jedno idealnie pasowało do drugiego.

– Ludzie, którzy tu wchodzić po raz pierwszy, wpadają albo w zachwyt, albo w przerażenie. – Anna precyzyjnie się między nami i weszła do pokoju. Staliśmy dalej w progu, gapiąc się nieruchomo. – Moja matka była bardzo konserwatywna. Lubiała pokrowce na meble, serwetki i ocieplacze na imbryki. Wszystkie jej rzeczy leżą teraz na strychu popakowane w skrzynie, bo zaraz po jej śmierci we dwójkę z ojcem przerobiliśmy ten pokój. Przekształciliśmy go w wizję, którą mieliśmy od lat. Jeszcze jako dziecko lubiłam to samo co ojciec.

– Ależ to wspaniałe! Kiedy pomyśle o jego książkach i postaciach, i o tym, co tutaj widzę... – Rozpostarłem ramiona. – To cały on. Cały Marshall France.

To się jej spodobało. Zatrzymała się na środku pokoju, promieniejąca uśmiechem, i kazała nam wejść dalej i siadać. Mówię „kazała”, bo każde jej słowo brzmiało jak polecenie albo ostateczny wniosek. Nie była to osoba mało pewna siebie.

Saxony jednak pomaszzerowała wprost do zawieszzonej na haku pacynki

– Moge?

Nie wydawało mi się, żeby to było odpowiednie pytanie na sam początek wizyty, ale Anna wyraziła zgodę.

Sax już sięgała kukiełki, gdy nagle zamarta i cofnęła się o krok.

– To przecież Klee!

Anna kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Spojrzała na mnie, unosząc brwi

– To przecież Paul Klee! – Saxony, oszołomiona, patrzyła na pacynkę, to na Annę, to na mnie. – Skąd pani...?

Brawo, panno Gardnier. Mało kto wie, jaka to rzadkość.

- Ona jest lalkarką wtrąciłem, chcąc też uczestniczyć w spektaklu.

- To przecież Klee!

Ciekaw byłem, czy długo jeszcze będzie powtarzała to zdanie jak jakaś papuga. Zdjęła pacynkę ze ściany, obchodząc się z nią jak z relikwią. Coś przy tym mówiła, ale tak cicho, że chyba tylko do siebie samej albo do lalki.

- Co tam mówisz, Sax?

Podniosła wzrok.

- Paul Klee zrobił ich pięćdziesiąt dla swojego syna, Felixa. Dwadzieścia oryginałów przypadło podczas bombardowania Dessau w drugiej wojnie. Reszta znajduje się rzekomo w jakimś szwajcarskim muzeum.

- Zgadza się, w Bernie. Ale mój ojciec i Klee korespondowali z sobą przez lata. Pierwszy napisał Klee, podobał mu się „Smutek Zielonego Psa”. Kiedy ojciec wspominał mu w liście o swojej kolekcji, Klee przysłał mu tę lalkę.

Dla mnie kukielka wyglądała jak produkcja średnio zdolnego ucznia czwartej klasy wykonana w czasie lekcji robót ręcznych.

Sax zapadła się w skórzany fotel i kontynuowała koniunię z Kleem. Spojrzałem na Annę i uśmiechnąłem się, Anna zaś spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Saxony jakby na dwie sekundy zniknęła z pokoju. Przez dwie sekundy czulem, jakie to by było proste i przyjemne być kochankiem Anny. Uczucie to minęło, ale jego echa pozostały.

- Włec kim pan właściwie jest, panie Abbey? Poza tym, że synem Stephena Abbeya?

- Kim jestem?

- No tak, kim pan jest. Skąd pan pochodzi, czym się pan zajmuje?

- Ach tak, rozumiem. Uczę w szkole, w Connecticut.

- Uczy pan? To znaczy, że nie jest pan aktorem?

Wykonałem słynny głęboki wdech i założyłem nogę na nogę. Między mankietem spodni a czarną skarpetką ukazał się kawałek włochatej nogi, więc zasłoniłem go ręką. Spróbowałem obrócić jej pytanie w żart.

- Ha, ha, nie, dziękuję. Jeden aktor w rodzinie w zupełności wystarczy.

- Tak jest, genug. Jestem tego samego zdania. Nigdy nie mogłabym zostać pisarką.

Patrzyła na mnie z niewzruszonym spokojem. Znowu zapanowało między nami to bezsłowne, intymne porozumienie. A może tak mi się tylko zdawało? Pociągnąłem przypadkiem za sznurówkę i rozwiązałem but. Kiedy zawiązywałem go na nowo, Anna odezwała się:

Którą z książek ojca lubi pan najbardziej?

- „Kraina Chichów”.

A dlaczego?

Podniosła z końca stołu jajowaty szklany przycisk do papieru i turlała go z ręki do ręki.

Bo nikt inny nie zbliżył się tak bardzo do mojego świata. Rozprostowałem nogi i wychyliłem się do przodu, opierając łokcie na kolanach - Czytanie książki jest, przynajmniej dla mnie, jak podróż po świecie drugiego człowieka. Jeżeli książka jest dobra, czytelnik czuje się w niej jak u siebie, a jednocześnie intryguje go, co mu się tam przydarzy, co znajdzie za następnym zakretem. A jeżeli książka jest marna, przypomina przeprawę przez Secaucus w New Jersey: cała okolica cuchnie i człowiek żałuje, że w nią w ogóle zabrnął, ale skoro już tak się stało, zamyka okna i oddycha ustami, żeby jakoś dotrwać do końca.

Roześmiała się i pochyliła, żeby pogłaskać Pańnię, która złożyła kanciasty łeb na jej stopie.

- Czy to znaczy, że każdą książkę czyta pan do końca?

Tak, przyznaje, że to okropna wada. Nawet jeżeli jest to najgorsza szmira, kiedy już raz zaczęła czytać, tkwie na haczyku, aż do samego końca.

To bardzo interesujące: mój ojciec był taki sam. Skoro już się za coś wziął - choćby i za książkę telefoniczną - musiał do doczytać do żalostnego końca.

Czy to nie na tej podstawie zrobili ten fantastyczny film?

- Na podstawie czego?

- Książki telefonicznej.

Jeszcze nie skończyłem mówić, a już wiedziałem, że dowcip jest marny. Anna nawet nie wysiliła się na uśmiech. Przestraszyłem się, że może oceniać ewentualnych biografów na podstawie poczucia humoru.

- Przepraszę was na chwilę. Muszę zerknąć, co tam z kolacją.

Cały pokój została do dyspozycji mnie i Saxony. Pańcia przelotnie spojrzała w górę i zamierzała ogonem, ale nie ruszyła się z miejsca na podłodze. Natychmiast poderwałem się z fotela i zacząłem buszować. France, a może ktoś inny z domowników, wyraźnie lubił biografie i autobiografie: było ich na półkach całe mnóstwo, z pozaginanymi stronicami i zaznaczonymi ustępami. Zestaw był dość niezwykły: „Magiczny Dywan” Richarda Halliburtona, notatniki Maxa Frischa (po niemiecku), Aleister Crowley, „Spotkanie z Niezwykłym Ludźmi” Gurdijewa, pamiętniki francuskiego księdza, który walczył w podziemiu podczas drugiej wojny światowej, „Mein Kampf” (po niemiecku), notatniki Leonarda da Vinci, „Troje na Szczęśliwce do zębów” Jacka Paara.

Kartonowe pudełko po butach z napisem „Buster Brown” na bocznej ścianie, zawierało zbiór starych pocztówek. Przeglądając je, stwierdziłem, że większość przedstawia fotografie europejskich stacji kolejowych. Spojrzałem na odwrótną stronę kartki z wiedeńskim Westbahnhofem i zadrżałem na widok podpisu pod tekstem: „Izaak”. Data - 1933. Nie umiałem po niemiecku, ale bardzo mnie kusilo zwać pocztówkę i przesłać ją Dawidowi Louisowi do Nowego Jorku z dopiskiem: „Szanowny Panie Louis. Może zainteresuje Pana pocztówka, którą przysłał Marshallowi France jego nie istniejący brat, Izaak.

- Kolacja na stole! Chodźcie jeść, zanim wszystko wystygnie!

Dopiero na widok wielkich dymiących półmisek z pieczonym kurczakiem, groszkiem i tuczonymi ziemniakami, uświadomiłem sobie, jaki jestem głodny.

- Ponieważ jest to wasza pierwsza wizyta w tym domu, postanowiłam podać ulubiony posiłek ojca. Pieklił się, jeżeli przynajmniej raz w tygodniu nie było go na stole, a gdyby mógł o tym decydować, jadłby to codziennie. Proszę, siadajcie.

Stół był nieduży, owalny, leżały na nim trzy plecione maty pod talerze. Usiadłem po prawej ręce Anny, Saxony po lewej. Jedzenie pachniało tak fantastycznie, że można było zwariować. Anna nakładała na talerze. Na moim wylądowały dwa tłuste udka, góra groszku i ciężka, żółta chmura puree. Już miałem się obliżać i ruszyć do natarcia, kiedy mój wzrok padł na nóż i widelec, które trzymałem w rękach.

O rany!

Anna obejrzała się na mnie, a widząc, o co chodzi, uśmiechnęła się.

- Ciekawa bylam, kiedy nastąpi reakcja. Niesamowite, prawda? Też należały do ojca. Robił je na zamówienie, u jubilera w Nowym Jorku.

Mój widelec miał postać splebnego błazna, z głową odrzuconą do tyłu i zębami widelca wychodzącymi z otwartych ust. Nóż był ręką o podłużnych muskułach, ściskającą coś w rodzaju łopatkę, czy rakietki. Nie pingpongowej, raczej zbliżonej do przyrządu, którym loi się dzieci w angielskich szkołach prywatnych. Saxony podniosła pod światło swoje sztucce, inne niż moje. Jej widelec był wiedźmą na miotle miodła były zęby, trzonkiem miodły - uchwyt widelca.

- Niewiarygodne!

- Jest ich komplet, na sześć osób. Resztę pokaże wam po kolacji.

Przeknąłem pierwszy kęs i już wiedziałem, że będzie to długi i mozolny posiłek. Ciekawe, dlaczego niebiosa skazały mnie na jedzenie obrzydliwości z rąk interesujących kobiet?

W połowie kawy, na którą wprost brak mi słów, Anna założyła serwetkę i rozgadała się na temat France'a. Chwilami brała do ręki swój widelec i przesuwiała go między palcami, jakby ćwiczyła sztuki prestidigitatorskie. Prawie cały czas patrzyła sobie na ręce, chociaż momentami robiła pauzę i wtedy kierowała wzrok na ktoś z nas, jakby na podstawie naszych min chciała się przekonać, czy rozumiemy, co do nas mówi.

- Ojciec przepadał za Galen. Rodzice wysłali go do Ameryki przed wojną, ponieważ byli Żydami i

10... 9... 8...

Powoli, powoli zmierzamy do rozstrzygnięcia finału Drugiego (nieustającego) Konkursu „Fantastyki” na opowiadanie science fiction.

Znacie Państwo kilkunastu już kandydatów do pierwszej nagrody. Przypomnijmy ich nazwiska: Dyszlewski, Maszczyszyn, Meszko, Opat, Podgórski, Sapkowski, Suliga... Za miesiąc przedstawimy Państwu znakomitą opowiadanie Huberatha. Może, w ostatniej chwili, wydobędziemy jeszcze jakąś bryłkę kruszcu spod lawiny łści i popiołów?

Pierwsze spostrzeżenie tuż przed metą: W Konkursie I najlepszymi okazali się głównie młodzi nieznani autorzy, oferujący nam nowe, ciekawe pomysły i nieokiełznany krzyk nagiej duszy. Konkurs II wypadnie wstępnie ocenić jako tryumf kompetencji i profesjonalnej zręczności.

Mamy tu paru autorów znanych z opowiadań opublikowanych w innych miejscach (określanych czasem jako nadzieje polskiej SF już w latach siedemdziesiątych), jest paru dziennikarzy, eselistów, jest pracownik uniwersytetu. Fantastyka zatacza coraz szersze kregi.

Dzisiaj proponujemy Państwu opowiadanie warszawskiego dziennikarza, ALEKSANDRA BUKOWIECKIEGO. Gdyby przyszło nam oceniać jego gatunkową przynależność, powiedzielibyśmy chyba – groteska fantomatyczno-erotyczna z akcentami kryminału w stylu retro. Wszystkich Państwa, których zbulwersuje temat wybrany przez autora i demonstrowana przezeń odwaga lub wręcz zuchwałość obyczajowa, prosimy o zwrócenie uwagi na warsztatową biegłość, z jaką autor kojarzy wszystkie plany i wątki. Tekst p. Bukowieckiego odleżał się w redakcji ponad rok; chyba wystarczy. Drukujemy go w gorącym, wakacyjnym okresie z dumą, radością i... jednak drżeniem; jest to bowiem fantastyka, wymagająca nie tylko „zawieszenia niewiary”, lecz także „wyrzeczenia się pruderii”. Na pewno stać Państwa na to.

Wesołej lektury!

(mp)

Aleksander Bukowiecki

SENSORITA & FERTY

Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki”

No i masz – powiedziała cicho Sensorita, gdy gość stanął na progu, mając w tle iskrzące rubinowo w świetle zawieszanej nad drzwiami czerwonej latarni przecinki padającego deszczu.

– Cóż – odrzekła Ferty.

Ferty lubiła studenta Makre za Poezję, radcę Novaka za Sztuczki, prywatdocenta Sibeliusa za To, a porucznika Lonta za Nic. Tak właśnie: za Nic, za niereprezentowanie żadnej z wyrafinowanych czy też brutalnych szkół. Porucznik czarnych huzarów Lont przychodził, by wyjść po trzech minutach – tak samo idealnie zapięty i szmerowany jak przedtem. Nawet wosa nie podkrecal. Cmil tylko, schodząc po schodach, swoje cygaro, które w trakcie odkładał na chwilę na brzeg popielniczki (musiała być zawsze pod ręką) i które przez ten czas nigdy nie zdążyło więcej jak centymetr swej długości przetworzyć się w popiół. Jego właściciel spał się znacznie szybciej, lecz Ferty bynajmniej to nie przeszkadzało. Na dole porucznik wypijał na stojąco jeden mały koniak z wisienką, regulował rachunek przy kasie, za którą królowała Mamcia i – znikał. Sensority nie odwiedzał nigdy. Ferty coś o tym słyszała, dlaczego. Podobno kiedyś bawił u niej, a Sensorita – jak to ona – pomysłowa w zmysłowości i zmysłowa w pomysłowości, próbowała stosować jakieś Gry, jakieś Przedłużania, posunęła się nawet do Delikatnego Oporu, Przekomarzań, ba usiłowała zachęcić gościa do nieprzystojnej Gonitwy po ciasnym pokoiku, a to znów nie chciała odpiąć podwiązki i tak dalej. Zrobiła się z tego straszna awantura, mógłby nawet pożar wybuchnąć, bo Lont, wściekły jak sam generał w czasie nieudanej inspekcji, zbiegł z hurmem po schodach, Sensorita w rozkosznym dezabilu (gorset wpół rozsznurowany, podwiązki wpół odpięte, falbanki rozszczebiotane) za nim aż na ulicę, w cicho padający śnieg, ale on odjechał fiakrem co szkapę wyskoczy, za Sensoritą, zza kontuaru kasy

wyfrunęła Mamcia, gubiąc lorgnon – a wszyscy zapomnieli o tłącym się cygarze w pokoju, straconym na podłogę wskutek nieostrożnych i zgola niepotrzebnych – powiedziała później Mamcia, podnosząc z podłogi szkła rozdeptane przez kogoś na proszek – harców tej latawicy. Tak to było.

Tylko Alec śmiał się potem serdecznie, klepiąc się po udach i wołając:

– No, to się przynajmniej udało! Mocna scena, co? Ten śnieg za drzwiami, studzący namietności. Oddalające się latarnie dorożki i tak dalej. Dobre! Przynajmniej się nie nudziłyście.

A nudziły się często, istotnie. Alec, wesoły i pełen fantazji zajmował się jednak nimi rzadko, coraz rzadziej. Sensorita nieraz oświadczała ostentacyjnie, że ma go w nosie. Lecz bardziej uczuciowa i teskliwa Ferty, mając już w końcu dosyć studenta, prywatdocenta, radcy i ich wszystkich z ich wszystkimi raz na zawsze ustalonymi cechami, a już zwłaszcza doktora Umara, siadała, by napisać list. Sensorita towarzyszyła jej wtedy milcząco, z nadąsaną miną, czasem w zamyśleniu ruchem dłoni unosząc swe rozpuszczone włosy, to znów drażniąc leciutko palcami koniuszki swych uniesionych gorsetem piersi (bez jakiegokolwiek, choćby własnego, dotyku nie umiała bowiem wytrzymać długo ani nawet krótko). Lecz tak na dobrą sprawę nie miała nic przeciwko wysłaniu listu i czasem nawet, zwracając się przed wielkim lustrem to w lewo, to w prawo, podpowiadała gorącym szeptem jakieś szczególnie grzeczne zdanie.

Mimo duserów i przymilań, nieublagany Alec odpisywał jednak na ogół (jesli w ogóle raczył odpisać) paroma zdaniem w rodzaju: wybaczenie, kochanłatka, ale nie mam czasu, bawcie się na razie we własnym gronie, to dla Was dobry trening, zjawie się, gdy będę mógł.

- Najgorzej być niewolnicą jednego! - zżymała się wtedy Sensorita, powolutku wsuwając smukłe palce za poręczochę. - Ogólnodostępne na pewno mają lepiej. Ciągła odmiana, coś się dzieje i w ogóle.

Ferty zbliżała się wtedy do niej swym powolnym krokiem, wprawiającym jej ciało w rodzaj tańca „muchy w miodzie”, jak się kiedyś wyraził z aprobatą Alec, dotykała karku Sensority tam, gdzie zaczynają rosnąć włosy i obserwowała, przekrzywając głowę, jak na ciele koleżanki pojawia się gęsia skórka, oznaka elektryzującego dreszczu. Ferty nie była lesbijką, ale chciała pocieszyć pannę Dotykalską, mającą nawykowy prost przeciwnie do legionu Niedotykalskich, jakie każdy musiał poznać w swym życiu.

- My też mamy odmianę - mówiła, schodząc ręką niżej. - Ten Makra...

- Makra, Makra! - prychnęła Sensorita, zwracając się do Ferty przodem, przez co w sposób naturalny, a zarazem niewymuszony dłoń tamtej błądząca dotąd po jej plecach, trafiała między jej piersi. - Makra jest taki jak my. Tylko Alec jest prawdziwy chłop. Dawać mi chłop!

Jednak wbrew temu zawołaniu przyjmowała, zdarzało się, od Ferty wszystko, czego jej tamta w dobroci serca gotowa była zawsze użyczyć i nieraz potem nieźle się spiękały, leżąc na wielkim łóżu, pod drugim wielkim zwierciadłem, przymocowanym, jak Alec przykazał, do sufitu.

I oto niedawno zdarzyło się, że ich kapryśny pan i władca, na kolejny rzewny list podpisany „Zawsze twoje: Sensorita i Ferty”, odpowiedział wyjątkowo uprzejmie, że wprawdzie sam znów („jakże mi przykro”) nie może się zjawić, lecz pozwoli sobie przysłać swego najlepszego przyjaciela i prosi, żeby kochanieta przyjęły go jak jego samego, albo jeszcze lepiej. „Chłopak jest trochę nieśmiały i początkowo może się Wam wydawać sztywny, ale wierzę, że potrafiacie go rozruszać i rozpalic do czerwoności” - pisał. „Nie żałujcie mu niczego, czegoście się nauczyły pod moim światłym kierownictwem, a spełnicie dobry uczynek...”

Dobry uczynek! Przedmiot tak postulowanego samarytanizmu stał wciąż w drzwiach i jakoś wyjątkowo niezgrabnie otrząsał się czy też wyżymał z deszczu.

- Rzeczywiście sztywny - mruknęła Sensorita. - Jak kot, który kij połknął.

Może to porównanie nasunęły jej niewielkie, ciemnozielone szkła dziwnych okularów gościa. W taką pogodę w ciemnych okularach? Czy to ślepiec? Chociaż... ze ślepcem może być nawet ciekawie - pomyślała. Ale dziwne: ta myśl nie wywołała, jak zwykle gdy Sensorita oczekiwała jakiejś nowości, żadnego dreszczu, ani śladu gęsiej skórki na jej karku. Gość na pewno nie był tutejszy. Ale czy był STAMTAD? Nie przypominał Makry, Novaka, nawet Sibellusa. Lecz i od Aleca czymś się różnił, czymś nieuchwytnym i chłodnym jak śnieg, w który owinał się niegdyś, wraz z fiakiem i swoją urazą zapalny porucznik Lont. Sensorita przejął dreszcz, ale lodowaty.

Lecz wyposażona w naturę bardziej otwartą Ferty już płynęła taneczno-posuwistym krokiem, by gościa ośmielić i zaprosić do środka. Było tak, jak kiedyś napisał Alec w poświęconej im fraszce:

*Ferty kusi, zaprasza, ucieka
Sensorita obserwuje i czeka.*

List do pana. Znów.
Na podsuniętej tacy leżał wydruk pełen gorących zaproszeń. Znany pisarz, porucznik rezerwy (choć nie czarnych huzarów, lecz tak zwanych Patroli), doktor (już nie student, ale i nie docent) fantomistyki, Alec Sander uniósł się na tapczanie, wyjął z ust Nieszkodliwe Cygaro (które szkodziłoby jeszcze mniej, gdyby miało jakiś smak) i wziął do ręki szeleszczący papier.

- Co to znaczy „znów”? - zapytał ciskając go do kosza, a raczej obok. Nigdy nie trafiał.

- Chciałem tylko powiedzieć, że często dostaje pan listy od tych... tam...

- Czytasz moją korespondencję, Wash?

- Trudno nie czytać. Nawet gdybym nie patrzył na to, co wychodzi z drukarki, to przecież to samo wyświetla jednocześnie monitor.

- No, dobrze. A powiedz: nie chciałbyś to zajrzeć kiedyś, jak ty to mówisz, tam, do, jak je nazywasz, tych?

Oczy Washa zaczęły iskrzyć chłodnym blaskiem.

- O tak, o tak. Przyznam, że zawsze... Tylko... czy ja bym wiedział, co tam... robić?

- Spokojna głowa. Już o nie cie nauczą. To będzie kawał! Przynieś mi jeszcze jedną kawę i podyktuj ci odpowiedź.

- I znajdę się tam?

- A bo ja wiem? Spróbujemy. Obiecuję ci. Ale pod warunkiem, że jeszcze przedtem wymanisz dla mnie szkodliwe Cygaro. Tylko nie z fantokiosku! Znam się na tym.

I Alec przeciągnął się, aż zakotłosał się pod nim wodny materac.

- Czy to możliwe, żeby Wash się włączył? - pytał siebie. - Zobaczymy. Zobaczymy.

Cudowny, powolny taniec umysłu - w rytmie tańca ciała. Sen. Przebudzenie. Sen. Lśnienia. Cienie. Śnieg. Wysoko. Wysoko. Błękit. Czysty, jasny, płynny, przeświecony jak woda. Góry. Nie, fale. Białe grzywaczce. Płyneli motorówką, podrzucani rytmicznym pulsowaniem żywiołu krojąc dziobem plane. Skąd tu motorówka? I - co to jest motorówka? Kładła się na burty, robiąc slalom wśród nasturcjowych boi, a igła kompasu wahała się gwałtownie tam i sam. Skrzydła u ramion, lekkie, nieruchome i lot nad górami. Między śniegiem i błękitem. Motorówka ponad chłodnymi wzgórzami fal ciągnąca lotnie. Ale co to jest lotnia? Coś lotnego. Bardzo lotnego. Tak. Oczywiście. Oczywiście. O, tak! Tak właśnie. Teraz łódź podwodna. Opada w zieloną głębinę. Zaglądają ryby. Tak zwane welony. Muśliny. Woalki. Falujące (jeszcze) woalki. Opadające woalki. Cili.

Ferty otworzyła oczy. Odkrycie pochylonej nad nią nieruchomej twarzy z oczyma wciąż przesłoniętymi okularami było pewnym szokiem. Ale przecież... Jeszcze przed chwilą...

A zaczęła się źle. „Pan z deszczu” - jak go nazywały - nie chciał nic pić, nie był rozmowny, siedział na brzętku krzesła, patrząc nieruchomo w sobie znane dale poprzez te ciemne okulary. Wstrząsnął gwałtownie głową, gdy Sensorita, niby to w żartach, chciała mu je porwać z nosa i ścisnął ją za rękę tak mocno, że przez długą chwilę miała czerwona przege wokół przegubu.

- Drugi Lont - mruknęła wściekła.

- Na pewno nie - odszepnęła Ferty. - Jak panu na imię? - zwróciła się do gościa. - Bo nie wiemy, jak się do pana zwracać - dodała, jakby chcąc usprawiedliwić przedwczesną poufalość. I chociaż siedziała, wykonała górną połowę ciała ów posuwisto-płynny ruch, tak charakterystyczny dla jej chodu. Alec mawiał, że Ferty pyta piersiami.

- Wash - odpowiedział zagadnięty krótko.

- Pan, zdaje się, jest przyjacielem Aleca?

- Powiedzmy - uciął.

Ach, jak opornie z nim szło. Urażona Sensorita nie pomagała nic a nic. A jednak Ferty się udało. Leżała teraz ciepła i nasycona, ze zdumieniem kołyszając wyobraźnię niejasnymi wspomnieniami przedziwnych przedmiotów, które jawiły się jej w zapamiętaniu.

Drzwi otworzyły się. Weszła Sensorita.

- Teraz ja! - powiedziała zdecydowanie i wskoczyła do szerokiego łóżka. Ferty była pewna, że podglądała ich przez fałszywe lustro w ścianie. Piersi Sensority były już uwolnione z gorsetu i wyraźnie podrażnione. Ferty, w dziwnym odruchu, chciała zasłonić gościa przed niecierpliwością koleżanki. Ale Wash obrócił się leniwie ku nowej przysgodzie.

- Świnia! - krzyknęła Ferty i zerwała się, by opuścić towarzystwo.

Zatrzymał ją. Siłą, która jednak nie musiała być długo stosowana. Rozpoczął się szaleńczy wyścig dwóch motorówek ze skaczącym delfinem.

Nie Sensa, nie! Mówię ci, że już nie - Ferty spychała oszalałą Sensoritę ze znieruchomiałego od pewnego czasu ciała Washa. - Jemu coś jest, mówię ci.

- Był niegrzeczny i teraz dam mu za to - wychrypią Sensorita, nie reagując na błagania koleżanki. Ferty usi-

lowała odwrócić jej uwagę, muskając ustami jej kark, potem chwytając ją od tyłu za piersi, z których rece Washa już dość dawno zsunęły się bezwładnie. Ale to zdawało się jeszcze bardziej rozpalać Sensoritę. Niesamowicie przy tym było to, że meskość Washa nadal mogła brać udział w grze, może biernie, lecz nie utraciwszy nic ze swoich zdumiewających walorów. Ferty doprawdy nie wiedziała, co sądzić o tym przypadku. Z rozpaczki wpila się zębami w obojczyk Sensority. Ta, dżgnięta bólem, przesunęła się na chwilę do przodu, uwalniając tym samym Washa ze swego najintymniejszego uścisku. Ferty, przerażona i zdumiona sama sobą, skorzystała natychmiast z okazji, by wskoczyć w role amazonki. Ale już Sensorita, napierając plecami i pośladkami, odpychała ją ponownie w tył, by znów przejąć prowadzenie. Od tej chwili, walcząc bez przerwy, jakby od tego miało zależeć ich życie, na przemian znajdowały w sobie miejsce dla niego, a Wash przyjmował tę burzę, leżąc nieruchomo, wpatrzony w sufit zielonymi szklami okularów i nie wiadomo, czy to go w ogóle cokolwiek obchodziło. Sensorita krzyknęła pierwsza, tak ostro i przejmująco, że omal nie pekiła lustrzana tafla nad ich głowami i natychmiast zeskoczyła z Washa, robiąc tym samym miejsce Ferty. Ta zmieniła ją natychmiast, mimo że półświatłom zauważyła, jak Sensorita wiję się na prześcieradle, trzymając dłońmi między udami. Lecz zawsze przecież uważano, że Sensa wszystko przeżywa mocniej i w ogóle jest skłonna do przesady, więc... Ból był jednak straszny. W skaczącą po falach motorówkę, od spodu, z dna oceanu, uderzył chyba piorun. Za chwilę skrecała się na łóżku zupełnie tak samo jak Sensorita, tyle że po drugiej stronie Washa. Po chwili jednak uspokoiły się, spojrzały na siebie ponad wciąż nieruchomym ciałem i powiedziały niemal równocześnie:

- On kopie prądem!

Jak na komendę zaczęły okładać Washa pięściami. Nie reagował. Sensorita wpila mu paznokcie w skórę i rozorała pierś. Krew zabarwiła jej paznokcie, ale dziewczyna dąta i szarpała dalej. Powoli spod warstwy skóry odsłaniało się jedno z zeber. Błysnęło szlachetnym metalowym stopem. Sensorita zawyla i zerwała się z łóżka. Wylosy stanęły jej na głowie

- Co to jest? - wyszeptła Ferty.

- Robot.

W drzwiach stał Alec i uśmiechał się.

- Robot? Co to takiego? Robotnik?

- Coś w tym rodzaju. Ale sztuczny. Zrobiony.

- To my jesteśmy zrobieni!

- Inaczej. Ten jest właściwie pralką automatyczną. Bardzo udoskonaloną. Może nawet za bardzo. Ale, widzę, dałyście mu radę. No, no!

Sensorita i Ferty, jeszcze roztrzesione, piły wzmocniający cocktail Mamci, składający się z koniaku, zółtek i cukru. Alec zadowolili się samym koniakiem.

- Umar - rzekł doktor Umar, zszedłszy z góry.

Alec machnął ręką. Wątpił w kompetencje doktora do stwierdzenia „zgonu” w tym akurat przypadku, lecz co do samego faktu raczej nie było wątpliwości.

- Widzicie - tłumaczył, nalewając koniaku doktorowi. - W swoim czasie w moim świecie zaczęło produkować automatyczne maszyny do prania, które z czasem coraz bardziej udoskonalano, rozszerzając ich zakres działania o coraz to nowe funkcje i wreszcie upodabniając je do ludzi. W ten sposób powstały rozwinięte istoty biocybernetyczne, na ogół pracujące w charakterze służby domowej. Imię Wash nie jest zbyt oryginalne, nazwałem go tak od „washing machine”. Przynosił mi często listy od was, w formie wydruków, bo nie zawsze chciało mi się podejść do sygnalizującego wasze uaktywnienie się telexera. Dyktowałem mu też odpowiedzi dla was, zamiast samemu wystukać je na klawiaturze. To i owo sam mu powiedziałem i nabrał ochoty, żeby was odwiedzić. Nie miałem pojęcia, czy uda się podłączyć sztuczny mózg do fantomatu. Nie wiedziałem też, czy on jest wyposażony w libido. Są różne modele, ale jakoś nigdy nie rozmawialiśmy o tym. Robiono nawet takie specjalne, dla starszych pań, rozumiecie... No, ale nie dla młodszych. Przy tełnieniu z wami musiałoby nastąpić jakieś zwarcie. Bo chyba nie od deszczu, który mu zaprogramowałem dla kawału. Bał się wody, jak najprymitywniejszy „blaszak” ze

starych dowcipów rysunkowych. Tam, u nas, patrzyłem jak leżał z założonymi elektrodami i w pewnym momencie zaczął iskrzyć. Ciekawe, że odczuliście to jako ból. Zwarcie musiało jakoś zakłócić pole waszego komputera sterującego. No, nie macie mi za złe. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. I w końcu to ja straciłem pralkę, a zarazem lokaja, sekretarza i co jeszcze chcecie.

Sensorita dyskretnie trzymała się za brzuch. Ferty zerkała na nią. Nie położyła sobie ręki na brzuchu, ale czuła chyba to samo. Jakis niepokój. Jakies drobniutkie poruszenie. Jakby obracało się w niej tysiące maleńkich trybków.

- To ja już pójdę - Alec odstawił kieliszek. - Dziś chyba nie macie ochoty.

Zgodnie pokręcili głowami.

Wróciwszy do rzeczywistości, Alec stwierdził brak Washa. Powinien leżeć tu, przy „wejściu” do fantomatu, uszkodzony, nieruchomy, może istotnie martwy, tak jak go zostawił, zerwawszy mu elektrody z głowy i założwszy sobie. Nie było go jednak. Ani tu, ani w całym domu. Alec najchętniej wróciłby w tamten świat natychmiast i próbował coś wyjaśnić, ale teraz nie miał czasu. Musiał zaprogramować fantomatyczne scenariusze dla paru klientów. Z przykrością stwierdził, że ludzie z reguły zamawiają fantoplasy w identycznym nastroju, w jakim był on sam, kiedy programował sobie Sensoritę i Ferty. Jest to nastrój, mówiąc krótko, rui i porubstwa. Zaczynało mu już brakować fantazji, a nie mógł się powzielać. Wystarczy, że dwóch klientów przypadkowo opowie sobie nawzajem to i owo przy Nieszkodliwym Piwie. Jeszcze zaczęło by mówić, że kończy się jako pisarz!

Rad nie rad zasiadł więc do maszyny i ssąc cygaro (oczywiście Nieszkodliwe świństwo, do diabła z tym Washem) zaczął wystukiwać panią Stenię. Pani Stenia ważyła 90 kilo, piersi miała duże, oczy nie za wielkie, na całym ciele była rozkosznie piegowała i prawie nigdy - nawet przechadzając się nago po pokoju - nie rozstawała się z zarzuconym na ramiona srebrnym lisem. Podobnie jak nie zzuwała pantofli na wysokim obcasie, co wprawdzie czyniło jej chód nieco kackowatym, lecz tak właśnie chód należyście rozkołysywał jej nakrapiane melony. W lasach za to lubiła siadywać w białym staniku od bielizny i dużym słomkowym kapeluszu. Na chwilę przydał jej Alec meża, chudzielca z czarnym wąsikiem, pozornie niepozornego, lecz zadziornego i zazdrośnego, ale po jakimś czasie cofnął taśmę i skasował go. Niestety, klient, jak prawie każdy, nie znosił zbędnych komplikacji. Zresztą i co do siebie, Alec musiał przyznać, że wszystkie te Lonty, Makry i Sibeliusy są tylko po to, żeby prądy w fantokomputerze nie „zastały się” i żeby utrzymywać Sensoritę i Ferty w niecierpliwej gotowości. Zadał przecież o to, żeby na jego widok zawsze chyłkiem, jeden po drugim, opuszczali dom Mamci. Jakaś na przykład strzelanina z zapalnym Lontem absolutnie mu nie odpowiadała, choćby wiedział nie wiem jak dobrze, że kule nie mogą mu uczynić najmniejszej krzywdy. Różne niespodzianki były dobre w opowieściach dziewcząt ale nie powinny się zdarzać podczas seansu z nim samym.

A jednak czekała go niespodzianka - i to dość przykra.

Wysiadając z dorożki przed domem z czerwoną latarnią, sięgnął jak zwykle do kieszeni i... tym razem nie znalazł zawsze tam znajdującej monety dla woźnicy. Wzruszył ramionami i nie oglądając się, poszedł ku drzwiom. W końcu nie musiał płacić jakiemuś tam fantomowi i tak zresztą fantomowymi pieniędzmi. Ale nie należy - wiedział o tym - łamać reguł zabawy, gdyż wtedy przestaje ona być zabawą. Spojrzał dopiero, gdy fiaker odjechał już dość daleko. Złowił przed skrzyżowaniem z najbliższą przecznicą i we mgle ukazały się dwie rubinowe, puchate kule rozjarzone nagle z tyłu pojazdu.

- Do diabła, co ten komputer wyprawia? Przecież bryczki nie mają świateł „stop”!

Teraz dopiero uświadomił sobie, że właściwie podczas jazdy nie zauważył konia! Była co prawda mgła, nie zwracał też na to uwagi, a w schowku pod kozłem znalazł jak zwykle małą buteleczkę „Fiakerwein” i nią się

zajął, ale teraz to wszystko dało mu do myślenia. czyżby w tym świecie, w czasie tak krótkiej jego nieobecności dokonał się jakiś postęp? Czyżby jechał bryczką nie zwykłą, lecz motorową, protoplastą samochodu? Co prawda na to jazda odbywała się zbyt cicho, bo pierwsze silniki spalinowe były na pewno piekielnie głośne. Lecz zaraz przypomniał sobie, że bardzo często w pionierskim okresie motoryzacji stosowano również znacznie cichsze silniki elektryczne i już zupełnie bezszmerowe – parowe. Światła „stop” jednak, o ile wiedział, wynalczono znacznie później. Jedno z drugim więc się nie zgadzało. W końcu jednak złożył wszystko na karb komputera, który widocznie w sposób losowy – jak powinien był od czasu do czasu robić, dla zapobieżenia nudzie – włączył program „Niespodzianka”, lecz zapewne pomylił kilka elementów wyszukanych w pamięciach i dlatego uczynił odnowioną fantoreczystwość nieco niezborną. Na pewno tyleż niekonsekwencji, i to od początku, zawierała także tutejsza architektura, nie mówiąc już o strojach kobiecych czy umundurowaniu czarnych huzarów. Lecz Alec nie za bardzo się na tym wszystkim znał, toteż nie zauważył po prostu błędów i anachronizmów. Jak dotąd nie miał również reklamacji od klientów, wcale często zamawiających a to fin de siècle, a to XVIII wiek jako tło swych fantomansów. Czasem Alec działał zresztą świadomie. Z osiemnastowiecznego Wersalu i podobnych siedzib na przykład zawsze usuwał ich ówczesny brud i smród, wysilał umysł, żeby zaprojektować dla nich łazienki i toalety niby to „w stylu”, choć w rzeczywistości o wcześniejsi ludzie nawet nie snili.

Dotychczas więc niespodzianki – jeśli pominąć monety – były zaskakujące, ale nie przykre i w końcu wydumaczalne. Przykra czekała go wewnątrz domu Mamci. Mamcią wydała mu się dziwnie zmieniona, a przede wszystkim wraz z nią urzędował jakiś ponury wykląjący, cerber, patrzący na Aleca podejrzliwie. Alec nie przypominał sobie, żeby „kazać” kogoś takiego zatrudnić. Komputer siedzi chyba trochę za daleko w rozwinięciu programu „Niespodzianka”. Alec mógł natychmiast wrócić do rzeczywistości i „przykręcić mu śruby”, lecz rzeczywistość zaczęła go to wszystko trochę bawić (choć cały czas czuł dreszcz pewnego niepokoju) i z ciekawości zapytał o Sensorite i Fetty.

Maman skrzywiła się. Z francuskim akcentem, jakiego dotychczas daleko nie stosowała, odrzekła wyniosło:
- Wzięło je. Obie dostały bóli, najpierw Seniorita, potem Fetty i doktor Zmar musiał je zabrać do szpitala.

Alec wyszedł zły, dodatkowo jeszcze przez to, że dwóch nieznanych mu osobników, wyglądających jak student i wojskowy (ale raczej nie od czarnych huzarów) bynajmniej nie opuściło lokalu na jego widok. Przez cały czas jego rozmowy z Maman nie podnieśli nawet głów, pochłonęli partię przedziwnych szachów.

W szpitalu było nawet jasno i czysto, ale musiał tu panować tegi bałagan, skoro doktor Zmar, czy jak go tam zwał, raczył się znaleźć dopiero po pół godziny.

- Obie w ciąży – stwierdził bez ogródek na widok Aleca. Nie miał swej siwej brodki, a binokle w drucianej oprawie zamienił na okulary w rogowej.

- W ciąży?

- I to jakiej! Bio – niech pan sobie wyobrazi – elektronicznej! W ich brzuchach siedzą zawiązki cyborgów. Układy scalone, posklejane syntetycznym białkiem. Ten pański przyjaciel długo musiał czekać na taką okazję.

Alec usiadł, mimo braku zaproszenia ze strony doktora.

- Doktorze – powiedział. – Niech pan pomyśli spokojnie. Wie pan, bo nigdy tego przed wami nie ukrywałem, że wszyscy tu jesteście fantomami. Życie tylko jako określone grupy elektronów w układach pewnego komputera. Życie, kiedy tu jestem, a czasem także gdy mnie nie ma zabawia się ze sobą, co zresztą służy drożności połączeń i przygotowuje system na moje przyjście. Najczęściej jednak, jak myślę, pod moją nieobecność zapadacie się w nicość, by się zintegrować dopiero na sygnał mojego przybycia. Nie może żadna tutejsza dziewczyna naprawdę zająć z nikim z naszej strony (człowiekiem czy robotem), choć można oczywiście taką komplikację zaprogramować. Lecz nikt tego nie zamówi,

może pan być pewien. Pomijam już, że te automatyczne prałki, przy całym swoim wysokim zorganizowaniu, nie mogą w żaden sposób zapładniać ludzkich samic. A zatem w naszym świecie jest to podwójnie niemożliwe.

- W takim razie – zamyslił się doktor Zmar – sprawa co prawda nie istnieje „w rzeczywistości”, jak wy to nazywacie, ale tu zaszła i coś z n a c z y. Nie znalazł pan Wascha u siebie, co?

- Skąd pan wie?

- Ano może jakoś wiedzieć to, co pan wie. Fantomom to się zdarza. Te dziewczyny odgadujące każde życie, czyż to nie to samo? Ale wróćmy do sprawy. Czy zapłodnienie dziewcząt, powstanie w ich łonach mieszańców robot-fantom nie oznacza wniknięcia pańskiego Wascha w najgłębsze struktury fantokomputera? Nie tylko tak się to objawia. Wie pan, jak wykryłem te ich ciążę? Roentgenem. Oczywiście nie stosowałbym go, gdybym wiedział, że są w odmiennym stanie. Roentgen może zaszkodzić. Lecz najważniejsze: skąd się tu w ogóle wziął? W okresie historii, w którym, hm, pan nas umieścił.

- Myśli pan, że jego wiedza techniczna wpływa na mnożenie się tych wynalazków tutaj? Nie miał wcale dużej wiedzy. Był skomplikowaną maszyną, ale nie potrafiłby siebie naprawić, nie mówiąc już o zaprojektowaniu.

- Sądzę raczej, że to sama jego struktura, wysoka technologia, za pomocą której został stworzony, stęchła nasz świat, i będzie go zapewne technicyzować nadal. On tu jest. Wśród nas, w nas, pomiędzy nami, w każdym przedmiocie, w każdym... słowie.

- Ależ tym, co pan, doktorze, mówi, on się w takim razie zdradza!

- Może mu nie zależy? Cóż pan mu uczyni, nawet wiedząc?

- Wash, to ty do mnie mówisz? Wracaj do siebie, to znaczy do nas i...

- ...bądź moją prałką po wieki wieków, tak?

Doktor Zmar wstał. Jego zielone okulary nie pozwalały dojrzeć oczu. Wash wziął te okulary na „podróż” tutaj, gdyż oczy zawsze prędzej czy później zdradzą robota.

- Dziewczeta! – doktor klasnął w dłoń. – Seniorita, Fetty!

Wbiegły dwie pielęgnarki. Alec jakby je poznał, choć fartuszek i czepeczki potrafią bardzo, bardzo zmienić. Od razu wiedział, że Seniorita to ta poważna, z długim nosem, a ta łusciutka, to Fetty.

- Ich stan nie wymaga żadnych szczególnych zabiegów, więc zatrudniłem je chwilowo jako pielęgnarki.

- Przepraszam, słyszałam trochę o czym panowie rozmawiali – powiedziała Seniorita przez nos, szykując strzykawkę z długą, cienką igłą. – I absolutnie nie zgadzam się z panami. Przecież to my jesteśmy kobietami z krwi i kości, które posiadamy podstępem robot nowej generacji, zdolny już do zapładniania „ludzkich samic”, jak się pan wyraził. Żeby nas usidlić, omotać, robot ten wysłał jako forpoczcie fantom człowieka, to jest właśnie pana – wskazała końcem igły Aleca.

- Nie wolno kopiować istniejących ludzi – powiedział Alec.

- Ona nie mówi – Fetty zbliżyła się powoli, swoim drobny kroczkiem, jakby leciutko podskakując czy tańcząc – że pan został skopiowany. Ona mówi, że to pan jest fantomem.

Silne rece doktora i Fetty przewróciły go na leżankę. Szarpał się. Seniorita uniosła strzykawkę. Na końcu igły zawisła kropla. Ktoś stanął u wezgłowia i ujął jego głowę w chłodne, dobre dłoń. Spojrzył w górę. Zobaczyć nad sobą twarz pięknej dziewczyny o długich blond włosach. Znał ją, na pewno, lecz zapomniał jej imienia.

- Jak się nazywałeś? – szepnął.

- Sharon, nie pamiętasz?

Pochyliła się, aby go pocałować. Nagle poczuł, że moneta, której nie miał dla przewoźnika, znalazła się pod jego językiem. Jej wargi dotknęły jego warg, mocniej, natarczniej – i oto pieniążek, brzęknawszy o zęby przeszedł z ust do ust. Jednocześnie poczuł ukłucie zastrzyku w ramieniu, a zaraz potem przyjemne kołysanie, jakby się włączył jego wodny materac, mający go obudzić, gdyby zbyt długo nie wracał. Ale teraz nie chciał wracać.



S&F

- Włoszuj, Charon - powiedział.
- Zmar - rzekł doktor Zmar, odejmując słuchawkę od jego piersi.

To przecież było dziesięć lat temu! - kobieta przyglądała się im badawczo.

- Tak. Przypadek jeden na milion. Teraz dopiero znaleźliśmy jego czarną skrzynkę, która nawiasem mówiąc nie jest czarna, ale to już szczegóły. Powinna świecić, nadawać sygnały, lecz te systemy zostały uszkodzone. Natomiast sama wytrzymała upadek na Księżyc w roju meteorytów. Niedawno ją odgrzebano przy okazji budowy nowej bazy Patroli.

- To swoją drogą symboliczne - powiedział drugi mężczyzna poważnie. - Pani mąż służył właśnie w Patrolach.

- Wiem o tym - rzekła szorstko. - Dlatego zginął.

- Z większym prawdopodobieństwem, przepraszam, mógł zginąć na Ziemi, w jakimś wypadku...

- Ale zginął t a m . Z czym panowie właściwie przychodzą?

- Cóż, mamy obowiązek przekazać pani... ten ostatni... zapis... z... fantomatu pokładowego.

- Z fantomatu?

- Tak. Kiedy, kiedy, hm, nie było już żadnej nadziei, to znaczy, kiedy komputer zbadał wszystkie możliwości i na każde pytanie otrzymał odpowiedź „nie”, wtedy poinformował pani męża i zaproponował fantomatyzację dla uniknięcia... dla uniknięcia...

- Przedśmiertnych meczarni. Orientuje się. Do rzeczy, proszę.

- Porucznik Sandor Acz, pani mąż, zgodził się nader rozsądnie na tę propozycję. Musimy dodać, że wszedł w świat fantomów wyjątkowo głęboko, tworząc tkanke skomplikowanej intrygi, ze sobą w roli zawodowego fantoscenarzysty, a także z udziałem robota, rzecz jasna nie istniejącego w rzeczywistości.

- Wydaje się - dopowiedział drugi mężczyzna - że mąż pani wykorzystał pewne elementy z przeczytanych niegdyś książek. Nie wie pani przypadkiem, czy może znał „Tragedię pralniczą”? - Odruchowo rozejrzał się po półkach biblioteki.

- Nic nie wiem o żadnej tragedii, poza moją własną.

- Muszę jeszcze uprzedzić panią - pierwszy mężczyzna kreślił się na krześle - że fantazje pani męża nie znałyby, hm, uznania u osób o bardziej staroświeckich poglądach. Powinna pani jednak zrozumieć. Oderwanie od domu i...

- Wiem co powinnam zrozumieć, drogi panie i wiem, co się śni pilotom w dalekich rejsach. Mąż mówił mi o tym szczerze. Dopoki żył.

- I jeszcze jedno: pod koniec stworzona przez pani męża fabuła zaczyna wykazywać cechy pewnego rozchwiania, by odrzucić się nawet o mistykę. Sam zresztą - w epizodach „samookreślających” - używał pojęcia „fantomistyka” zamiast klasycznego „fantomatyka”. To rozchwianie przypisujemy zaczynającemu się działaniu, tak zwanego, hm, agonmatu.

- Automatu do zabijania?

- Hm, tak.

- Hm, tak. Hm, nie. Hm, tak jakby. Proszę to tu zostawić. I żegnam już panów. - Odgarnęła długie włosy.

Wyszli pośpiesznie. Wsiadli do motorówki czekającej na kanale. Fasady domów odbijały się w nieruchomej wodzie.

- Ależ fertyczna z niej kobitka, co? - powiedział pierwszy.

- A oczy ma jak sensory komputera. Patrzyła na mnie, jakby mnie chciała rozebrać na części - drugi wzdygnął się.

- Nie histeryzuj, Wash.

GÓŁ ZA SZCZĘŚLIWE PRZEBUDZENIE

Romuald Lenech

Westchnąłem jeszcze z całej mocy z głębi swej zlodowaciałej klatki piersiowej i zakreśliło mi się w głowie na widok, jaki ujrzałem. Same obce twarze na tle różnobarwnych kafelków, wypełniających przestrzeń jakby ogromnego akwarium, w którym poruszają się sennie ludzie. Jedna z postaci, której spływająca z głowy fala loków sięgała aż po biodra, odziana w białą kuszą spodniczkę, z surowym wyrazem skupienia na meskiej twarzy, zbliżyła się do mego łóżka i oznajmiła barytonem:

- Jest pan już odhibernizowany.

Odruchowo chwyciłem się za nos, który był zimny jak sopel lodu.

- Chyba jeszcze nie całkiem - zaoponowałem z drżeniem szczęścia w głosie.

Człowiek w spodniczce ujął mnie silnie za ramie i uniósł na łóżku.

- Daję panu lekarskie słowo honoru XXI wieku, że tak - odezwał się. - Ostatnie ślady zamrożenia organizmu spłucze kieliszek koniaku. O! - I wlał mi w usta napój, po którym wyrwało mi się spontanicznie:

- Cóż za szczęśliwe przebudzenie!

Lekarz skrzywił się nieznacznie.

- Co my właściwie z panem zrobimy?

- Zawiadomicie żonę, dzieci, wróćcie do domu i rozpocznijcie nowe życie człowieka odhibernizowanego - zatarłem jeszcze z lekką oszronioną ręką. - Dolce vital!

- Niech się pan zastanowi - zwrócił uwagę lekarz. - Mamy rok 2046. Polecił się pan zahibernizować równie siedemdziesiąt lat temu, a ani pan, ani pańska małżonka nie byliście już wtedy najmłodsi...

- Rozumiem - zauważyłem bystro. - Cześć jej pamięci! Biedaczka odeszła zapewne. No oczywiście. A za życia taka była dla mnie wyrozumiała!

- Wie pan, wszystko ma swoje granice. Wyrozumiałość również. Do kontenera lodówkowego konserwującego pańskie ciało dołączony był nie zaklejony list, w którym małżonka dała upust, delikatnie mówiąc, swojej prywatnej opinii na temat okoliczności pańskiego zahibernizowania. Podobno, aby nie uczestniczyć w kłopotach, kazał się pan zamrozić tuż przed generalnym remontem w mieszkaniu oraz tuż przed przeprowadzką. Ponadto niebawem miało pana wybrać na szefa jakiegoś tam komitetu obwodowego w mieście i skarbnikiem Towarzystwa Przyjaciół Dyrektorów. Pańskie zlodowacenie powszechnie uznano za unik i ucieczkę przed życiem - do lodówki. Żona włożyła do pańskiego zamrażalnika również wycinek prasowy z krytyką społeczną na ten temat.

- Niech w spokoju spoczywa rzędna i pedantyczna staruszka razem z zamierzchnią prasą - przerwałem zirytowany. - Wobec tego proszę natychmiast posłać, panie doktorze, po moje dzieci.

- Będą pewne trudności - zastanowił się lekarz - ponieważ córka wyjechała czterdzieści lat temu z ekipą naukową na biegun południowy badać lodowce, prawdopodobnie pod wpływem upodobań ojca do zimna, a obaj synowie, jako bezżenni, przebywają w pałacu spokojnej starości. Są obecnie o wiele starsi od pana, którego komórki zatrzymały się szczęśliwie w procesie starzenia się organizmu. Z powodu ich daleko posuniętej sklerozy trudno będzie z synami się porozumieć.

- Zatem brawo, wieczna młodość! - ożywiłem się na wspomnienie mego wieku. Mogłem mieć najwyżej czter-

dzieści pięć lat, jeżeli mnie moja przedlodówkowa pamięć nie myliła. O ile pamiętam, decydując się na zamrożenie, wiele nadziei pokładałem w rozwoju życia uczuciowego i w pełnej, nieustającej meskiej ofensywności po przebudzeniu. Obiecywałem sobie użyć świata jak nigdy.

Nie panując z radości nad odruchami, wyrwałem się na całą salę szpitalną ze zwrotką jakiejś piosenki śpiewanej w moim wieku dojrzałym przez optymistycznego pieśniarza:

- Tysiąc dziewcząt z moich snów!...

Kilka długowłosych osób w białych spodniczkach, zainteresowanych najwidoczniej moją osobą, podeszło do łóżka. Zauważyłem, że spod spodniczek wylaniały się owłosione, muskularne tydki, nie pozwalające wątpić, iż należą one do płci meskiej.

- Co się tu właściwie dzieje? - przeszedłem z naglej euforii w irytację, jak się to często zdarza u osłabionych chorobą ozdrowieńców. - Meżczyźni w spodniczkach? Czy to może maskarada na moją cześć? - sapiałem.

Jeden z młodych lekarzy chwycił mnie za puls, podzwaniając misternymi, brzęczącymi bransoletami na dłoni.

- Spokojnie, spokojnie, hibernatusie. Jest pan na sali pozabiegowej. Tutaj obowiązuje cisza.

Prymariusz w okularach, z którym poprzednio uciąłem sobie pogawędkę, z ciepłym wybaczącym uśmiechem przyłączył się do rozmowy.

- Nie ma mowy o maskaradzie ani o kpinach, drogi pacjencie. Siedemdziesiąt lat odosobnienia wyobcowowało pana ze zdrowych przemian na świecie. Jest pan usprawiedliwiony w swojej nieświadomości i naiwności. Trzeba jednak wiedzieć, że już nasi ojcowie zrezygnowali z przekletych spodni, które tak grzały i opinały ciało meskie w ciągu naszych łagodnych majowych zim i nie za chłodnych październikowych lat. Szorty, noszone w pańskiej epoce przez najodważniejszych, nie gwarantowały tego rozkosznego przewiewu i tej bezgranicznej higieny ciała, jaką przyniosły wreszcie spodniczki - lekarz poglądził zalotnie falującą fryzurę. - Poza tym - spuścił z rezygnacją głowę - zostaliśmy trochę zmuszeni do metamorfozy przez kobiety, które protestowały ostro, nie wyłączając demonstracji, przeciw nadużywaniu przez nas składników ich garderoby. Chodziło oczywiście o spodnie... Wzajemny układ tendencji płci i kierunkowa ich inicjatywy zmieniły się od pańskich czasów diametralnie. Zapewniam pana, że jest nam, mężczyznom, zupełnie dobrze z pewną kobiecą uległością, która nas obecnie cechuje...

Od dłuższej chwili gestykulowałem, chcąc przerwać potok wymowy mego lekarza-obudziiciela. W gruncie rzeczy mało mnie obchodziło samopoczucie meskiego pokolenia, które nie wzrosło u mego boku i za które nie czułem się odpowiedzialny. W tej chwili przyszło mi do głowy ponowne pragnienie, które zaległo się we mnie jeszcze o kolebki zamrożenia i objawiło się przed chwilą spontaniczną piosenką z lat młodzieńczych.

- Wszystkie te przemiany są bardzo ciekawe - przerwałem zniecierpliwiony - ale mnie interesuje, co słychać z „epoką sexy”, która tak pięknie rozwijała się w momencie mego zamrożenia. Doszła chyba do niebywalego rozkwitu. Panowie - wstałem w podnieceniu z mego szpitalnego łóżka - obecnie nastala chyba całkowita swoboda partnerstwa obu płci, całkowita nieograniczona łatwość, zupełny uwiad pruderii, jeszcze od czasu do czasu oddzielającej w mojej młodości chęć od jej spełnienia. Panowie! - kontynuowałem. Przespałem siedemdziesiąt lat i jestem zdrow jak ryba. Panowie, dopiero teraz

będę stuprocentowym mężczyzną. Sen to zdrowie! Sen to wigor meski. Ja się nie mogłem rozwinąć w swojej epoce!

Absolutnie barani wyraz twarzy otaczających mnie mężczyzn odebrał mi swade.

- Może się pan przesłyszał? - powiedział jeden z panów w spódniczce. - Nigdy z czymś podobnym się nie zetknąłem. Zabawne. Z brzmienia słowo podobne do jakiegoś „lexy”. Może chodzi o „lex”, o prawo?

- Sexy! - wrzasnąłem poirytowany. - Niech pan nie robi ze mnie balona.

- Kiedy naprawdę nic podobnego... - zacukał się kolegą tamtego. - Słowo honoru. Może ktoś, kto studiował historię medycyny albo dawnych obyczajów...

Na szczęście pojawił się w porę mocno starszawy lekarz.

- Tak, tak, słyszałem - pośpieszył z wyjaśnieniem. - Raczej czytałem o tym. - „Epoka sexy”, jak ją pan nazywał, doszła do swego zenitu w moim wczesnym dzieciństwie i jak to często bywa z modą, zrobiła salto mortale w przeciwnym kierunku. Przeżyła się. Jakiś pletwonurek czy kosmonauta, spędzający całe życie w szczelnie zamkniętym kombinezonie, dorwawszy się do prawodawstwa mody, rzucił akurat hasło: „Wszyscy w kombinezonie!” I przyjęło się. Oczywiście u kobiet. Sam pan rozumie, że uprawianie miłości w kombinezonie stało się właściwie niewykonalne. Oczywiście moda na szczelny kombinezon dawno minęła, ale nawyk pozostał.

- Komu by się zresztą chciało myśleć o drobiazgach erotycznych - powiedział prymariusz. - Od dzieciństwa głowy mamy zajęte wyścigiem technicznym. Maszyny nas programują według życzeń rodziców, a ktoś, by chciał pomniejszać szanse życiowe swych dzieci przez zaprogramowanie potrzeb płciowych, które są czystą stratą czasu. Pan rozumie - od tego są laboratoria i odpowiedni obieg próbek. Człowiek z próbki to wspinała...

- Dosić, dosiść! - Złapałem się za głowę. - Ćmicie mnie wszyscy i robicie w konia, bo wiecie, że jestem świeżo przebudzony. Nie wierzę wam. Przecież, u licha, kobiety nie znikły ze świata jak kamfora?

Starszy lekarz wskazał ręką na scenę od dobrych kilku minut rogrzywającą się w prawej części sali. Nie zauważyłem jej poprzednio w roztargnieniu. Jakieś postaci o silnej, niemal atletycznej budowie ciała, z ogolonymi na zero głowami, pieczolowicie układają w łóżku leżącego osobnika, najwidoczniej pacjenta. Odzież tych osób cechowała absolutna funkcjonalność. Ciało szczelnie opinały bluzy koloru khaki zapinane na rząd metalowych guzików, z epoletami i wyłogami. Skórzany pas okalający korpus podkreślał sylwetkę. Sfałdowane u dołu miękkie spodnie, wpuszczone w ciężkie sznurowane juchtowe buty, stanowiły niezbędne dopełnienie.

Rozrzewniło mnie to wszystko bardzo, ponieważ przed zamrożeniową pamięć przyniosła mi wizję czegoś bardzo znajomego:

- Saperzy rozminowujący teren! - powiedziałem cicho. - Pamiętam z młodości. Tak właśnie wyglądali.

- Skądże! - obruszył się lekarz. - To są nasze kobiety, pielęgniarki. - Czy nie zauważył pan narzuconych na mundur maleńkich zielonych fartuszków? Strój wyjściowy wygląda oczywiście inaczej. Kobiety, aby uzyskać pewną elastyczność ruchów w pracy, demontują dla wygody żelazne napiersniki i napieczniki pokryte barwnymi deseniami. Ale żadna elegantka nie pokazałaby się na ulicy bez takiego czy innego fragmentu uzbrojenia rycerskiego. Po prostu wojsko w naszej epoce utrzymało się tylko jako akcent pamięci, wspomnienia w modzie kobiet.

Romuald LENECH

Autor, ukrywający się pod tym pseudonimem, jest wydawcą w jednej z czołowych oficyn naszego kraju oraz uznanym artystą malarzem.

(Alk)



Jerzy Fedak

Nie zdążyliśmy dokończyć rozmowy, ponieważ przez otwarte drzwi sypnała korytarzem fala ludzi odwiedzających chorych. Meski tłum falował kolorowymi spódniczkami. Widziało się również podmałowane meskie oczy. Kobiety szły twardym, zdecydowanym krokiem w umundurowaniu rozmaitych historycznych formacji zaciągających husarię, kirasjerami lub kawalerią pancerną, błyskając lechtliwie nagosią czaszek.

Przymknąłem szczelnie oczy, jak czyniłem zawsze, kiedy miałem podjąć ważną decyzję.

- Honorarium za ponowne moje zahibernizowanie złożone jest w banku - powiedziałem do naczelnego lekarza. - Zaraz wypiszę odpowiedni czek na okaziciela. Proszę, a raczej domagam się ponownego zamrożenia.

- Nie mówi pan tego poważnie - spróbował perswazji lekarz. - Odrzucać lekkomyślnie szczęście życia w naszej bajecznej epoce męskich spódniczek i komputerów to wprost samobójstwo!

- Znajdzie pan zresztą tysiączne zastępcze przyjemności wieku dojrzałego - pośpieszył z radą ktoś drugi. - Zacznie pan uprawiać rybołówstwo. Jakże cudownie wygląda sztuczna rzeka puszczona za miastem specjalnie dla wędkarzy, pełna sztucznych ryb z polistyrenu winylu. Wprawdzie karty wędkarskie wykupione są z góry na cztery lata, ale mam wuję w zarządzie. Będzie pan mógł już łowić od przyszłego roku.

- Albo robi prawo jazdy poduszkowcem. Teraz tylko takie kursują. Odważył - pocieszano mnie.

- Doktorze - powiedziałem twardo. - Wreczam panu czek z prośbą o wpłatę do kasy. Błagam o zahibernizowanie mnie na następnych siedemdziesiąt lat.

Widocznie prośbie mojej stało się zadość, bo następnego dnia rano systemem napędu poduszkowego przeleciałem wygodnie w moim łóżku na salę hibernizacyjną, gdzie z rozkoszą znowu poczułem się jak na biegunie północnym i gdzie wspaniały proces zamrożenia rozpoczął się od znanego mi już dretwienia palców i zlodowacenia nosa.

PILAR COOMONTE



spotkanie z pisarzem

Publikowaliśmy już wiele esejów, oceniających utwory polskich autorów science fiction z punktu widzenia krytyków zagranicznych. Opinie były zróżnicowane, lecz wynikało z nich, niestety, małe zainteresowanie naszą twórczością fantastyczną w krajach zachodnich. W gruncie rzeczy literatura polska, zresztą nie tylko spod znaku SF, w ogóle bywa tam mało jeszcze poznana. Nie ma tam prawie mecenasów, nie dysponuje się środkami reklamy.

„W ogóle popularność fantastyki zmniejszyła się u nas prawie do zera” – pisał mi niedawno w liście znany niemiecki wydawca i autor – Wolfgang Jeschke. Większość wydawnictw, które parały się SF na Zachodzie, spłajtowała.

W Ameryce nie jest dotychczas aż tak źle: tam SF niezgorzej funkcjonuje, jakkolwiek wielki szal jej najnowszej odmiany – fantasy – zaczyna podobno mijać. Do Ameryki jednak, kraju macierzystego współczesnej science fiction, niezwykle rzadko docierają nazwiska polskich pisarzy gatunku.

Publikuje się tam prawie wyłącznie utwory Stanisława Lema, ale w nakładach nie świadczących wcale o bestsellerowej popularności tego twórcy.

„Grzeszy” on bowiem – jak zresztą wielu jego

kolegów-krajanów – nazbyt dużą dbałością o problematykę filozoficzną, czy socjologiczną lub polityczną utworów, mniej natomiast dba o suspens, o pasjonującą, kryminalną intrygę.

Lem ze swej strony nie nazbyt wysoko ceni szczyty science fiction za oceanem, uważając wiele tamtejszych dzieł za... grafomańskie. Mimo ich wielkiej poczytności. Poczytności odnotowywanej zresztą również i u nas.

Dla ukazania innego sposobu spojrzenia na dzieło samego Stanisława Lema i jego osobę, niż ten, do którego przywykliśmy, a który prezentowałem w swoim szkicu „Geniusz na miarę epoki” („Fantastyka” nr 3/86), publikujemy fragmenty reportażu z jednego z ostatnich numerów amerykańskiego czasopisma „Discover”. Nasz Lem jest osobowością na tyle znaną i cenioną nie tylko u nas, ale i na całym świecie, że nie może mu pomóc ani protekcyjna życzliwość autora artykułu, ani jego beceremonialność, czasem granicząca ze złośliwością, gdy poszukuje prawdy (?) o nim. Prawdy o Stanisławie Lemie.

Adam Hollanek

Fanatyk domowej kuchni

John Tierney

(.) Jeżeli nigdy nie słyszeliście o Lemie, to właśnie dlatego, że pisuje tego rodzaju historie. Określa się go nieraz mianem najlepszego pisarza science fiction na świecie, według niektórych jego wielbicieli jest to o tyle prawdziwe, co i pechowe. Uważają, że dawno już otrzymałby Nagrodę Nobla, gdyby przyznającym ją jurorom nie przypominało ciągle, że tworzy właśnie tę ciagle nie mogącą dostać się na piedestał literaturę. Jego opowiadania publikuje „The New Yorker”, z najwyższym uznaniem wyrażają się o nim zarówno Kurt Vonnegut, jak i John Updike europejscy i amerykańscy naukowcy analizują jego sposób widzenia świata. Jego niemal 50 książek rozeszło się na całym świecie w trzydziestu językach i ponad dwunastu milionach egzemplarzy. A jednak ani w Stanach, ani w żadnym innym kraju nigdy nie udało mu się zdobyć popularności u tak zwanego przeciętnego czytelnika. To, co pisze, jest dla wielu zbyt trudne lub zbyt niezwykle (.)

Prawdziwe zainteresowanie stanowi jednak dopiero sam Lem. Źródłem oszałamiających, kosmicznych wizji jest spokojny, niewielkiego wzrostu mężczyzna, uwielbający długie i zastraszająco mocno osadzone w zwykłych, domowych realiach monologi. Jeżeli poprosi się go o jakieś śmiałe prognozy, w odpowiedzi usłyszy się najwyklesze, oparte o istniejące fakty przewidywanie lub wykład o niebezpieczeństwach prognozowania. Wygląda to zupełnie tak, jakby swoją niezwykłą inteligencję i dociekliwość wykorzystywał wyłącznie do pisanie książek. W tym, co pisze, od ponad trzech dziesięcioleci zafascynowany jest możliwościami stworzenia i wykorzystania sztucznej inteligencji, w życiu prywatnym korzysta ze starej maszyny do pisania, bowiem nie ma zielonego pojęcia, jak obsługiwać Apple'a swego kilkunastoletniego syna. Będąc futurystą jest zafascynowany Ameryką jako awangardą postępu technicznego i opublikował tam kilkanaście

swych książek, ale nigdy nie uznał za stosowne, by osobiście polatygować się za Atlantyk.

„Zapraszano mnie wielokrotnie i nie było żadnych przeszkód, by tam pojechać, ale po prostu nie chciało mi się”, mówi po niemiecku. Nieco okrągławy mężczyzna w silnych okularach, z aparatem słuchowym i wysoko podciągniętymi spodniami na szelkach zdaje się być trochę zakłopotany obecnością gości. Nie okazuje im niechęci, ale też nie jest zbyt wylewny. Znacznie lepiej czuje się bawiąc ze swoim psem, szorstkowsłusznym jamnikiem o imieniu Proton. W takich chwilach jedynym, co go interesuje z zewnątrz świata jest to, czy czes i stront z Czernobyla nie zaszkodzą rosnącej w jego ogrodzie śliwie.

„Po prostu nie lubię podróżować. Pakowanie ubrań, ogromna liczba walizek, dojazd na lotnisko, oczekiwanie – miałem do tego awersję już na długo przedtem, zanim pojawili się pierwsi terroryści. A potem trzeba mieszkać w hotelu, co jest wręcz straszne. Im lepszy hotel, tym gorzej się w nim czuję. W dodatku człowiek ma moralny obowiązek odwiedzania muzeów i katedr, podczas gdy równie dobrze, jeśli nie lepiej, może je obejrzeć w albumach fotograficznych. Zdecydowanie wolę siedzieć w domu. Moja żona znakomicie gotuje”.

Fantazje o międzygalaktycznych podróżach rodzą się w duszy fanatyka domowej kuchni. Może to jest właśnie klucz do jego twórczości, może tylko tam, w Krakowie, w bezpiecznym oddaleniu od hollywoodzkich westernów kosmicznych, zanurzony w kulturze ceniącej pogrążonych w rozważaniach intelektualistów, mógł ochny, spokojny mól książkowy stworzyć tak nieprawdopodobne, niezmiennie wzję. W naszym Wieku Informacji pewnie oddalenie od tego, co najświeższe i najnowsze może służyć wyostreniu umysłu. Jan Szczepański, ceniący polski pisarz i jeden z najstarszych przyjaciół Lema, przypomina sobie, jak to

kiedyś Lem wyczytał o nowym, nieznanym do tej pory gatunku gryzonia i chciał mu koniecznie pokazać książkę, w której tę informację znalazł. Książka jednak gdzieś się zawieruszyła, więc: *„Prześlą jej szukać i powiedz: «Nieważne, zaraz go wymyślę» i rzeczywiście. Wynalazł dla tego gryzonia nową nazwę (zresztą bardzo zabawną), i opowiadał o jego wyglądzie, życiu i zwyczajach przez pełną godzinę. A wszystko wymyślił ad hoc, na miejscu”.*

Po spotkaniu z Lemem wiadomo, skąd bierze się jeden z bardziej irytujących aspektów jego twórczości. Zawsze, gdy tylko na obcej planecie pojawi się jakiś problem – może to być niezwykle stworzenie, ponadnaturalna siła czy zadziwiający krajobraz – jego bohaterowie mają tendencję do reagowania w jeden, ściśle określony sposób: pędzą do biblioteki i staczą mrozącą krew w żyłach bitwę z encyklopedią. Kiedy powtarza się to po raz czwarty, czytelnik zaczyna się zastanawiać, czy tylko bohater jest dziwakiem, czy może też i autor, natomiast dla takiego domatora jak Lem nie ulega nawet wątpliwości, że miejscem, gdzie toczy się prawdziwa akcja jest właśnie biblioteka.

Lem jest typem człowieka, który pisząc przez kilka dziesięcioleci o nieważkości spotkań z radzieckimi kosmonautami, wśród których ma wielu gorących czytelników i potrafił nie czuć zazdrości. Był zadowolony, że jego przewidywania potwierdziły się, ale nie odczuwał żadnej specjalnej żądzy sprawdzenia ich osobiście. Lot na orbitę byłby niewygodny i niebezpieczny, a poza tym, jak sam mówi, *„byłem już tam wiele razy w myślach”.* (...)

Dzisiaj Lem nie pisze już ani o utopii, ani o komunistach. Ciagle jest zafascynowany technologią, ale obawia się tego, co człowiek może z nią i używając jej uczynić. W „Cybenadzie” (1967), będącej kolekcją bajek o robotach, maszyna reprezentująca N F R., czyli Najwyższą Fazę Rozwoju opo-

spotkanie z pisarzem

wiada o trwającym piętnaście tysięcy lat eksperymencie w „felicytologii”, czyli u-szczęśliwianiu cywilizacji. Rezultat „U-szczęśliwianie siłą sprowadza, jak wykazuje rachunek, sto do osiemset razy więcej nieszczęść niż powstrzymanie się od wszelkiej aktywności” ()

W roku 1948, kiedy cieszący się poparciem Stalina radziecki biolog Lysenko domagał się od swoich kolegów z Europy Wschodniej, by ci uznali jego fałszywą teorię głoszącą, że nabyte zdolności mogą być dziedziczne, Lem opublikował w jednym z krakowskich pism naukowych artykuł dotyczący tej sprawy „Uważałem, że teoria Lysenki jest nic nie warta”, mówi, „I starałem się podkreślić wszystko to, co było w niej bezsensowne” ()

Od trzech lat mieszka głównie w Wiedniu, wraz ze swoją żoną, Barbarą, lekarzem z zawodu, którą poślubił 33 lata temu i synkiem Tomkiem. Lem twierdzi, że powodem przeprowadzki była chęć umożliwienia Tomkowi skończenia amerykańskiego liceum w Wiedniu. Polski rząd, który zresztą nigdy nie utrudniał Lemowi przyjmowania i dysponowania honorariami, jakie otrzyma-

Polska czeka go pewne ograniczenia, ale uważa, że życie intelektualne jest tam pod wieloma względami ciekawsze”

Nieszczęśliwy na Wschodzie, nieszczęśliwy na Zachodzie – czego można oczekiwać po kłmś o takim charakterze? Jego bohaterowie są samotni i zamknięci w sobie. Spędzają tyle czasu na samotnych rozmyśleniach, że reszta postaci musi być z konieczności szkicowana kilkoma zdaniami i czasem zdaje się wręcz w ogóle nie istnieć. Zamieszkiwana przez tych ludzi przyszłość jest częścią na pozór bardzo przyjemna: robot w każdym domu, komfort dla wszystkich, swoboda wyboru tego, co się robi lub nie robi. Ale, jak się sam Lem przekonał, komfort i swoboda to nie wszystko, istnieją jeszcze problemy egzystencjalne.

Zakładając, że ludzkość jednak nie do prowadzi do samozagłady, Lem wyobraża sobie niepowstrzymany pochód naprzód nauki i technologii, w którego wyniku ulegają dezaktualizacji tradycyjne poglądy i zakazy, i zaciera się różnica między tym, co szlachetne, a tym, co naturalne. Wiąże się to z pewnymi problemami.

problemowi, jak przekonuje się Tichy odkrywając żyjący w katakumbach zakon robotów. Oto, jak przeor tego zakonu opisuje życie w czwartym tysiącleciu.

„Dziecko może teraz wskrzesić zmarłego, tchnąć ducha w proch i złom, niszczyć i zapalać słońca, ponieważ takie techniki istnieją. () Pula sprawstwa bowiem, wyznaczony literą Pism, został osiągnięty i tym samym naruszony Okrucieństwa starych ograniczeń zastąpiły okrucieństwa ich zupełnego braku”

Mechaniczni mnisi zareagowali na to kultywacją i pielęgnowaniem prastarych, religijnych wierzeń, mając pełną świadomość faktu, że są one całkowicie irracjonalne, natomiast przed większością mieszkańców planety rozwarła się, według słów mieszkającego w katakumbach mądrego, pobożnego komputera, „otchłań wolności, ponieważ im więcej można uczynić, tym mniej się wie, co czynić należy (...). Gdy ukochaną istotę można zdublować, nie ma już ukochanych istot, lecz uragowisko miłości, a kiedy można być każdym i żywić dowolne przekonania, nie jest się już nikim i nie ma się żadnych przekonań”



wał z Zachodu, zdaje się nie mieć nic przeciwko temu. Lem ma cały czas polski paszport i może przyjeżdżać do kraju, kiedy tylko zechce, jak to uczynił chociażby ostatniego lata, które spędził w swym nowym domu na przedmieściach Krakowa. Dom, który według polskich standardów śmiało można nazwać pałacem, przypomina górski szalaz ustawiony na dachu niewielkiego domku, z jakich składa się zabudowa ulicy.

Kiedy jeszcze Lem mieszkał w Krakowie, wstawał o piątej rano, pisał do południa, a potem szedł na przynajmniej dwie godziny do kolejki, by zrobić niezbędne dla domu zakupy. Niedługo przed wyjazdem zaczęły go niepokoić zamieszki w szkołach i wpływ, jaki te wydarzenia mogą wywrzeć na Tomku. Miał także coraz większe problemy ze zdobyciem pism naukowych, do których się przyzwyczaił – „Science”, „Nature” i „Scientific American” (Lem zna bierne angielski). Przenosiny do Wiednia rozwiązały te problemy, ale gdy Tomek skończył na wiosnę szkołę, Lem ma zamiar powrócić do Polski.

„Lem czuje się nieszczęśliwy i nie na miejscu”, mówi rodowity wiedeńczyk, Franz Rottensteiner, przyjaciel i literacki agent Lema. „Docenia wolność i udogodnienia życia na Zachodzie, ale irytuje go wszechobecny komercjalizm i pośpiech. W

Jak sprawdzić, gdy dostępne już będą nowe, psychoaktywne środki chemiczne, czy rzeczywiście zajada się w luksusowej restauracji: bażanta czy też może z wziętą w usta rurą polyka się pośpiesznie tłoczoną pod ciśnieniem glonowo-odpadkową pastę, zaś obraz i smak bażanta tworzą jedynie dodane do niej halucynogeny? I czy w ogóle warto sprawdzać?

Jakie będzie się nosić ciała, gdy inżynieria genetyczna osiągnie szczyt rozwoju? W „Dziennikach gwiazdowych” Lem opisuje planetę, która przeszła przez całą senę wojen, u których podłoża leżał ten właśnie problem. Jedna strona chciała dodawać ogony, inna wołała oczy pod pachami, jeszcze inna głosiła za taką przebudową organów płciowych, by zapłodnienie musiało odbywać się szóstkami, a nie, jak dotychczas, parami. Wreszcie dyktator-dobroczyńca, pragnąc położyć kres przelewom krwi, doprowadza do unifikacji płci i zmienia konstrukcję mózgu w ten sposób, że obywateli doświadcza rozkoszy seksualnej tylko wówczas, gdy wykonuje jakąś pożyteczną dla społeczeństwa pracę. Oczywiście powstaje od razu podziemie rekrutujące się z tych, co nie pracują, bo nie chcą mieć przyjemności.

Wojny te były jednak zaledwie objawem towarzyszącym znacznie poważniejszemu

Na tym właśnie zdaje się polegać największy problem Lema. () Nie może uwierzyć w Boga i gnębi go podejrzenie, że ludzkość nie jest niczym więcej jak tylko efektem „spłotu okoliczności” (). Nie daje mu spokoju świadomość, że człowiek mógłby w ogóle nie powstać, gdyby w okresie tworzenia oceanicznej „praprzyp” Ziemia nie znajdowała się akurat w takiej, a nie innej odległości od Słońca, ba, że nawet sama Ziemia mogłaby dziś nie istnieć, gdyby w czasie powstawania planet Układ Słoneczny nie znajdował się akurat w jednej z najspokojniejszych części Drogi Mlecznej. Splot najzupełniej przypadkowych okoliczności. Czyżby nie istniało nic poza chaosem?

„Jest agnostykiem”, mówi Szczepański, „ale dręczy go potrzeba znalezienia czegoś, co jest prawdziwe, dobre i pewne”. Czasem wydaje się, że już to znalazł, na przykład w „Głosie Pana” (1968). Hogarth, naukowiec pracujący nad rozszyfrowaniem listu z Kosmosu, w swych poszukiwaniach klucza zahaczający i o Kanta, i o Biblię, postać, według słów Lema, najbardziej zbliżona intelektualnie do niego samego, jest człowiekiem samotnym, odnoszącym się do świata ze sporym cynizmem. Uważa się za z gruntu złego, rozmyśla często o okrucieństwach nazistów i uważa, że usiłowania ludzkości by przy pomocy najlep-

spotkanie z pisarzem

szych jej umysłów stworzyć broń, która przyniosłaby Ziemi zagładę, świadczą o patologicznej naturze człowieka

A mimo to dokonuje się w nim przemiana. Pod koniec książki, kiedy po przedstawienu kilku wspaniałych, zapierających dech w piersi teorii o pochodzeniu wiązki cząstek niosących posłanie z Kosmosu okazuje się, że samego posłania jednak nie można odczytać, Hogarth, najbardziej zatwardziały ze sceptyków, dochodzi nagle do przekonania, że wiązka ta skierowana została na Ziemię przez pokojowo usposobione, wyżej od ludzi rozwinięte istoty. *W tej chwili odczułem w oczwisty sposób ich wielkość*, mówi Hogarth. *„Zrozumiałem, na czym może się opierać i czym może być cywilizacja”*

Trudno oprzeć się pokusie, by nie uznać tego za osobiste wyznanie Lema. Często spekuluje na temat możliwości rozwoju cywilizacji na zupełnie nowej płaszczyźnie, wszystko jedno, z ludźmi czy bez ludzi. Uważa, że człowiek z rozmiarami swego mózgu ograniczonymi przez biologię stanowi ślepe odgałęzienie ewolucji. Kolejny wielki skok na następny poziom inteligencji może, według niego, zostać dokonany przez maszyny o nieporównywalnie większych mózgach, zdolne do samodzielnego rozwoju i przekształcania się w intelektu na skalę galaktyk. (A czy mgławice, które widzimy, nie mogą być takimi właśnie formami inteligencji? – zapytuje)

Te niebiologiczne, rozumne twory byłyby wolne od morderczych instynktów, zdających się być nierozdzielalną częścią ludzkiej biologii, dzięki czemu mogłyby osiągać niewyobrażalne dla nas wyżyny moralnego rozwoju. Zostalibyśmy bezradnie z tyłu, jak dzieci, które nagle przestały się rozwijać. Jednak Lem, w przeciwieństwie do tych twórców SF, którzy bez ustanku produkują nowe wersje potwora Frankenstein, nie uważa, by te istoty mogły stanowić zagrożenie dla ludzkości. Po cóż wyższa inteligencja miałaby podbijać Ziemię? Z pewnością nie brak by jej było ważniejszych zajęć.

Czy jednak takie istoty naprawdę mogą istnieć gdzieś w Kosmosie? Czy Lem, wielki pesymista, po cichu podziela nadzieje Hogartha? „Hogarth uwierzył, ponieważ otrzymał list z Kosmosu. Ja takiego listu nie otrzymałem”, mówi Lem wzruszając ramionami. *„Między tym, co uważam za możliwe, a tym, co według mnie jest niemożliwe, nie ma wyraźnie zaznaczonej granicy. Moje życie nauczyło mnie, że wielkich i małych wydarzeń nie tylko nie można przewidzieć, ale nawet nie można w nie wierzyć. Wzruszyłbym tylko ramionami, gdyby mi jako chłopcu ktoś powiedział, że Amerykanie będą jeździć samochodem po Księżycu, a ja będę to widział nie ruszając się ze swego pokoju*

Trzeba wielkiego wysiłku, jeśli chce się przewidzieć choćby najdrobniejszy fragment jednej z możliwych przyszłości. Jedną z moich metod polega na tym, by wyobrazić sobie, jakie dziedziny nauki w jaki sposób kiedyś się ze sobą skrzyżują. Ale postęp technologiczny był i tak znacznie szybszy, niż przypuszczałem. Znaczną część tego, o czym pisałem dwadzieścia lub trzydzieści lat temu i co umieszczałem w następnym stuleciu istnieje i funkcjonuje już teraz.

Kilka lat temu usłyszałem po raz pierwszy o szerzącym się wirusie AIDS, atakującym system odpornościowy człowieka.

Napisałem opowiadanie, w którym coś podobnego spotyka komputery – elektroniczny odpowiednik wirusa atakuje i niszczy zawarte w nich informacje. Kiedy je skończyłem, przyszło mi na myśl, czy przypadkiem zbyt się nie zagalopowałem, ale wkrótce potem przeczytałem informację, że coś takiego już istnieje” (Pragnący walczyć z piractwem software’owym programista wymyślił „robaka”, którego można ukryć w zasadniczym programie. W przypadku nielegalnego skopiowania „robak” ów wkracza do akcji „pożerając” zgromadzone w pamięci komputera dane)

W wydanym w 1971 roku „Kongresie futurologicznym” Lem sparodiował gatunek, który uprawia i dokonał kilku trafnych przewidywań. Akcja książki toczy się podczas zjazdu futurologów i rozpoczyna się od obalenia amerykańskiej ambasady przez terrorystów z Trzeciego Świata. Pewien człowiek planuje zamach na papieża (było to pisane, rzecz jasna, długo przed pamiętnymi strzałami na placu św. Piotra). Po wypiciu szklanki wody z dodatkami silnego środka psychotropowego narrator przekonuje się, że nie wiadomo dlaczego zaczął nagle miłować swoich bliźnich. Okazuje się, że chemicy odkryli nową rodzinę halucynogenów, w tym między innymi środek zwany ekstazą. Lem napisał to 15 lat przed chwilą, kiedy tysiące Amerykanów zaczęło kochać swoich współbraci dzięki specyfikowi zwanemu „ekstazą”

Sam Lem, rzecz jasna, nie ma najmniejszej ochyoty tego spróbować.

„Jakieś dwadzieścia lat temu zażyłem pod kontrolą lekarza psilocybinę”, mówi. *„Był to eksperyment. Opowiadałem o tym, co czuję, a wszystko było nagnywane na taśmę. Najdziwniejsze w tym okazało się to, że – choć przeżycie było bardzo interesujące – nigdy nie miałem ochoty go powtórzyć. Kiedy indziej znowu dostałem w podarunku od ekipy telewizyjnej – zdaje się, że byli to Szwedzi – papieros z haszyszem. Leżał w szufladzie przez kilka lat. Powtarzałem sobie, że być może pewnego dnia go zapalę, ale jakoś nigdy nie miałem na to specjalnej ochyoty. Dlatego nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek miał zaprzęgnąć »ekstazy«. Może własne myśli i marzenia w zupełności mi wystarczą”*

Jest bardzo wątpliwe, czy owe myśli i marzenia wystarczą amerykańskiemu czytelnikowi, ale być może wszystko się zmieni z chwilą wydania najnowszej książki Lema. „Fiasko”, którego angielski przekład ma ukazać się na wiosnę, jest jedną z jego najbardziej przystępnych i jednocześnie najlepszych powieści.

Zawiera co prawda tradycyjne, profesorskie dygresje, starannie przemysłane wykłady o rzeźbie powierzchni Ziemi i wpływie lotów z prędkością światła na pracę ludzkiego serca, ale jest w niej także pasjonująca, zmuszająca do szybkiego odwracania kartek intryga. Tym razem człowiek nie otrzymuje z Kosmosu żadnego listu; to on sam udaje się z wizytą.

Powieść rozpoczyna się od przechadzki po Tytanie, jednym z księżyców Saturna i od dużego osiągnięcia autora, zakończonej powodzeniem próby zainteresowania czytelnika geologią. Potem następuje śmierć, zmartwychwstanie i dziejąca się w XXIV wieku przygoda. Poszukując bezskutecznie jakiegoś sygnału od obcych cywilizacji ziemscy eksperci doszli do wniosku, że albo takowe nie istnieją (bo już dawno wysadziły się w powietrze), albo też nie

mają czasu ani ochoty na gaworzenie z niedorozwiniętymi dziećmi, czyli Ziemianami. Naukowcy doszli do wniosku, że w historii rozwoju każdej cywilizacji okres, w którym chciałaby kontaktować się z inną jest niezwykle krótki – trwa od chwili odkrycia fal radiowych do momentu wykształcenia nowej, wyższej inteligencji. Po długich poszukiwaniach udało im się zlokalizować planetę, której mieszkańcy znajdują się na takim właśnie stopniu rozwoju

Ziemianie zjawiają się w jej pobliżu, ale niemal od razu przekonują się, że znajduje się ona we władaniu gorących zwolenników czegoś w rodzaju Strategicznej Inicjatywy Obronnej. Ostrzegają na siebie nawzajem zęby militariści otoczyli planetę pierścieniem wymyślnych systemów obronnych, które automatycznie skierowują się przeciwko przybyszom. Obcy nie chcą nawet rozmawiać z ludźmi, więc ludzie coraz bardziej wyprowadza to z równowagi i... Nie zdradzając nic więcej z treści książki można jednak powiedzieć, że nie bez przyczyny nosi ona tytuł „Fiasko”. To Lem w wersji „super”, inteligentnie wyjaśniający, dlaczego dwie cywilizacje mogą nie być w stanie nie to, że się zrozumieć, ale nawet nawiązać kontaktu. Dodatkowo oferuje czytelnikowi przemysłany, przynębiający obraz tego, do czego może kiedyś doprowadzić wyścig zbrojeń do stanu nieprzerwanej, bezmyślnej wojny prowadzonej przez niewidocznych gołym okiem żołnierzy. Niestety, nie jest to utopia

„Im dłużej żyję, tym większe nachodzą mnie wątpliwości co do szans przeżycia naszego gatunku”, mówi Lem. Gdyby pozwolono mu wybrać czas, w którym chciałby żyć, wskazałby na belle époque. Co do przyszłości, to co prawda całe życie pisze o niej, ale nie chciałby się tam znaleźć.

A może choćby na chwilę?

„Chyba nie”, mówi. *„Chyba jednak nie. Odległa przyszłość może przypominać cmentarz, albo być dla mnie zupełnie niezrozumiała. Wyobraźmy sobie krzyżowca, który znalazłby się w dzisiejszym Londynie lub Nowym Jorku. Nie zrozumiałby nic z tego, co się dookoła niego dzieje. To bardzo dobrze, że jesteśmy skazani na czas, w którym się urodziliśmy. Tak, to dobrze, że kurtna zastanawiająca przyszłość nie jest przezroczysta”*

A gdyby była? Czy po tylu latach fantazjowania oparłby się pokusie, by rzucić tam ukradkiem jedno spojrzenie?

„Gdyby naprawdę istniała taka możliwość”, odpowiada wzruszając ramionami, *„z pewnością bym się zawałał”*. Ale jednego jest zupełnie pewien – w przeciwieństwie do Marka, bohatera „Fiasko”, zupełnie nie zależy mu na tym, by postawić stopę na czyjejkolwiek, obcej planecie. Poza obawą, że mogłoby się to skończyć prawdziwym fiaskiem, poza podejrzeniem, że żadna z cywilizacji nic a nic by na takim kontakcie nie zyskała, jest jeszcze prozaiczny problem, jak się tam dostać. *„Podróż trwałaby strasznie długo i byłaby potwornie nudna. Żadnych wadoków, krajobrazów, nic – tylko pustka. Jak w więzieniu”*.

Bez względu na to, co tam jest, bez względu na to, jak piękne planety mogą czekać na człowieka, kiedy wystartują gwiazdne krążowniki, Stanisław Lem bez żalu pozostanie w domu, by móc pielęgnować swój ogródek.

Przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

Rosnące zainteresowanie literaturą science fiction i fantasy w naszym kraju oraz wielki popyt na książki, czasopisma, a także na filmy wielkoekranowe i wideo musiały w końcu wywołać odzew nauki.

Trudno przecież przechodzić obojętnie obok zjawiska, które zrodzone około 100 lat wstecz, stało się w naszych czasach najmodniejszą dziedziną sztuki. I oto rodzą się pytania z zakresu socjologii, estetyki, filozofii, etyki, nad którymi poczynają się zastanawiać naukowcy, których poczynania zmieniają zarówno oblicze naszego życia, ingerując w nie bezpośrednio, jak i wyciskają piętno z każdym dniem potężniejsze na kulturowej nadbudowie. Coraz więc liczniejsze są zarówno próby dociekań naukowych, jak i opracowań, dotyczących problematyki fantastycznej. Z udziałem uczonych odbyło się już kilka sesji, zorganizowanych przez „Fantastykę”, jak i przez Uniwersytet Warszawski.

Ostatnio zaproszeni zostaliśmy jako redakcja do uczestnictwa w bardzo interesująco zapowiadającym się sympozjum na temat „Science fiction w kulturze współczesnej”, organizowanym przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Politechnikę Rzeszowską. A więc impreza będzie tym bardziej interesująca, że spotkają się na niej zarówno przedstawiciele humanistyki, jak i nauk ścisłych i stosowanych, tudzież publicyści i pisarze.

Publikujemy referat wprowadzający prof. Marii Gołaszewskiej, zawierający tezy wstępne sympozjum, które odbędzie się w dniach 2-5 września w Bieszczadach, w Bystrem, koło Bałogrodu.

A.H.

Imaginacja w antroposferze

Maria Gołaszewska

Science fiction – czym jest? Gatunkiem literackim bez ścisłej definicji? Rozrywką czy nauką, natchnioną wizją czy katjedoskopem nieobowiązujących pomysłów? Dla jednych SF to coś jakby kryminały czy telewizja narkotyk rozkładająca świadomość dla innych postannictwo na technokratyczne czasy automatyzacji, robotyzacji, komputeryzacji. Czy jest to może nowa nazwa dla starej jak świat fantastyki? Czy też SF przekracza granice literatury i zagarnia wszystkie rodzaje sztuki, staje się zgeneralizowanym sposobem myślenia naszych czasów, usiłującym jak najszybciej i jak najdalej uciec z teraźniejszości w przyszłość.

Spróbujmy zajrzeć pod podszewkę terminu, który zrobił tak oszałamiającą karierę.

SF sensu largo

1. Pojęcie „science fiction” funkcjonuje we współczesnej kulturze w dwu zasadniczych znaczeniach

a) sensu largo – gdzie bywa też określone jako „fantastyka” – są to wizyjne obrazy świata przyszłego lub przeszłego, przekazywane bądź jako abstrakcyjne idee w języku dyskursywnym, bądź za pomocą dzieł sztuki wszelkich rodzajów, a niekiedy jako realne czyny (np. utopijna społeczność Owena).

b) sensu stricto SF to współczesna powieść, nowela, film (być może, marginalnie malarstwo i muzyka) odznaczająca się fantastycznością oraz nawiązaniem do nauki i techniki.

2. Kategorie, w jakie ujmowana bywa czy też może być ujmowana SF są nader liczne i zróżnicowane, poczynając od różnorodnych dyscyplin naukowych, jak historia i teoria literatury, estetyka, socjologia, przez szczegółowe ujęcia typu humanistycznego, jak teoria archetypów, kategoria zmian mutacyjnych, do kryteriów i ocen stosowanych w krytyce artystycznej.

Dla przykładu wskażemy kilka ujęć szczegółowych stosujących się do SF

a) teoria archetypów (Carl Jung) SF byłaby przejawem wydobywania na po-

wierzchnię świadomości, przez właściwe dla niej środki (symbole) podstawowych archetypów ludzkości, takich jak: człowiek-plak (opaniowanie powietrza – za najdawniejszą SF w tym znaczeniu można uznać mit o Dedalu i Ikarze, dziś są to opowieści o lotach kosmicznych, wynoszących człowieka poza naszą galaktykę), utopie (Morus, Swift) i antyutopie (Huxley), życie na innych planetach (Żuławski), katastrofy i zniszczenie ludzkości (Bradbury), koniec świata, sztuczny człowiek (Golem, Frankenstein, dziś robot pracujący za człowieka).

b) SF jako mutacja rzeczywistości – pływanie po wodzie zamienia się w przemieszczanie się pod wodą (Verne i jego Nautilus).

c) SF jako dzieło wielkich wizjonerów – Leonardo da Vinci, H.G. Wells, Däniken; tu także należą abstrakcyjne projekty architektoniczne wielkich aglomeracji urbanistycznych oraz propozycja przemiany ludzkości w wyniku inżynierii genetycznej;

d) SF jako przypadkowy układ nieobowiązujących pomysłów, choć zdarza się, że wizje te realizują się z czasem – np. klonowanie u Huxleya (nazywane przez niego „butelkowaniem”, produkowaniem wielkiej liczby bliźniąt z jednej komórki), lądowanie ludzi na Księżycu w trylogii Żuławskiego, u innych autorów możliwość zniszczenia ogromnych obszarów za naciśnięciem guzika, telewizja, itp. (oczywiście, pomysły te zazwyczaj realizują się w inny sposób niż to było przewidziane i opisane przez ich pierwszych twórców).

e) SF w ujęciu „naturalistycznym”, które polega na twierdzeniu, że SF jest naturalnym przejawem rozwoju gatunku ludzkiego, tworzącego, rozwijającego, komplikującego i udoskonalającego kulturę przez wprowadzenie elementów przewidywania, wyobrażania sobie tego co ma nastąpić, człowiek czyni to przez fantazjowanie (działanie wyobraźni twórczej nie nawiązującą do rzeczywistości) – tworzenie wizji SF – futurologię – prognostykę – planowanie

Wyobraźnia

w świetle człowieka

3. Gdy podejmujemy problematykę SF, niezależnie od sposobu ujęcia, natrafiamy zawsze na podstawowe pojęcie i kryjące się za nim zjawisko – wyobraźnię. Jest to wyobraźnia szczególnego rodzaju – fantazja. Fantazję rozumiemy jako wyobraźnię wytwórczą, zdolność do kreowania wyobrażeń, wewnętrznych obrazów tego, co nie było przedmiotem spostrzeżenia, od znaczącą się zerwaniem powiązań z rzeczywistością, z tym, co istnieje realnie, niekiedy nawet wyobrażenie czegoś, co w ogóle nie może zaistnieć.

Tak więc wyobraźnię twórczą fantazjującą (nie zaś kopiującą) uznajemy za niezależny wyróżnik, element strukturalny SF.

4. Poszukując struktur głębokich SF musimy określić jaka jest istota funkcji wyobraźni w życiu człowieka pojętego jako galunek bądź indywiduum. Dopiero na tym tle możemy ustalić, jaką funkcję pełni SF w antroposferze. Otóż za najważniejszą należy uznać funkcję entropijną wyobraźni w antroposferze.

Entropię określa się jako miarę nieokreśloności, chaotyczności, nieuporządkowania, przypadkowości. Pojęcie pochodzi z fizyki, zrobiło karierę w termodynamice, a Boltzman nadał entropii sens statystyczny (w odniesieniu do zachowania się cząstek gazu, 1877). Pojęcie to przedostało się w postaci uogólnionej do teorii informacji, każdemu rozkładowi prawdopodobieństwa odpowiada jego entropia, równa średniej wartości, z przeciwnym znakiem logarytmu funkcji rozkładu. Entropia jest tym większa, im bardziej rozmyty, rozproszony jest rozkład prawdopodobieństwa. W fizyce statystycznej jest entropia miarą nieokreśloności mikroskopowego stanu układu. Procesy, w których entropia nie ulega zmianie są procesami odwracalnymi, to znaczy mogą zachodzić w dowolnym kierunku; procesy, w których rośnie – są nieodwracalne.

Oczywiście, fizyczne zjawiska i fizykalne teorie, stanowiące punkt wyjścia naszej koncepcji interpretacyjnej, gdy idzie o antroposferę, traktować będziemy jedynie *per analogiam*. Istnieje zresztą realna próba odwołania się do entropii w zastosowaniu do sztuki. Uczynił to Max Bense w swym dziele „Aesthetica” (1960). Przenieśmy zatem zagadnienie entropii na teren ludzki. Kiedy w materii zachodzą procesy nieodwracalne, ponieważ zostaje ona całkowicie uporządkowana, coraz mniej w niej miejsca na nieokreśloność, chaos, przypadkowość. Na przykład w gazach następuje równowaga cieplna, i tracą one energię, następuje spadek napięcia, ustaje ruch (poza jednostajnym, nader ograniczonym przemieszczaniem cząstek). Podobnie dzieje się w świecie ludzkim, kiedy myślenie zostaje ujęte w sformalizowane schematy, następuje podporządkowanie się stereotypom, słabną napięcia powodujące aktywność i żywość umysłu, zanika twórczość, wynalazczość, ustaje inwencja, a na jej miejsce wkracza naśladownictwo, powtarzalność, rutyna. Można by zapewne znaleźć metodą statystyczną wskaźnik entropii, czyli stopień nieokreśloności, a zarazem żywotności kulturowej człowieka. Wiadomo, iż z biegiem lat, z postępem dojrzałości, człowiek nabiera coraz większej umiejętności strukturalizacji, porządkowania rzeczywistości. Struktura jest żelaznym prawem istnienia, trwania i przetrwania – prawo entropii jest prawem zmienności,

krytycy o fantastyce

rozwoju, postępu, przemian. Właśnie wyobraźnia pełni zasadniczą funkcję w zachowaniu zmienności, żywotności wszelkich układów antroposfery – powoduje ruchliwość elementów, ich przemienność, dynamikę. Fantazja dyktuje możliwości, jest siłą napędową myślenia perspektywicznego, przyszłościowego. Jej podstawową „techniką” staje się burzenie skostniałych układów i tworzenie nowych struktur. Tym, co reprezentuje najpełniej entropijny czynnik wyobraźni ludzkiej jest sztuka, a w sztuce science fiction.

Poetyka wyobraźni

5. Tak jak w poetyce faktu podstawową, wiodącą dyrektywą kreacyjną jest realna rzeczywistość, tak w poetyce idei ogólnych rolę tę pełnią pojęcia ogólne, tak w poetyce wyobraźni – której najbardziej oczywistym przejawem jest SF – rację konieczną i, być może, dostateczną stanowi wyobraźnia wytwórcza.

6. Pobudzający wyobraźnię jest już sam termin science fiction, fantastyka naukowa. Przywykliśmy traktować fantastykę i naukę jako pojęcia przeciwstawne, uczony nie przekazuje nam swoich fantazji, lecz wiedzę, z koło rezonujący artysta popada w manierę dyskursu i pseudofilozofowania. Nie o wiedzę, nie o poznanie tu idzie, lecz raczej o uwolnienie nauki od spetryfikowanych uporządkowań, a sztuki od uprzedzeń wobec techniki, matematyki, biologii.

7. Mówimy o „fantastyce” – lecz nie każda fantastyka jest SF. Idzie tu o wyobraźnię swojszą oswojoną ze światem nauki i techniki. Opowiadania o duchach, wampirach, cudach, ani też symbolika religijna – nie mają z SF nic wspólnego (poza momentem wyobraźni uwolnionej od schematów). W SF przestrzegane są określone reguły (podobnie jak w kryminałach).

8. Gdy idzie o wartości artystyczne, czyli sposób realizacji zamiaru twórczego, do specyfiki SF należy niezbędna precyzja techniczna w oddaniu wyglądu tego, co nie istnieje, lecz zaistnieć może lub też zaist-

nieć nie może. Każdy nowy wynalazek opisany w SF musi być unaoczniony w sposób sugestywny, z podaniem przybliżonych sposobów jego realizacji, musi zyskać rangę prawdopodobieństwa. Jeśli zaś nie da się go precyzyjnie opisać (niezrozumiały blask u Bradbury’ego), SF musi precyzyjnie ukazać stan świadomości, doznania bohatera, który z czymś niepojętym spotykał się lub obcuje.

Zarazem jednak we współczesnej SF nie są stosowane żadne specyficzne wartości artystyczne: kompozycyjne, językowe, narracyjne. Pod tym względem panuje ogromne zróżnicowanie i dość znaczna zależność od konkretnych utworów.

9. Mamy też do czynienia z kiczami gatunku SF. Pojawiają się one w wyniku nieporadności artystycznej lub gdy autorowi nie dopisuje jego światło-twórca wyobraźnia, a przede wszystkim wtedy, gdy opisywane zdarzenia nie zawierają żadnych problemów, idei ogólnych, przesłania. Natomiast to, co bywa tak groźne dla wartości sztuki – przesada, wyolbrzymienie, jednostronność, absolutyzacja, nie stanowi dla SF artystycznego niebezpieczeństwa (oczywiście, gdy staje się niezbędnym środkiem wyrazu dla unaocznienia powziętej idei).

10. Wartości estetyczne SF bazują na zbliżeniu człowiekowi tego, co go przerasta i budzi grozę, wstrząsa swą tajemniczością, niezwykłością, ogromem. Pozaracjonalne, nieznanie nauce słany przyszłe zostają w SF ujęte w kategorię możliwego oczekiwania, wspianego – bowiem dotychczas niedoznanego SF realizuje wszystkie podstawowe wartości estetyczne: piękno i brzydotę, tragizm i komizm, wzniostłość i tragiczność, poetyczność i prozaiczność; oczywiście, czyni to na swój sposób – podnosząc czytelnika (czy widza) na wyższy stopień samoświadomości, kiedy porwany możliwością realizacji niewyobrażalnego podąża za dziełem rozpoznając siebie jako kandydata na nowego człowieka.

11. Rozwój SF, gwałtowny, jak wszystkie zmiany w naszym XX wieku, pozwala mówić o ewolucji koncepcji estetycznej gatunku. Klasyczna powieść SF zdążyła wytworzyć swoje normalne kanony artystyczne, zestarzała się i wydała kilka nowych generacji, które określa się niekiedy mianem „anty-SF”. W każdym magazynie SF można odnaleźć krótkie, spoetyzowane, liryczne dziełka o pokroju fantastyki, zbliżone do klasycznej SF, lecz w ostatecznym wyrazie daleko od niej odbiegające. Zdają się one również ironiczne pastisze SF, lecz prawdziwa „anty-SF” polega na tak dalekim odejściu od rzeczywistości, iż w jej wymiarze nic już nie jest do rozpoznania, a nauka i technika ukazane bywają jako mgliste wspomnienia, kiedy coś dla człowieka znaczyły.

12. „Anty SF” jest jednak marginesem gatunku. Trzeba tu wskazać na jeszcze jedną właściwość SF, tak ważną dla sztuki – zdolność do przekraczania siebie (transcendowania) w wartościach estetycznych ku innym, wysokim wartościom funkcjonującym w antroposferze:

a) ku koncepcji osobowości ludzkiej, obdarzonej nowymi możliwościami,

b) ku unaocznieniu artystycznego spłotu techniki, nauki i tęsknoty do poznania tajemnic przyszłości;

c) ku wartościom etycznym: przyszły świat bowiem musi być lepszy, szlachetniejszy, a wyobraźnia nakazuje ujęcie nowej ludzkości żyjącej w powszechnym dobrobycie, lecz także we wszechogarniającej solidarności,

d) ku rozbudzeniu tęsknoty do zwielokrotnienia naszych potencji intelektualnych,

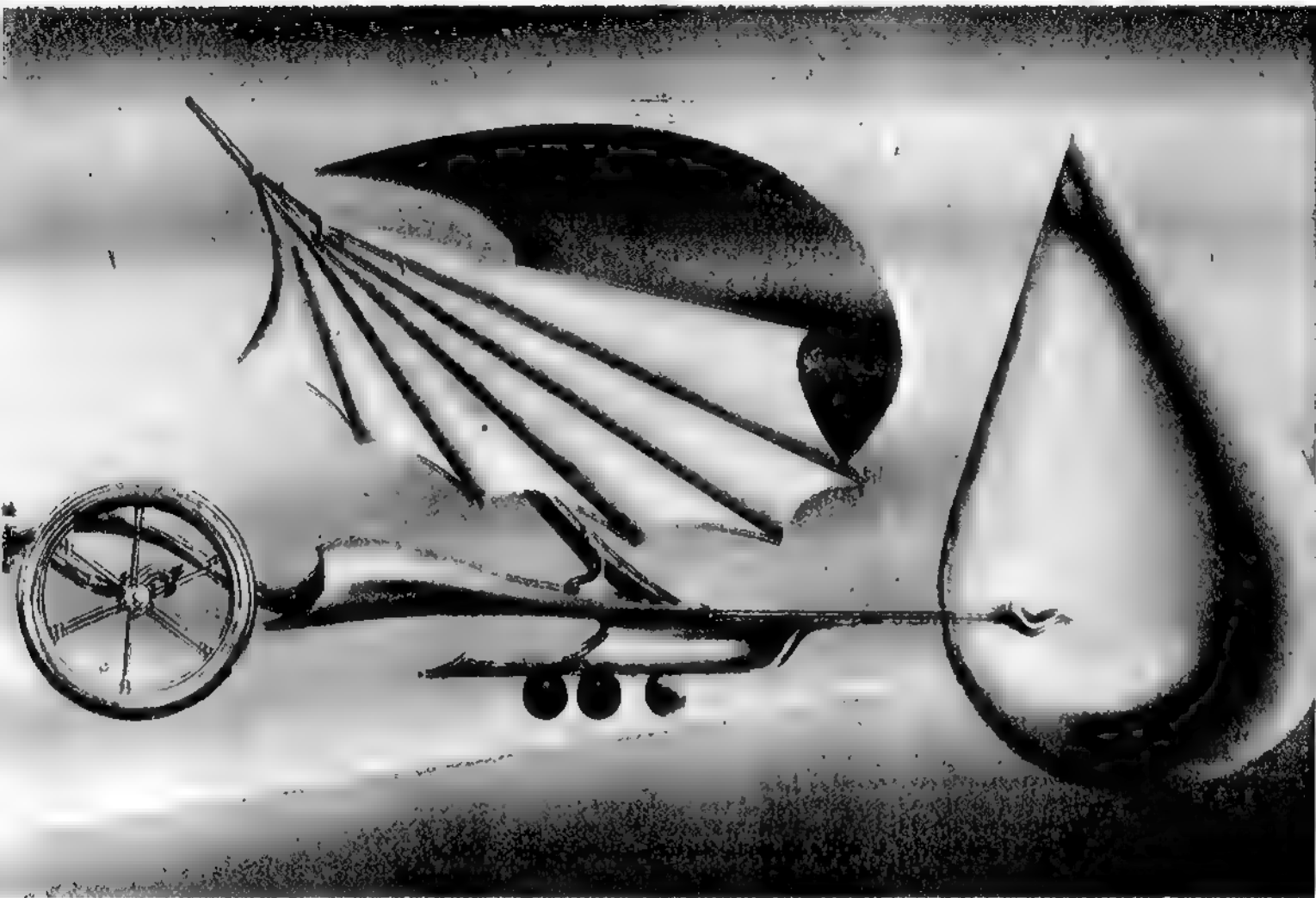
e) ku konieczności przywrócenia właściwej hierarchii w codziennych drobnych zabiegach, uznania rangi wartości najwyższych, wobec rzeczywistych zagrożeń, i faktu, że nasza planeta jest pyłkiem w skali wszechświata.

Jest jeszcze taki nurt SF, który nie transcenduje wprost ku wartościom wyższym, lecz albo ostrzega przed negatywnymi skutkami trendów rozwojowych ludzkości, albo w sposób nieodwołalny przewiduje biologiczną i chemiczną zagładę ludzkości (katastrofizm).

13. Rola SF polega na tym, że będąc dzieckiem wolnej wyobraźni mówi człowiekowi jak mieć nadzieję i jak ją realizować przez rozbijanie stereotypów, patrzenie w przyszłość i odrzucanie obaw o karłowatość gatunku ludzkiego. Zbyt często słyszy się od ludzi, także młodych, iż nie ma przed nimi perspektyw, wszystko zostało osiągnięte, napisane, wymyślone, zajęte, a dokończanie szczegółów, czy coraz wolniejsze posuwanie się utartym szlakiem, nie daje satysfakcji, jest nudne i niegodne utraconych ambicji. SF ukazuje, że antroposfera nie jest jeszcze zużyta, że raczej jest bardzo młoda, naiwna, drapieżna.

14. Lektura SF, czyli punkt widzenia odbiorcy, odznacza się pewnymi prawidłowościami: najpierw czytamy ją z daleka i dającą rezerwę, potem traktujemy SF jako rodzaj kryminałów do poduszki lub popularną literaturę młodzieżową, dopiero później następuje przełamanie uprzedzeń i oporów. Wybieramy w niezwykłym bogactwie SF to, co trafia w nasze najgłębsze oczekiwania, doznajemy dreszczy obcowania z pięknem nieprawdopodobieństwa ukazanego jako kreacja przyszłości.





Niezabitowski Wacław

(1886–1928)
Dziennikarz,
prozaik

Urodził się 18 grudnia 1886 roku w Bejskach w powiecie płońskim jako syn oficjalisty dworskiego Stanisława z Machajskich. Po ukończeniu gimnazjum studiował malarstwo w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych (1906–1907), a w Włocławku. Po niepowodzeniach artystycznych zaczął się pracę nauczycielską. Był nauczycielem rysunku w Zagłębiu Dąbrowskim, współpracował z prasą, pisał i publikował satyryczne wiersze i karykatury. W roku 1917 wraz z krytykiem Kazimierzem Czachowskim redagował w Miechowie czasopismo „Lud Miechowski”. W latach 1919–1920 służył w Wojsku Polskim, następnie zamieszkał w Grudziądzu. Od roku 1921 zatrudniony w „Głosie Pomorskim” na stanowisku redaktora, a następnie w redakcji „Gazety Grudziądzkiej”. W roku 1922 wydaje własny tygodnik społeczno-polityczny „Kresy Zachodnie”. Współpracuje z „Dziennikiem Łwowskim”, „Polonią”, „Rzeczpospolitą”. Jako prozaik debiutuje książką „Przez śniegi poźną Grudziądz 1922 1924”. Zmarł 19 października 1928 roku w Warszawie.

Autor czterech powieści wykorzystujących elementy fantastyki naukowej: „Ostatni na Ziemi” (Tow. Wyd. Strzelczyk i Kąsinowski, 1928), „Huragan od Wschodu” (Tow. Wyd. Strzelczyk i Kąsinowski, 1928, wyd. 2 – Kurtyba 1936), „Skarb Aarona” (Biblioteka Groszowa, 1929, wyd. 2 –

Biblioteka Echa Polskiego, 1935), „Golfstrom” (Tow. Wydawnicze „Rój”, 1936).

Twórczość Wacława Niezabitowskiego mieści się w nurcie popularnej, sensacyjno-dydaktycznej prozy dwudziestolecia pozbawionej wartości literackich, podejmującej i zarazem upraszczającej założenia prognoz katastroficznych, zmierzchu cywilizacji zachodniej (Oswald Spengler, Florian Znaniecki, Stanisław Ignacy Witkiewicz), dając wyraz obawom wobec nowej sytuacji społeczno-politycznej, jaka wytworzyła się po zakończeniu I wojny światowej. W sposób nie przebiegający w środkach wykorzystuje autor mechanizmy propagandowe, ostrzega przed niebezpieczeństwem najeźdźcy ze Wschodu, kreśląc wizję silnej, niepodległej Polski, która w przyszłej wojnie potrafi stawić czoła najeźdźcy i raz jeszcze okazywać się przedmurzem zachodniej cywilizacji. Najciekawszą powieścią Niezabitowskiego (którego Kazimierz Czachowski – z dużą przesadą – określił mianem „polskiego Welisa”) jest książka „Ostatni na Ziemi” mówiąca o katastrofie przyrodniczej (wybuchy wulkanów), na którą nakłada się przeczuć rozpadu więzi społecznych, wizja upadku cywilizacji i kultury (por. Jerzy Braun – „Kiedy Księżyc umiera”). W totalnej zagładzie Ziemi, którą zalewa gigantyczna fala oceanu, ginie ostatni człowiek, Polak Jerzy Wyhowski, genialny wynalazca, twórca uniwersalnego hydroplanu „Ptak Nadziei”. Cudowny wynalazek nie zdola zapobiec katastrofie, która kładzie kres ludzkiemu istnieniu, a tragiczna śmierć inżyniera

Bibliografia wybrana:

– K. Czachowski, *Miedzy romantyzmem a realizmem* (w:) „Obraz współczesnej literatury polskiej: 1884–1934”, Warszawa–Łwów 1934.

Niemczynowski Zbigniew

(ur. 1923)
Historyk sztuki,
prozaik

Urodził się 13 maja 1923 roku w Brodach koło Krakowa. Ukończył Instytut Filmowy w Krakowie, studiował historię sztuki na Uniwersytecie Łódzkim. W latach 1950–1955 współpracował z filmem polskim, pisał scenariusze, był realizatorem filmowym. Jako prozaik debiutował na łamach prasy w 1945 roku. Wydał m.in. „Żołnierza i królową” (sztuka dla dzieci na motywach baśni Andersena, 1963). W roku 1960 ukazała się jego „Rakieta Alfa I” – sztuka fantastyczna dla dzieci (Wyd. CPARA) oparta na motywach lotu kosmicznego i spotkania z inną cywilizacją. Jest to opowieść o wyprawie na Księżyc dzieci, które porwą przygotowaną do startu rakietę. Na srebrnym Globie bohaterowie spotykają myślące automaty z planety Wenus, które przybyły tam latającymi spodkami. Po nawiązaniu kontaktu z robotami młodzi podróżnicy wracają na Ziemię, atając cym talerzem.

S witało już, gdy „Ptak Nadziei” ukazał się ponad wejściem do zatoki Kenai. Minęły jednak jeszcze dwie godziny zanim znalazł się na pokładzie krążownika i do Jagerra przecisnął się komendant okrętu, kapitan Wayne, jeden z najmłodszych dowódców w amerykańskiej flocie wojennej.

- Ważne wiadomości! - szepnął doktorowi do ucha. - Zjaw się pan natychmiast w mej kajucie wraz ze swymi towarzyszami.

Zachowanie się Wayne'a złowieszczym przeczuciem targnęło Wyhowskim. Takie same przeczucia napłynęły również i do Jagerra oraz geologa, gdy wyrwawszy się wreszcie z koła witających w ponurym milczeniu kroczyli szybko przez korytarze wiodące do kajut kapitana.

Nie mylili się w swych przypuszczeniach.

- W dwie mniej więcej godziny po waższej depeszy, panowie, otrzymałem cały szereg depesz z Waszyngtonu i San Francisco - rozpoczął Wayne - wiadomości zawarte w depeszach są tak straszne, że mimo woli nasuwa się na myśl przypuszczenie, iż stoimy w obliczu katastrofy grożącej zagładą, już nie tylko poszczególnym krajom, lecz i całemu rodzajowi ludzkiemu!

Urwał i obwiał spojrzeniem twarz słuchaczy, na których jego słowa wywarły wstrząsające wrażenie.

- Depesze są straszne - powtórzył z naciskiem. - Przekonacie się, panowie, sami o tym za chwilę. Wpierw jednak choć zaznajomić panów z faktem, moim zdaniem wielce dziwnym i niepokojącym. Oto, od trzech już prawie godzin wysyłamy radiodepesze do szeregu radiostacji na terenie Ameryki i... nie otrzymujemy żadnej odpowiedzi!

Jagerr zerwał się z miejsca. Twarz jego wyrażała największe zaniepokojenie.

- Może znajdziemy wytłumaczenie tego faktu w depeszach z kontynentu? - poddał Seilwin.

- Niestety... zdaje się, że tak! - rzekł Wayne, zagryzając nerwowo wargi.

W miarę odczytywania radiodepesz przez Wayne'a oblicza słuchaczy teżały w niemej grozie.

Zniszczenie w krajach Ameryki Północnej w szybkim tempie posuwało się nadal. Równiny na wschód od pasma Andów, zapadały się w morze. Depesze głosiły, iż zapewne cała Argentyna, Urugwaj, Paragwaj, część Boliwii i cała bodaj Brazylia wraz z trzema Gujanami znajdują się już pod wodą. Ostatnie wieści, które dotarły do radiostacji Stanów z Montevideo, Buenos-Aires i Rio de Janeiro donosiły o szalejącej burzy na Atlantyku i kruszeniu powłoki ziemskiej przez potworne w swej sile drgania. Trzecia depesza zawiadamiała lakonicznie o nowym wybuchu dawno zamartwego już Kilimandzaro i zapadnięciu się Zanzibaru pod powierzchnię morza. Londyn donosił, że radiostacja w Kairze komunikuje mu o dostrzeżeniu w kierunku południowo-wschodnim dwóch wybuchów, których wstrząsy zniszczyły do szczytnie w Suezie i Port-Saidzie urządzenia tamowe na kanale. Teheran przesłał także depeszę urwaną w połowie zdania o otrzymaniu trzęsienia ziemi, jakie część miasta w pierwszych kilku sekundach przetworzyło w kupę gruzów. Radiostacja

w Damaszku milczy uparcie, pomimo nieustannego wzywania jej przez Kair i stację na Krecie. Ateny również milczą. Wezuwiusz szaleje w dalszym ciągu. Wybuchła również Etna.

Ponura zaduma osadzała się na obliczach jedynych czterech ludzi na pokładzie „Idaho” świadomych powagi położenia, wzbudzającego szalony lęk w sercach milionów.

Pomimo stalowych pancerzy osłaniających ściany i pokład krążownika o uszy

Ostatni na Ziemi

ich uderzał bezustanny głuchy huk. Było to, trwające bez przerwy od ubiegłego wieczora wybuchy wulkanów Alaski.

Pierwszy Wyhowski przerwał dość długo panujące w kajucie milczenie.

- Zatem nie uratuje się ni jedna dusza ludzka? Nie zdaje mi się to jednak w wieku takich szalonych postępów techniki...

Geolog zachnął się.

- Ech te postępy... postępy! - przerwał jego słowa. - Może aeroplany, co? Może pański „Ptak”? - Zaśmiał się ironicznie. - Dam panu zaraz przykład. Dajmy na to, że aeroplany wznoszą się w powietrze, aby przecześć w nim krytyczny moment... dobrze... możliwe to nawet! Ale co zrobia szukający w nich ocalenia, gdy trujące gazy wybuchów napelnia atmosferę swym jadem na wysokość, no... dajmy na to pięćdziesięciu kilometrów? Takiej wysokości nie osiągnie nikt z tej prostej przyczyny, że rozrzedzone powietrze nie da punktu oparcia dla najbliższego nawet aparatu! Ot, co... nawet pański „Ptak”, chociaż przyznaje chętnie, jest cudownym wprost aparatem, nie pomoże panu z pewnością!

...Jedenasty dzień bujał „Ptak Nadziei” ponad wodami, biegnąc wprost na południe.

Według obliczeń Wyhowskiego znajdował się powinien nad wyżyną Tybetu.

Pomimo skrzętnego badania horyzontu przez wybrane szkieł, najmniejsza nawet plamka nie przerywała monotonnej przestrzeni wód.

Miał zrazu nadzieję, że potężny Rosyjski Grzbiet Kwenlunju ze swymi szczytami przewyższającymi znacznie wysokość sześciu tysięcy metrów, oparł się zagładzie. Lecz nie pozostało zeń nic. Toż samo ze środkową częścią wyżyn Tybetu i z jej ośmiotysięcznymi górami.

Benzyny pozostawało zaledwie na dwie, trzy godziny lotu. Wiedział, że musi upaść.

Lecz tak był zmęczonym i chorym, że z zupełną obojętnością oczekiwał nieuniknionego końca.

Jakaś złośliwa gorączka spadała nań natychmiast prawie po opuszczeniu wysepki. Pałała mu piersi, żarem zasypywała zaschłą krtani, odbierała władzę w całym ciele.

Czy była wynikiem całonocnego przesłuchania nad cieśniną przy dżdżystej i wietrznej pogodzie? Czy była to choroba nabyta już w drodze? Nie zdawał sobie

Wacław Niezabitowski

sprawy, lecz czuł, że z każdą chwilą siły opuszczają go coraz bardziej.

Tylko dzięki intuicji i tyloletniemu doświadczeniu kierował samolotem.

Wreszcie spadała nań taka niemoc, że drżące palce odmawiały počety posłuszeństwa.

Rzucił wzrokiem na wskazówkę ostatniego zbiornika. Stała prawie na zerze.

- Żegnaj „Ptaku” - szepnął skłaniając się na swym fotelu.

Pchnął samolot na fale. Siadł lekko, prawie bez wstrząsu. Powstał, chwilejąc się na nogach. Mgła przesłaniała mu wzrok. Przez mgłę tę ujrzał przed dziołbem aparatu... daleko... daleko na horyzoncie dziwnego kształtu chmurę. Wyłaniała się z wód formując nieregularny trójkąt.

Wzrokiem, który chwilami nie widział już prawie nic, przyjrzał się jej.

- Góra! - szepnął wreszcie, - Nie dostaniemy się już do niej „Ptaku”... nie!

Poderwany nagle myślą zapuścił jeden z motorów.

Za chwilę w przestrzeń pomknęły słowa radiodepeszy. - Żegnam świat... ja... ostatni na Ziemi!

Zwałił się na wznak, jak piorunem ranny.

Motor warczał jeszcze przez parę minut, wreszcie zamilkł. Kołysząc się z fali na fale, popychany lekkimi podmuchami wiatru „Ptak” poruszał się powoli w stronę dziwnej chmury, czy też skalnego szczytu, niosąc w swym wnętrzu stygnące zwłoki ostatniego człowieka na Ziemi.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Być może po raz ostatni mamy dziś okazję do zastanowienia się jaka była klasyczna fantastyka naukowa i z jakiego powodu zestarzała się tak szybko, błyskawicznie straciła na popularności. Tę okazję stworzyło wydanie najnowszej powieści Arthura C. Clarke'a „The Songs of Distant

na wielkim, czterokilometrowej długości statku „Magellan” odwiedzić swe wnuki – pokojową, sielską cywilizację, żyjącą na kilku wyspach wśród niezmierzzonego oceanu planety Thalassa.

Szczegółów podróży nie znamy i nie jest to sprzeczne z tradycją – co najmniej kilku

interesuje tylko jeden. SF była zawsze literaturą więcej mówiącą o Problemach, niż ludziach. Prawo to stosuje się w szczególności do Clarke'a – w jego powieściach zdecydowanie brakuje bohaterów, z którymi czytelnik mógłby nawiązać jakikolwiek kontakt uczuciowy. „Pieśni odległej Ziemi” nie są pod tym względem wyjątkiem. Jest w nich galeria postaci, a raczej rysowanych grubą kreską typów, które poznaliśmy wcześniej. Składają się na nią w kolejności: młody lub bardziej przypadkowy dwumilowy kosmonauta zakochany w pięknej i inteligentnej Thalassance, nudnawy narzeczony owej damy i jej szalenie pozytywny brat lekkoduch, ginący w wypadku spowodowanym przez Ziemian, rzecznik kosmonautów wyposażony wyłącznie w siwe włosy, aksamitny głos i pamięć o żonie, która pozostała i zginęła na Ziemi oraz kilku raczej kochliwych Thalassanczyków. Ograniczone do znużenia konflikty nie jesteśmy w stanie śledzić z zacięciem, zainteresowania nie budzą również zajmujące mniej więcej połowę książki wtręty „eseistyczne”, mozolnie popychające akcję na przód oraz nasświetlające tzw. tło. Gigant SF ma do mrówki-człowieka stosunek właśnie taki, jakiego można się spodziewać po gigantcie. Omija mrowiska, które nie stoją mu bezpośrednio na drodze, a pojedynczych mrówek nawet nie zauważa. Clarke nie jest tu żadnym wyjątkiem. Literatura potrafiąca opisać wybuch supernowej, a nie umiejąca w sposób wiarygodny przedstawić miłości między dwiema istotami ludzkimi sama sobie stawia nagrobek. Bowiem w przyrodzie każde zjawisko powtarza się w niezmiennym kształcie; zmieniać się może tylko skala i Clarke dociera do jej granic sugeru-

Głos z przeszłości

Earth („Pieśni odległej Ziemi”). Pod fascynującym tytułem kryje się, być może, rozwiązanie zagadki śmierci dinozaura, górującego rozmiarami i zdolnościami nad innymi gatunkami (literatury popularnej), który umierając dał możliwość rozwoju młotom znacznie mniejszym, zwinniejszym i szybciej się rozmnażającym.

Anatomia giganta

Fabula „The Songs of Distant Earth” jest osnuta – jak w każdej szanującej się, typowej fantastyce naukowej – wokół jednego centralnego odkrycia, oczywiście naukowego. Nie byłoby więc tej książki gdyby ludzkość w sytuacji krytycznej, „na pięć minut przed północą” (jak to określa sam autor) nie wynalazła nowego napędu dla swych statków kosmicznych. Jak w dobrej SF bywało, pomysł na ów napęd imponuje jednocześnie smiałością. Ostatnie z powstałych na Ziemi rakiet wykorzystują bowiem nie mniej, nie więcej tylko... energię kosmosu, podróżując niejako na kredyt natury, bez troski o paliwo i bez ograniczeń dystansu. Ów „napęd kwantowy” (quantum drive) jest dla ludzkości swego rodzaju darem z nieba, dzięki niemu bowiem ludzie mogą opuścić skazaną na zagładę Ziemię i

pisarzy klasycznej SF zdobyło sławę opisując nudę dobrze zorganizowanego lotu. Clarke nic po nich nie powtarza. Ponieważ jednak lot kosmiczny bywa właśnie nudny, jego przyczyna winna być katastrofą, a celem nieznane. I Clarke obdarował nas katastrofą tak wielką, jak banalną: Słońce przemienia się w Nową, niszcząc oczywiście wszystkie planety naszego Układu. Uprowadzonej o tym fakcie ludzkości udaje się przetrwać i nawet ocalić co nieco z dorobku kulturalnego – w pierwszej fazie wielkiego programu konwencjonalne rakiety wywoziły ludzkie embryony i kody genetyczne zapisane w pamięci komputerów na wytłopowane przez astronomów, sprzyjające życiu planety. Statki kwantowe umożliwiły ucieczkę grupie żywych ludzi – oni to właśnie, gwiazdni odkrywcy i świadkowie zagłady Układu Słonecznego schodzą na wyspy Thalassy, mieszając się z jej racjonalną, spokojną, nastawioną z lekką hedonistycznie cywilizacją. Trzeba przyznać, że zderzenie dwóch tak różnych kultur mogłoby być brzemienne w konsekwencje.

Gigant i mrówki

O klasycznej fantastyce naukowej wypowiadano już wiele sądów, nas jednak in-

Czy warto przypominać...?

Przed kilkoma miesiącami pojawił się na naszych półkach kolejny, piąty już tom „Polskiej noweli fantastycznej”. Warto przypomnieć, że pomysł wydania antologii fantastyki zawdzięczamy samemu Julianowi Tuwimowi. Był on redaktorem dwóch pierwszych tomów, w których przedstawił opowiadania pochodzące z XVIII-XIX wieku będące przykładem „korzeni” literackiej twórczości fantastycznej (w odróżnieniu od ludowej).

Pomysł czołowego poety Skamandra kontynuuje Stefan Otceten, który antologię uzupełnił i poszerzył. Obecny tom to utwory zebrane z okresu międzywojennego a ściślej mówiąc te z nich, które nie doczekały się ponownej publikacji książkowej po roku 1945.

Dodać należy, że nazwa „nowela” jest czysto umowna, gdyż wybór zawiera również fragmenty powieści, a nawet utworów scenicznych.

Mimo wspomnianej różnorodności, już po przeczytaniu kilkunastu stron okazuje się, że „Nieżyłki kryształ”, bo taki tytuł nosi książka, nie jest lekturą zajmującą. Niestety lata 1918-1939 nie były okresem boomu dla naszej literatury fantastycznej. Pozycji, na które warto zwrócić uwagę jest dosłownie kilka. Dokładniejszy przegląd umożliwi wyodrębnienie kilku kręgów tematycznych charakterystycznych dla tamtego okresu.

Bardzo liczną grupę stanowią opowiadania stawiające osiągnięcia naukowo-techniczne oparte na motywie „genialnego wynalazcu”. Należy tu wymienić na przykład „Szalonego lotnika” – powieść K. Czyżowskiego. Literacko słabą, ale zawierającą oryginalny na terenie międzywojennej fantastyki pomysł „napowietrznych miast” – piąt-

form zawieszonych w powietrzu, na których żyją ludzie po katastrofie ekologicznej Ziemi.

Dużym zainteresowaniem po I wojnie światowej cieszyło się lotnictwo, z którym wiązano wielkie nadzieje na przyszłość. Widać to już po tytułach utworów „Samolot Lecarte'a”, czy wspomniany „Szalony lotnik”. Nawiasem mówiąc, autor tej powieści uznany był w swoim czasie za najpoczytniejszego pisarza dla dzieci i młodzieży, podbijając ich serca kreacją kilkunastoletniego lotnika – towcy sensacyjnych przygód, wychodzącego cało z każdej opresji.

Do ciekawszych utworów należy także opowiadanie Stefana Grabinskiego, reprezentujące nurt grozy, który oddaje atmosferę panującą wówczas mody na magię i okultyzm.

Twórczość Grabinskiego niewątpliwie wyróżnia się w tym zalewie mrocznych i nudnych „horrorów”, których kilka prezentuje również omawiamy wybór (np. „Grobowiec w Benihassan”, „Białe jachty”). Pisarz ten stracił niewątpliwie dziś dużo na swej poczytności, ale nie można zapomnieć o roli, jaką odegrał w historii literatury fantastycznej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że był on tym dla polskiej fantastyki grozy, czym E.A. Poe dla światowej.

„Nieżyłki kryształ” zawiera jego trzy opowiadania, które dotąd nie ukazywały się w formie książkowej – młosiłom gatunku umożliwi to dokładniejsze poznanie twórczości Grabinskiego.

Z serii „opowieści z dreszczykiem” na uwagę zasługują również „Tajemnica zamku kurzętnickiego”, „S. Władko, utwor nie najlepszy, ale zawierający unikatowy u nas motyw „lunizmy śmierci” który pojawia się dużo później w amery-

kańskiej SF – m.in. w „Alej Polępienia” R. Zelazny'ego.

Na interesującym pomysłem oparta jest także groteska sceniczna spółki autorów Małczewski-Goetel pt. „Król Nikodem”, rozwijająca wątek władcy-roboty, sterowanego przez grupę ludzi, faktycznie rządzących krajem.

Niestety na tych kilku utworach listę ciekawych pozycji można zamknąć. Pozostałych kilkanaście to rzeczy mało wartościowe, nie scam wręcz nie dające się czytać. Nie chodzi już nawet o nieaktualność niektórych tematów, ale o styl górnolotny, skrzypiący frazesami, tracący zły smak.

Co krok napotykałyśmy takie oto opisy: „Lazuro we niebo pragnęło kąpać i przemycić czystość swej banwy w głębinach, lecz rozkołysana nocą w niewiadomych okolicach przez wiatry, mocą przypływu czy odpływu pierzchlila fala zatamywała niszczyla i nwezcyla cudowność gładkiego zwierciadła”.

Schematy fabularne są tu ograne, sylwetki bohaterów kontrastowe, bez odrobiny półcienia.

Wprawdzie prawem każdej antologii jest przedstawienie możliwie jak najprawdziwszego obrazu literatury, ale jeśli jest to jej imes interior, to czy warto tak kiczowaty obraz przypominać?

Na domiar złego książka wydana jest tak fatalnie, że niedbale sklecone kartki rozsypują się pod dotknięciem jak stare manuskrypty.

Tylko wartość nie jest ta sama...

Grażyna Lasoń

Nieżyłki kryształ, „Polska nowela fantastyczna”, tom V. Zebrał Stefan Otceten. Wydawnictwa „Aifia” Warszawa 1986. Cena 240 zł.

jąc, że umiejętność wykorzystania energii Kosmosu pozwoli ludzkości przetrwać śmierć wszechświata. W stosunkach między ludźmi nic nigdy nie jest identyczne i nic nie jest tak banalne jak w „Pieśniach”

Wiwisekcja

Tak więc to, co zawarte jest w „Pieśniach odległej Ziemi” nie wydaje się szczególnie interesujące. Warto byłoby zatem zastanowić się nad tym, czego w nich nie ma. Po pierwsze zagłada Układu Słonecznego przez sam swój ogrom wydaje się nieco abstrakcyjna. Z samych rozsypanych po książce wzmianek wolno byłoby wnosić, że sytuacja na Ziemi przed katastrofą dałaby się opisać całkiem interesująco. Walczące ze społeczeństwem i między sobą ugrupowania terrorystyczno-religijne o światowym zasięgu, restrykcyjna polityka populacyjna, postać złoicy-geniusza, któremu omal nie udało się ukrąść jednego z kwantowych staćków – to z pewnością materiał na znacznie ciekawszą powieść. Gdyby to ona właśnie została napisana, każdy z jej potencjalnych bohaterów byłby z pewnością bardziej interesujący niż szalenie praworządni, z brązu wykuci kosmonauci, którzy nawet buntować się próbują niezdarnie.

Po drugie, chcielibyśmy wiedzieć, jak potoczą się dalsze losy Thalassy po odlocie „Magellana”. Zderzenie dwóch kultur okazało się niewypałem, nie wylikło z niego nic poza kilkoma dowcipami i pewną liczbą romansów i choć Clarke wyłaf sporo atramentu próbując przekonać nas, że Thalassa zmieniła się radykalnie – trudno u wierzyć mu na słowo. Sytuacji nie ratuje wprowadzenie na scenę rodzącej się cywilizacji inteligentnych „morskich skorupionów” – wręcz żałośnie przypomina to najmniej udane fragmenty „2010 – Odysei drugiej”, która już wcześniej zdradzała pewne słabości pisarstwa Clarke’a. Otwarte pozostaje pytanie, czy rzeczywiście tylko on winien jest temu, że „Pieśni odległej Ziemi” są takie, jakie są, że okazały się płodem martwo urodzonym.

★

Mimo wszystkich braków, „Pieśni odległej Ziemi” dzięki profesjonalnemu rzemiosłu Clarke’a, ozdobionemu dyskretnym poczuciem humoru – są i tak przyjemniejsze w lekturze niż większość mających ogromne szanse powodzenia produktów współczesnej fantastyki, której charyzmy dodaje na ogół czar magii, idiotycznej, lecz niepojętej i dlatego otaczanej szacunkiem czytelnika. Wypada stwierdzić z przykrością, że klasyczna, Clarke’owskiego typu SF utraciła sens istnienia nie dlatego, że była po prostu złą, schematyczną literaturą, a gusta jej czytelników nagle wysubtelniały. Wręcz przeciwnie – fantasty jest równie jak SF schematyczna, a ma jeszcze jedną wadę, jest najzupełniej irracjonalna. Wydaje się, że mniej lub bardziej instynktownie, odwołując się do apokaliptycznych wizji i ostatecznych (takich jak napęd kwantowy) rozwiązań próbował Clarke przywrócić nauce tę odrobinę magii, jaką kiedyś ją otaczaliśmy. Przegrał, to jasne, lecz nie tylko dlatego, że pisał kiepskie książki, lecz także dlatego, że wciąż wierzy w czytelnika, który chce, lubi i potrafi racjonalnie myśleć. I ta konkluzja napawa, niestety, smutkiem.

Krzysztof Sokołowski

Arthur C. Clarke *The Songs of Distant Earth*, London 1986

Pierwszy na naszym rynku tom słynnej antologii „Don Wolheim proponuje – 1985” zamponował wydawniczym tempem i uznawaną powszechnie wysoką jakością. Za tom drugi zdążyło pochwalić „Alfę” niedzielne „Życie Warszawy”. Rzeczywiście, wydawnictwo i tym razem uwnężyło się jak w ukropie, niestety, jeśli idzie o treść książki – czołwce najnowszej amerykańskiej prozy SF należą się już brawa mniej entuzjastyczne.

Nie sądzę, by winić za to należało „Alfę” czy Wolheima. Wydawnictwo prezentuje prestiżową antologię, jej autor wybrał co najlepsze. Dwukrotnie zresztą trafił w nominację do Nebuli i Hugo (L. Shepard „Łowca jaguarów”, R. Silverberg „Pozeglować do Bizancjum”), ale i tak pozostawia

wyrazistych, jak poprzednio w „Naciśnij ENTER” czy w „Wieżach krwi”, brak wstrząsających i skończonych artystycznie kawałków, jak „Salwadór”, „Medra”, „Wytrysk gungu”. Przestanie wszystkich opowiadań daje się sprowadzić do dwu elementarnych i klasycznych motywów. Po pierwsze – są w nas tajemne moce, które wiarą oraz miłością możemy wyzwolić. Widac to w „Bojach Marsa” w „Pajęczarce” i „Łowcy jaguarów”, częściowo we „Wrotach Ziemi” i „Pozeglować do Bizancjum”. Po drugie – jak nabroimy, to inni nas skasują albo skasujemy się sami. Jest to zawarte w bardzo tradycyjnej historii, opowiadającej o świecie po atomowym wybuchu „Fermi i mróz” F. Pohla, w „Wypokalskach” i w „Kłótni królowej Kolchidy” C. Willis.

Drugi rzut!

nam antologia nr 2 uczucie niedosytu. Dotykamy zapewne tajemnic kapryśnej pisarskiej alchemii – raz idzie, raz nie – widać „kartoflika” były tym razem gorzej nastosowane. Sprawdzam, jak rzecz wyglądała w prozie polskiej, według mnie zgadza się. W roku 1984 mieliśmy w „Fantastyce” obszernie, dobre teksty Augustynka, Baranieckiego, Boryczki, Dębskiego, Kochańskiego, Oramusa, Piekary, Stefanańskiego, Strusińskiego, Tuziaka, Ziemiękiewicza, Żmijaka – wszystko rzeczy markowe, nagradzane, pamiętane przez czytelników. W roku 1985 z tekstów dobrych był jedynie Drukarczyk, Kochański, Oramus, Popik i przerzucone sztucznie z 1984 roku konkursowe teksty Lebiody i Wojewódzkiego. Czyżby więc w roku 1985 fantastykom pisało się gorzej na całej północnej półkuli?

Łatwo właściwie powiedzieć do czego sro- wadza się ten efekt w książce Wolheima. Wszystkie opowiadania, może poza nagrodzonym Shepardem i nie nagrodzonym, frywolnym „Słowazyszeniem sennej telewizji” i Watsona, sprawiają wrażenie wymęczonych, sztucznie rozciągniętych, pretensjonalnych. Puenty, owszem – jak zwykle u profesjonalistów są w porządku, ale drogą maszerujemy do nich górzystą i ciernistą. Zawartość dramatyczna, akcja, siła i naprawdę twórcza wyobraźnia nie są mocnymi atutami tej prozy. Jedynie w osobie tytułowej „Pajęczarki” J. Carr zawieramy znajomość z postacią międzygwiazdowego kunoera, przemierzającego przestrzenie na zasadzie telepatyczno-mistycznej, wywołującej dobre wrażenie. Podobny kunoer, tyle że tradycyjny, zjawia się w „Wypokalskach” C. J. Cherryh. Dalej – niedobrze. Bohater nadejłego opowiadania Ellisona jest znacznie głupszy od czytelnika i domyśla się rozwiązania o wiele za późno. Aż trzy opowiadania są poświęcone „archeologii” bądź swoistej neoarcheologii, tzn. rekonstruowaniu przeszłości w przyszłym świecie pięćdziesiątego wieku. Tak jest w „Pozeglować do Bizancjum”, najbardziej utytułowanym opowiadaniu książki, będącym, według mnie, wana- cją na motywach wcześniejszego o rok tekstu Iana Watsona „Pamiętamy Babilon”. Ciężkie pióra, brak wielotaktowych pomysłów, dziwne ograniczenie wyobraźni, nawet wierność – oto, jak sądzę, grzechy tomu. Jest to proza profesjonalistów, zmęczonych, niedysponowanych, którzy jednakowoż znają się na swojej robocie. Właśnie – na robocie. Poszukiwania triku, sposobu, zdają się przeważać w tomie nad próbą dawaną wyrazu autorskim przekonaniom, przeczuć czy lękom.

Wielej niż poprzednio w antologii opowiadań tradycyjnych ścieżek kosmicznych. Osobiście uważam to za osłabienie wyobraźni. Brak fabuł tak

Nie chcę szerzej wypowiadać się o tłumaczach, ale polszczyzna tekstów chwilami brzmi drętwie. Może to częściowo wina oryginałów. Termin *groupie* (ang.) występujący w opowiadaniu „Pajęczarka”, a „odnoszący się do fanatycznej wielbicielki grupy rockowej, podróżującej z zespołem podczas koncertów objazdowych i świadczącej muzykom usługi natury seksualnej”, ma o czym z przyjemnością przypominam tłumaczowi, polski odpowiednik – d... towarzysząca. Pewnie przez analogię z gitarą towarzyszącą.

Tom jest gorszy od poprzedniego, a więc amatorskie i nietrafne wprowadzenia Wolheima do poszczególnych opowiadań drażnią mnie, natomiast jego wstęp, jak poprzednio, sprawia wrażenie wypowiedzi przyrządzonej naprędce i nie na temat. Przeciw tzw. gwiazdny wojom jesteśmy może i wszyscy, tu punkt dla sir Dona, tyle, że z opowiadań zajmujących się bliską przyszłością zamieszczono w tomie trzy, nie dwa, zaś zapowiadana przez autora wyboru inwazja fantasty nie uzyskuje w książce ilustracji, ani na dobrą sprawę „przedstawicielstwa”, poza mieszającym konwencję opowiadaniem Sheparda.

Cztery zdania o okładce, po raz drugi, częściej nas wydawnictwo obrazeczkami à la Foss, co się ma nijak do zawartości tomu. Nasz plastycy (w tym przypadku Dariusz Chojnacki, ale nie dotyczy to jego jednego), są bezradni wobec nowej prozy SF, nie znajdują plastycznych ekwiwalentów dla nowych przestai, znaczeń, nastrojów i scenarii dla nowej gry wyobraźni, jaką proponuje proza SF i F ostatnich lat. To smutne. Fantastyka, jak słyszę, zaczyna leżeć w księgarniach, źle, nie irracjonalne okładki będą więc dłużej wprowadzać w błąd wszystkich – zwolenników i przeciwników SF wkładając w ręce tym ostatnim nieprzyjemne argumenty.

Na zakończenie przypomnę, że wyzłościł mi się tu nad książką, powstała w wyniku inicjatywy godnej jedynie pochwały, która to książka w dodatku zostanie najprawdopodobniej uznana za przebój wydawniczy – 1986. Po prostu antologia poprzednia, znacznie lepsza (wydana – jakże by inaczej! – w nakładzie o 10 tys. mniejszym) wyrobiła nam smak na fantastyczne arcydzieła.

Maciej Parowski

Don Wolheim proponuje – 1986 (Najlepsze opowiadania science fiction roku 1985). Wybór, wstęp, komentarz Donald A. Wolheim. Współpraca A. W. Saha. Autorzy J.B. Clarke, I. Watson, G. Dozois, J. Dann, M. Swanwick, L. Shepard, R. Silverberg, J. Carr, H. Ellison, C. Willis, F. Pohl, C.J. Cherryh. Tłumacze różni. Redaktor W. Bukato. Wydawnictwa „Alfa”, Warszawa 1986. Cena 360 zł.

„Test pilota Pirxa”, reż. Marek Piestrak



Proza Lema i jej ekranizacje

Grzegorz Pieńkowski

Lem szczęścia do dobrych ekranizacji nie miał! Najczęściej był „dookreślany” przez twórców lubiących postawić kropkę nad i. Robiono to zresztą rozmaicie.

Pierwszą powieścią Lema, którą zainteresował się film, byli wydani w roku 1951 „Astronauta”. Książka, uznana w owym czasie za jedną z najważniejszych w literaturze SF krajów socjalistycznych, jest eksploatacją znanego od dawna wątku katastroficznego. Cywilizacja ziemską zostaje zagrożona, musi rozpoznać niebezpieczeństwo, aby móc się przeciwstawić. Następuje tu jednak swoiste odwrócenie tradycyjnego schematu, nie mamy do czynienia z opisem zagłady, jak w „Wojnie światów” H.G. Wellsa, a tylko z tej zagłady możliwość. Jedną z przyczyn, które wpłynęły na ten stan rzeczy było stworzenie przez Lema dla potrzeb powieści państwa utopijnego. Bezkonfliktowego, globalnego, w jakiś sposób idealnego, którego istnienie staje się zagrożone przez obcych. Co do zagrożenia nie ma wątpliwości: odnaleziony magnetyczny raport jest wynikiem wenus-

jańskich badań nad możliwością zniszczenia życia na Ziemi – i jej późniejszej kolonizacji. Powieść składa się jakby z dwu części: utopii, będącej werbalnym wykładem wprowadzenia oraz zasadniczej, rozegranej wedle wymogów nurtu „space opera”.

Taki materiał stał się podstawą do nakręcenia w koprodukcji Polski i NRD filmu w reżyserii Kurta Maetzig „Młoczą gwiazda” (1959). Ale to, co w powieści stanowiło o formie części pierwszej, opanowało cały film. Utopijność, „wzbogacenie” o ton do-raznej publicystyki przy schematycznym, konturowym rysunku postaci dało w efekcie pozycję odbiegającą od pierwowzoru. Jeżeli dodać do tego zmianę losów bohaterów, oraz zmianę treściową pierwszej odsłony – ze zwerbalizowanego, ale interesującego opisu badania rejonu upadku meteorytu tunguskiego na prace nad zagospodarowaniem pustyni Gobi – można zrozumieć, dlaczego obecnie ów film jest tylko ciekawostką archiwalną. Jedyne stworzone przez Anatola Radzinowicza scenografia powierzchni Wenus jest aktualna do dziś. Coś nowego zaproponowali – w skali swia-

towej – dopiero twórcy „2001. Odysei kosmicznej”, natomiast w krajach socjalistycznych wpływy tej wizji utrzymywały się jeszcze długo.²

W roku 1956 ukazał się „Obłok Magellana”. Rok później na rynku czeskim pojawiło się jego tłumaczenie, a w roku 1963 Jindřich Polák nakręcił „Ikanę XB1”. Co prawda, w czołówce filmu autorzy nie przyznają się do pierwowzoru literackiego, jednakże cała pierwsza część oraz koncepcja całości wyraźnie odwołuje się do powieści Lema.³ Skonstruowana według wymogów „space opera” ma jeden główny motyw tematyczny: problem podróży przez wszechświat. Tak jak w przypadku „Astronautów” – autor stosuje dwuczłonową budowę powieści, część pierwszą poświęca wprowadzającej prezentacji kreowanego świata, część druga – to historia izolowanego społeczeństwa „Ger” w czasie lotu do układu Alfa Centaura.

Swoistą reprojekcją autotematyczną wydaje się być narrator całości – lekarz. Postacie, istniejące właściwie poprzez przypisane im specjalizacje, są tak samo konturowe, jak i w „Astronautach”. Wdziwane jednak przez pryzmat narracji pierwszoosobowej sprawiają o wiele cieplejsze, bardziej ludzkie wrażenie. Może dlatego, że tak wiele miejsca zajmuje tu ludzkie uczucie?⁴ Opisy akcji, ilustratywne i dosyć płytkie, nie znajdują się już w centrum zainteresowania narracji. Punkt ciężkości został przeniesiony na opis zachowań jednostek i grup ludzkich, co sprawia niekiedy wrażenie powołania do życia bohatera zbiorowego – załogi „Ger”.

W wersji czechosłowackiej, ekranowej, pozostał właściwie tylko opis akcji. Film stał się pionierską na swój sposób próbą zobrazowania życia codziennego załogi statku kosmicznego – przy natrętnej dyskursywności dialogów, zatraceniu realiów opisowych, spłyceciu antywojennej wymowy spotkania z zagubioną wojskową stacją kosmiczną. Jednakże dzięki nowej koncepcji opisu podróży kosmicznej film był atrakcyjny nie tylko dla widza polskiego. Wyświetlany z powodzeniem również we Francji, Anglii i USA stał się dalekim pierwowzorem opisu długodystansowego lotu kosmicznego w „2001: Odysei kosmicznej”.

Wydana w roku 1961 „Solaris”, najlepszy, moim zdaniem, utwór Lema,⁵ należy już do innego nurtu SF. Będący spójną opowieścią o przeżyciach jednego z trzech naukowców (już nie astronautów), przysłanych na Solaris dla rozwiązania wielkiej zagadki, staje się wielkim dyskursem na temat wartości człowieka i jego intelektu w warunkach kontaktu z Obcymi – i jednocześnie swoistym wykładem na temat niemożności zaistnienia tego kontaktu.

Andriej Tarkowski, stosujący już wcześniej chwytły formalne charakterystyczne dla nurtu „inner space” w filmie („Dziecko wojny”, „Andriej Rublow”) zastosował zabieg odwrotny niż twórcy dwu poprzednich ekranizacji. Dopisał bowiem do jednoczesnej powieści wstęp rozgrywający się na Ziemi – ukazując pełną zgodność z literackim i psychologicznym portretem bohatera stworzonego przez Lema. Obydwaj zresztą twórcy są bardzo sobie bliscy w antropomorficznym rozumieniu świata. Dlatego też chyba pierwowzór i ekranizacja są tak bardzo podobne w nastroju i unikaniu technicyzowania, w zagłębieniu się w ludzką psychikę.

Kinowa⁸ wersja „Solaris” ukazała się w roku 1971

Ostatnią ekranizacją prozy Lema jest nakręcony przez Marka Piestraka w 1979 r. „Test pilota Pirxa”, oparty na opowiadaniu „Rozprawa” z cyklu opowieści o pilocie Pirxie. Pierwowzór opowiedziany był w narracji odautorskiej. W filmie umieszczono całą fabułę w retrospektywnym opowiadaniu tytułowego bohatera. Dodano zobrazowanie rozgrywek koncernów i udostępniono – przez obraz – działanie robota. W efekcie to, co wynikało z toku akcji, końcowe stwierdzenie o ludzkiej, siamazarnej poczciwości, w filmie jest ni stąd, ni zowąd wygłoszone przez odpoczywającego Pirxa.

Poza kinowymi były jeszcze telewizyjne próby przeniesienia prozy Lema na ekran. „Przekładaniec” oparty na scenariuszu oryginalnym, „Profesor Zazul” na podstawie trzeciej z pięciu końcowych opowieści w „Dziennikach gwiazdowych” i „Rozprawa” na motywach kryminalno-niesamowitego „Śledztwa”. Żadna z nich nie wyróżniła się niczym szczególnym w potraktowaniu motywów fantastyki naukowej.

Przytopy

1. Dobrą ekranizacją nazywam taką, która – nie trzymając się nawet wiernie struktury utworu literackiego – to bowiem jest najczęściej niemożliwe – wszak nie ma recepty na przeniesienie w język obrazu umowności słów i gry wyobraźni przy lekturze – przekazuje bez złych eksplikacji główne myśli i przesłanie utworu. Z czterech omawianych na nazwę dobre, zasługuje tylko „Solaris”. Tu przełamany został realizm obrazu filmowego, jego dostojność tworzywo i mowa jakim jest obraz, ma zawsze tendencje do dostojności opisu. Rozważać nawet można oglądane na ekranie wizje jako samodzielnie egzystujące rzeczy i znaki. A. Cwikel w pracy „Sztuka fikcji jako gatunek filmowy” pisze: „Iluza prawdziwości prezentowanego świata zostaje w sztuce fikcji wzmocniona przez wymóg materialności filmowego przedmiotu”. Jednakże pociąga to za sobą – szczególnie przy opowieściach fantastyczno-naukowych – niebezpieczeństwo przewagi znaku obrazowego nad warstwą mysłową dzieła, jeżeli tak się stanie, mamy do czynienia z opowieścią obrazkową nie najwyższego lotu („Wojny gwiazdowe”, „Star Trek” i tym podobne). Dlatego też Tarkowski zasługuje na duże uznanie – za wycucie tego niebezpieczeństwa i uniknięcie go w swoim filmie.
2. Warto wspomnieć o treściowo podobnym filmie amerykańskim Lloyd’a Bregesa „Rocket Ship XM” (1950) „... amerykańska ekspedycja ląduje na Marsie, a jej uczestnicy odnajdują ślady wysokiej cywilizacji. Wysoki stopień radioaktywności na liczniku informuje ich, że miała tu miejsce wojna atomowa. Grupa bezmyślnych dzikusów mieszkających w pieczarach to wszyscy, którzy ocalili z pożogi. Astronauci przekazują na Ziemię swoje spostrzeżenia, ostrzegając jej mieszkańców przed tym, co może przynieść wojna atomowa” (cyt. za D. Peary „Amerykańskie filmy science fiction jako „Film na Świecie” 1978 nr 7-8 str. 119).
3. Potwierdza to m.in. A. Kolodyński „W konstrukcji całości jak i w sposobie ujęcia niektórych wątków autorzy filmu korzystali wyraźnie z powieści Stanisława Lema „Obłok Magellana” (A. Kolodyński „Film fantastyczno-naukowy”, WAiF, Warszawa 1972 str. 126).
4. Patrz wypowiedź A. Stoffa „Powieść fantastyczno-naukowa Stanisława Lema, Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego Uniwersytetu w Toruniu, PWN, Warszawa-Poznań-Toruń 1983, str. 32-64.
5. Do dziś zajmuje pierwsze miejsce w plebiscytach czytelników Patrz „listy bestsellerów „Fantastyki” (1982).
6. Została bowiem dwa lata wcześniej nakręcona w ZSRR wersja telewizyjna, nie odniosła jednak większego sukcesu. Była próbą dosłownego potraktowania powieści jako scenariusza.

1977 (ciąg dalszy)

- 1192.** WELLS Herbert George. *Wojna światów*. Tłum. [z ang.] Henryk Józefowicz. Wyd. III powoj. [w metryczce mylnie II] Warszawa. Iskry 16° ss. 258, nrb. 2. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
- 1193.** WISNIEWSKI-SNERG Adam. *Robot*. Wyd. II zm. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 305, nrb. 2. 30 000 egz.
- W ZACZAROWANYM zwierciadle* – zob. AF.
- 1194.** ŻWIKIEWICZ Wiktor. *Maszyna. Happening w oliwnym gaju*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 88, nrb. 4. 30 000 egz. – Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór dziesiąty – Na okładce tylko tyt. drugiego opow.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

- 1195.** (?) HOFMAN Ota. *Pan Tau i tysiąc dziwów*. Tłum. [z czes.] Cecylia Dmochowska. Warszawa. Nasza Księgarnia 16° podł. ss. 257, nrb. 7. 30 000 egz. – CJSF z elementami SF.
- 1196.** PETECKI Bohdan. *Sola z nieba północnego*. Katowice. Wyd. Śląsk 16° ss. 273, nrb. 2. 20 000 egz.
- 1197.** PETECKI Bohdan. *X-1, uwolnij gwiazdy!*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 312, nrb. 4. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
- 1198.** SPUTNIK *pełen bajek*. Aut.: Helga Mayer [i in.], Red. i tłum. [z niem.] Mieczysław Siemiencki. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 37, nrb. 3. 30 000 egz.
- 1199.** TOMASZEWSKA Marta. *Wyprawa Tapalików*. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 112, nrb. 4. 60 000 egz.

Utopia (U):

- 1200.** GÓRZAŃSKI Jerzy. *Małpi zamek*. Wyd. II rozszerz. Warszawa. Czytelnik 8° ss. 190, nrb. 1. 10 000 egz. – Biblioteka Satyr.
- 1201.** NATSUME Sōseki. *Jestem kotem*. Tłum. z jap. i postowie. Mikołaj Melanowicz. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 500, nrb. 3. 10 000 egz.
- 1202.** PILHES René-Victor. *Bazyliśzek*. Tłum. [z franc.] Jerzy Pański. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 405, nrb. 3. 20 000 egz.
- 1203.** OTREMBUS PODGROBELSKI Śledź [właśc. MOSKAL Stanisław]. *Wstęp do imaginologii (próba zarysu)*. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 189, nrb. 7. 10 000 egz.
- 1204.** PRZYPKOWSKI Andrzej. *Taniec manhuany*. Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 385, nrb. 3. 20 000 egz.
- 1205.** TRUCHANOWSKI Kazimierz. *Dzwony Piekła*. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 201, nrb. 3. 4 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej. – U/ASF.
- TRYBUSIEWICZ J.: *W poszukiwaniu*. – zob. R.
- 1206.** VONNEGUT Kurt. *Pianola*. Tłum. z ang. Wiesław Niepokólczycki. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 296, nrb. 3. 30 000 egz. – U/ASF.
- 1207.** VONNEGUT Kurt. *Śniadanie mistrzów, czyli Żegnaj czarny poniedziałek*. Tłum. [z ang.] Lech Jęczyński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 263, nrb. 5. 30 000 egz. – Współczesna Proza Świata. – U/ASF.

Fantazja dla dorosłych (AF):

- 1208.** AFANASJEW Jerzy. *Ja jestem łobą*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 177, nrb. 2. 10 000 egz.
- 1209.** ASTURIAS Miguel Angel. *Niejaka Mulatka*. Tłum. [z hiszp.] Andrzej Nowicki. Postowie Ryszard Kalicki. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 342, nrb. 2. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
- 1210.** BARRETT William E. *Czarnoksiężnik*. Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Warszawa. Inst. Wyd. Pax 16° ss. 160, nrb. 4. 5 000 egz.
- 1211.** (?) BENET Juan. *Pięć opowiadań i dwie bajki*. Tłum. [z hiszp.] Zofia Wasłowa. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 57, nrb. 3. 10 000 egz. – Elementy fantastyki.
- 1212.** BIANCO José. *Szczury*. *Przyobleka się w cienie*. Tłum. [z hiszp.] i postowie Leszek Kautla. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 117, nrb. 3. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
- 1213.** BLIXEN Karen. *Siedem fantastycznych opowieści*. Tłum. z duń. Franciszek Jaszuński. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss. 444, nrb. 4. 10 000 egz. – Seria Dzieł Pisarzy Skandynawskich.
- 1214.** BROSZKIEWICZ Jerzy. *Doktor Twardowski*. Cz. I. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 304, nrb. 3. 30 000 egz. – T. II zob. 1979 – Elementy fantastyki.
- 1215.** CAROLL Lewis. *Alicja w Krainie Czarów*. Tłum. [z ang.] Antoni Marianowicz. Wyd. IV w tym tłum. Warszawa. Nasza Księgarnia, 8° ss. 116, nrb. 4. 50 000 egz. – Klasika Dzieci. – AF/CJSF.
- 1216.** CORTAZAR Julio. *Opowiadania zebrane*. Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Wyd. II znacznie rozsz. T. I/II. Kraków. Wyd. Literackie 16° T. I ss. 278, nrb. 2; T. II ss. 415, nrb. 3. 30 000 egz.
- CORTAZAR J.: *Ośmiorościan*. – zob. 1976 (postdat.).
- 1217.** DRZEŻDŻON Jan. *Leśna Dąbrowa*. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 162, nrb. 2. 10 000 egz.
- 1218.** DRZEŻDŻON Jan. *Tajemnica bursztynowej szkatułki*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 239, nrb. 5. 20 000 egz. – AF/CJSF.
- Dziwo morza*. – zob. W.
- 1219.** GEISLER Horst Wollram. *Odyseusz i kobiety*. *Odyseusz i Penelopa*. Tłum. [z niem.] Erika Sicińska. Warszawa. Czytelnik. ss. 249, nrb. 6. 50 000 egz. – Seria z kotem.
- 1220.** LUNDKVIST Artur. *Upadek Jerycha*. *Opowiadania*. Tłum. [z szw.] Zygmunt Łanowski. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 62, nrb. 2. 20 000 egz.
- 1221.** NAWROCKI Aleksander. *Święci ze snów i jarów*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 82, nrb. 4. 10 000 egz. – Pierwszych pięć opowiadań fantastycznych.
- 1222.** PINON Nelida. *Zalozyciel*. Tłum. [z hiszp.] i postowie Janina Z. Klava. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 248, nrb. 4. 20 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
- 1223.** POŁOM Stefan. *Siódmy wspinał się światłoślin*. Olsztyn. Pojezierze 16° ss. 114, nrb. 2. 5 000 egz. – AF/ASF/W.
- 1224.** ROLLECZEK KOROMBEL Natalia. *Bogaty książę*. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 333, nrb. 3. 40 000 egz.
- 1225.** SADZEWICZ Marek. *Powrót Kalarzyny*. Wyd. II. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 298, nrb. 2. 30 000 egz. – AF/ASF.
- 1226.** (?) STYCZEŃ Janusz. *Uśnij snem morskim i inne dramaty*. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. 174, nrb. 2. 30 000 egz. – Elementy fantastyki.

Ponad 300 lat temu zapisał był Błażej Pascal w swoich „Myślach”: „Kiedy zważam krótkość swego życia, wchłoniętego w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuje, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduje się raczej tu niż tam, nie ma bowiem racji, czemu raczej tu niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy...”

Figle naszego świata

Z tamtej strony lustra

Maciej Ilowiecki

Słynne paskalowskie pytanie! Na pewno takie pytania stawiało sobie wielu ludzi w różnych czasach – i różnie na nie odpowiadali. Ale pytanie to odnosi się nie tylko do własnej, jednostkowej egzystencji. Dlaczego bowiem właśnie na trzeciej z planet, krążących wokół gwiazdy, zwanej Słońcem, w określonym czasie Irwania Wszechświata, pojawiły się istoty, mogące zadawać takie pytania? „Czemu raczej tu, niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy?”

Tak zwany zdrowy rozsądek podsuwa od razu logiczną odpowiedź: skoro pojawienie się istot rozumnych stanowi w ogóle prawidłowość ewolucji materii, tedy w końcu rozum musiał się pojawić gdzieś i kiedyś. I pojawił się właśnie tam, gdzie istniały warunki dla powstania i ewolucji życia, wtedy – kiedy minął odpowiedni czas, by mógł ukształtować się myślicy mózg. Az dziwne, że odpowiedź jest tak prosta – ale czy taka odpowiedź wystarcza? Są tacy, co ze złośliwym uporem zaczęli znowu: no dobrze, ale dlaczego akurat w tym zakątku Galaktyki, na trzeciej planecie przy Słońcu zaistniały takie właśnie okoliczności, spełnione zostały takie właśnie warunki (bardzo przecież szczególne!), że powstało tu życie i w końcu MY? Nie pozostaje nic innego, jak odpowiedzieć: „tak się złożyło”... i przyznać, że w istocie musiał to być niesfychany ciąg przypadków. Bo przypadkiem jest, że Słońce nie jest gwiazdą ani zbyt gorącą, ani zbyt zimną, że wytworzyły się wokół niego planety, że tylko jedna z nich miała odpowiednią wielkość i zatem odpowiednią ciążenie, że na tej jednej powstała taka, a nie inna atmosfera i że mogła tam być woda w postaci płynu, że wszystko to jeszcze było odpowiednio zgrane w czasie, no i że akurat wtedy nie znalazła się w pobliżu gwiazda, która mogłaby wybuchnąć (bo przecież cały Układ Słoneczny stale podróżuje w nieskończonych przestrzeniach) – i tak dalej, i dalej. Przypadkowe okoliczności można wymieniać długo i wszystkie okazują się istotne – bo gdyby cokolwiek działało się inaczej, życie nie mogłoby się rozwinąć. Wiemy przecież, że życie oparte nie białku i kwasach nukleinowych (DNA) może istnieć i rozwijać się tylko w naprawdę „wąskim paśmie” okoliczności, w granicach zakreślonych niewielkimi skrajnymi odchyleniami warunków fizycznych. Więc gdyby choć jeden z tysięcy warunków nie został spełniony... no cóż, nie istniałoby życie i nie byłoby NAS. A jednak jesteśmy i nie wszystkich zadowala wyjaśnienie tego

faktu ciągiem wręcz nieprawdopodobnych przypadków.

Kiedyś sprawa była łatwiejsza do pojęcia. Ziemia była w Kosmosie miejscem szczególnym, wyróżnionym, centralnym – wobec tego musiały się tu dziać rzeczy niezwykłe i jedyne w swoim rodzaju. Pomiedzy człowiekiem a Kosmosem musiała istnieć ścisła harmonia – i przez większą część swej historii ludzie mieli poczucie takiej harmonii, tkwiąc w centrum świata, jako najważniejszy jego element.

Wiemy, jakim wstrząsem stała się teza Kopernika, że to nie Ziemia jest środkiem świata, że jest ona tylko jedną z planet obiegających Słońce. Mało kto (poza uczonymi) zdaje sobie sprawę, jak długo jeszcze potem sądzono, że przynajmniej Słońce znajduje się w „środku świata” – dopiero w 1918 r. astronom Harlow Shapley wykazał, że Słońce ze swoimi planetami przemierza pustawę krańce Galaktyki, daleko od jej centralnych i rojnych obszarów. W 1955 r. nasza Galaktyka – Droga Mleczna – także straciła miejsce uprzywilejowane, Walter Baade dowiódł ostatecznie, że jest ona nie największa, rozmiary ma przeciętne, jest po prostu typową, spiralną galaktyką, jakich we Wszechświecie pełno. Zatem ani cała Galaktyka, ani gwiazda zwana Słońcem, ani Ziemia nie zajmują miejsc wyróżnionych. Gdyby jakaś wielka cywilizacja kosmiczna zechciała NAS szukać, miałaby wielkie trudności – bo jakże tu szukać ROZUMU w jakichś zapadłych i niczym szczególnym nie odznaczających się kątach przeciętnej galaktyki, na typowej planecie blisko przeciętnej gwiazdy?

Na razie jednak nikt nas nie poszukuje i nie jest wykluczone, że właśnie poza nami nikogo zdolnego do takich poszukiwań we Wszechświecie nie ma. Może więc uprawnione jest jednak i takie spojrzenie: wprawdzie Ziemia i Słońce tkwią „w kącie Wszechświata”, ale uprzywilejowana pozycja Ziemi polega na tym, że MY właśnie na niej jesteśmy!

Mogłoby się zdawać, że takie rozważania nie są wiele wnoszą do nauki, ale okazało się, iż prowadzą one do najdziwniejszych hipotez, jakie w ogóle można sobie wyobrazić.

Zaczęło się od dziwnego pytania, które w 1961 r. zadał amerykański fizyk Robert Dicke. Zapytał on mianowicie, jaki powinien być Wszechświat, żeby mógł pojawić się człowiek. Obrócił jakby tok rozumowania – bo dotąd zawsze „dopasowywano” życie i człowieka do Wszechświata.

Dicke zaczął obliczać, co by się działo, gdyby znany nam Kosmos był teraz cokolwiek większy albo cokolwiek mniejszy, starszy lub młodszy.

Nie sposób przytaczać tu dowodów Dickego, ale trzeba stwierdzić, że już sam jego sposób podejścia do tej sprawy jest fascynujący (oparty na znanej już dawniej, niezwykłej i tajemniczej tzw. koincydencji wielkich liczb; chodzi o to, że w obliczeniach, dotyczących bardzo różnych aspektów fizyki i kosmologii pojawia się ta sama, gigantyczna liczba 10^{40}). W każdym razie Dicke dowiódł, że obecny wiek Wszechświata jest okresem w dziwny sposób wyróżnionym, (pozostającym w związkach liczbowych z liczbami, dotyczącymi pewnych wymiarów w atomie i w całym Kosmosie). Wyróżnienie polega więc na tym, że gdyby Wszechświat był starszy lub młodszy – owe związki liczbowe nie wystąpiłyby. Czy zatem owo „wyróżnienie” obecnego wieku Wszechświata nie jest przypadkiem – pyta Dicke – czy może właśnie nie jest przypadkiem, że akurat w tym wyróżnionym czasie pojawili się ludzie? Różne rozważania natury fizycznej i matematycznej prowadzą Dickego do wniosku: tajemnicze związki liczbowe (koincydencje) nie są przypadkowe – są nieuchronną konsekwencją faktu, iż właśnie teraz istnieją trzy biologiczne, obdarzone świadomością. Nie jest łatwo pojąć taki „odwrócony” sposób rozumowania: pewna fundamentalna własność świata istnieje dlatego, że pojawiło się życie! Mogę tylko dodać, iż ta fundamentalna własność, o której mowa, nie została dotąd wyjaśniona w inny sposób, choć wielcy fizycy – Dirac i Eddington – stworzyli na ten temat wielce zawile teorie. Zostawmy tę tajemniczą sprawę na boku, spójrzmy na wnioski. Otóż wniosek jest dowiedziony: gdyby Wszechświat miał inny wiek (chodzi o rzędy wielkości) lub gdyby był mniejszy – życie nie mogłoby powstać. Inaczej mówiąc, odpowiedź na pierwsze pytanie Dickego brzmi: żeby mógł powstać człowiek, Wszechświat musi być dokładnie taki, jaki właśnie jest. To stwierdzenie tylko na pierwszy rzut oka wydaje się oczywiste: możemy powiedzieć, że przecież to tylko kwestia czasu; w takim Wszechświecie ludzie mogli pojawić się wcześniej lub później, ale akurat przypadkowy zestaw okoliczności w określonym miejscu...

Otóż nie! Życie i za nim ludzie mogli pojawić się tylko dokładnie w tym czasie, kiedy pewna liczba, określająca wiek Wszechświata była właśnie taka, a nie inna. To coś tak, jakby powiedzieć, że pojawienie się życia było już „zapisane” w momencie Wielkiego Wybuchu, na samym początku. Ale i to Dickemu nie wystarczy – jeszcze raz wywraca zdroworozsądkowe myślenie: powiada, że Wszechświat jest właśnie taki, jaki jest, ponieważ MY w nim żyjemy. Jest to modna dziś w kosmologii i filozofii, choć oczywiście zaciekle krytykowana ZASADA ANTROPICZNA (*the anthropic principle*; zapewne powinno się wymyślić ładniej brzmiący termin polski; w każdym razie „zasada antropologiczna” byłoby nieprawidłowe). Otóż zasada ta przeczy bodaj wszystkiemu, co myśleliśmy dotąd na temat przyrody i naturalnie nie musimy jej obowiązkowo uznać – przypominam, że moje felietony próbują tylko pokazywać pewne nowe DROGI MYŚLENIA we współczesnej nauce. Nie muszą to być drogi prawdziwe (prowadzące do prawdy), choć

mogą być takie – ale najważniejsze, że rozwijają WYOBRAŹNIĘ.

Ale przecież nie tylko Dicke uznaje działanie we Wszechświecie niesamowitej zasady antropicznej. Słynny kosmolog Fred Hoyle (ile już razy przytaczałem opinie tego niezwykłego umysłu!) zwrócił uwagę, że powstawanie w gwiazdach „pierwiastka życia”, czyli węgla, byłoby bardzo mało prawdopodobne i rzadkie, gdyby nie zbieg wyjątkowych okoliczności. Otóż jądra atomu węgla tworzą się wskutek jednoczesnego zderzenia trzech jąder helu. Ze zderzenia dwóch jąder helu powstaje coś szalenie nietrwałego, co trwa tylko przez niewyobrażalnie krótki czas 10⁻¹² sekundy. W tym czasie, wobec którego mgnienie oka staje się wiecznością, musi dołączyć trzecie jądro helu. Otóż przypadkowo (?) energia jąder atomowych w typowej gwiazdzie jest właśnie taka, że zderzenie to jest możliwe i nawet zachodzi często. Ale nowo powstałe jądro węgla uderzając w kolejne jądro helu zmieniałoby się w lilię. Zmieniałoby się, gdyby nie następna, przypadkowa (?) koincydencja (mniejsza o to, jaka). W każdym razie zajęcie wyżej wymienionych wydarzeń zależy od wartości pewnych subtelnych stałych, charakteryzujących odrębne procesy jądrowe. Gdyby te wartości były choć trochę mniejsze lub większe, węgiel nie mógłby pozostać trwałą podstawą życia. Ta kolejna okoliczność, występująca jakby „na korzyść życia” wydaje się Hoyle’owi „figlery, nieumyślnie zrobionym” (Hoyle zawsze lubił wyrażać się w sposób „nienaukowy”).

Wspomniałem wyżej o pewnych stałych fizycznych, mających ściśle obliczone wartości liczbowe. Są to – na przykład – szybkość światła w próżni, stała Plancka, stała grawitacji, ładunek elementarny elektryczności, masa elektronu, tzw. elektromagnetyczna stała struktury subtelnej i wiele innych. Co by się zdarzyło gdyby wartości liczbowe tych stałych były choć trochę inne? Zaczęto to obliczać dość niedawno i wyniki tych obliczeń wszystkich zaskoczyły. Okazało się, że najmniejsza zmiana jakiegokolwiek stałej zmieniałaby zupełnie losy Wszechświata. To znaczy, istniałby on również, byłby może podobny, ale – życia ani NAS by tutaj nie było...

Na przykład, gdyby grawitacja była „o włos” silniejsza albo siły elektryczne „o włos” silniejsze, albo elektron troszeczkę lżejszy wobec protonu – wszystkie gwiazdy byłyby dziś już w stanie tzw. czerwonych karłów, byłyby znacznie chłodniejsze. Gdyby grawitacja była troszeczkę silniejsza albo siły elektromagnetyczne nieco słabsze, albo elektron cięższy – wszystkie gwiazdy byłyby tzw. błękitnymi olbrzymami i byłyby gorętsze. W obu przypadkach życie nie mogłoby powstać.

Stephen Hawking, wielki kosmolog, przykuty całe życie do inwalidzkiego wózka, udowodnił, że galaktyki i systemy planetarne nie mogłyby się tworzyć, gdyby prędkość rozszerzania się Wszechświata była trochę inna, niż jest. Obecna prędkość rozszerzania się jest warunkiem izotropowości Wszechświata (to znaczy, iż jest on jednolity w wielkiej skali). Gdyby nie było owej jednolitości, Kosmos byłby inny, nie mogłyby się pojawić systemy planetarne, nie byłoby planet, nie byłoby Ziemi... Oczywiście – mówi Hawking – Wszechświat musi być taki, jaki jest, ponieważ inaczej nie byłoby nikogo, kto mógłby zastanawiać się nad tym faktem. Najdziwniejsze, że nie chodzi tu o lokalne okoliczności, nie –

Wszechświat jako całość „dostosowany jest” do naszego istnienia. Jest rzeczą niesłychaną, że regularność, występująca w skali wszystkiego (bo całego Kosmosu) tak silnie dotyczy człowieka!

Tego rodzaju niesłychanych zależności można wymienić więcej. Przychodzi na myśl, że podstawowe stałe fizyczne zostały „dobrane” na korzyść życia. Uczony jednak nie powinien zadowolić się takim myśleniem – musi szukać wspólnej przyczyny, jednolitej teorii, która tłumaczyłaby całe tańcuchy podobnych, właściwie „cudownych” koincydencji. Może istnieje jakieś podstawowe, wciąż ukryte przed nami prawo przyrody, sprawiające, że Wszechświat stanowi nie tylko spójną całość, ale całość, w której wszystkie najważniejsze czynniki zostały tak dobrane, by ich efektem mógł stać się OBSERWATOR?

Trzeba powiedzieć od razu, iż mimo wielu wysiłków, nie znaleziono dotąd fizycznego prawa, zasady, która wyjaśniłaby te nieprzypadkowe, niejako „biologiczne” cechy obserwowanego Wszechświata („biologiczne” dlatego, że nie są one konieczne czysto fizycznemu światu – stają się niezbędne, konieczne dopiero wtedy, kiedy założymy, iż „przeznaczeniem” ich jest wytworzenie tworów biologicznych). Sprawy te wyjaśnia zasada antropiczna, wszakże bytnujemy się, by ją uznać za prawomocną.

Warto sobie uświadomić, iż teoria nie zaprzecza możliwości powstania różnych Wszechświatów (a nawet jednoczesnego ich istnienia). To znaczy w chwili początkowej, chwili osobliwej, mógł wyłonić się inny Wszechświat, niż ten, który oglądamy. Można to ująć tak: możliwe są różne modele kosmologiczne (modele Wszechświata), ale NASZ Wszechświat ma akurat taki model, jaki nieuchronnie prowadzi do pojawienia się NAS. To tak, jakby z wielu dostępnych modeli wybrać jeden, ściśle określony – jedyny, w którym może istnieć życie.

Jeden z wybitnych współczesnych fizyków, Paul Davies, omawiając zasadę antropiczną, pisze tak (tłumaczenie Leszka Sokółowskiego z Obserwatorium Astronomicznego WJ): „...dlaczego z nieskończonego zbioru możliwości, jakie przyroda mogła wybrać dla stałych podstawowych, oraz z nieskończonego zbioru warunków początkowych, które mogły charakteryzować pierwotny Wszechświat, wybrane zostały te wartości i warunki, które składają

się na uformowanie bardzo szczególnych właściwości – tych, które obserwujemy? Jest bowiem jasne, że Wszechświat jest bardzo szczególny: niezwykle jednolity w wielkiej skali, ale nie aż tak bardzo jednolity, by nie mogły powstać galaktyki; (...) dostatecznie chłodny, by mogły zachodzić reakcje chemiczne; niemal bez odpychania kosmicznego, oraz z szybkością rozszerzania dopasowaną z niewiarygodną dokładnością do grawitacyjnych sił hamujących; z siłami oddziaływań tak dobranymi, by mogły istnieć jądra atomowe, a zarazem by kosmiczny wodór nie wypalił się natychmiast, i z wieloma innymi, korzystnymi dla nas, pozornie przypadkowymi właściwościami. (...) Gdyby choć jedno ze ścisłych dopasowań, omawianych wcześniej, nie zachodziło, to wówczas życie – oczywiście takie, jakie znamy – byłoby niemożliwe”.

Jeśli komu nie wystarczy wyjaśnienie, że Wszechświat jest taki, bo taki właśnie jest, może zastanowić się nad dwiema wersjami (tzn. słabą i silną) zasady antropicznej. Wersja słaba: „to, co spodziewamy się zaobserwować w przyrodzie, w Kosmosie, musi spełniać warunki konieczne dla istnienia nas, jako obserwatorów”. Wersja silna zasady antropicznej: „Wszechświat musi być taki, by dopuszczać powstanie w nim obserwatorów...”, czyli Wszechświat jest taki, jaki jest, ponieważ MY w nim istniejemy. Fizyk Barrow powiada, że „liczne obserwacje świata fizycznego, chociaż zdumiewające a priori, jawią się nam jako nieuniknione konsekwencje naszego istnienia”.

Jest prawdą, że gdyby wartości stałych fizycznych i warunki początkowe Wszechświata były inne, nie miałby kto pytać o to, jaki jest Wszechświat. Ale też nie sposób pojąć, że Wszechświat miałby być konsekwencją naszego istnienia, choć trzeba przyjąć do wiadomości, że takie postawienie sprawy nie jest sprzeczne z mechaniką kwantową. Teoria kwantów dodaje tu pewne niezwykle dowody fizyczne... (o tym może innym razem).

Mnie zasada antropiczna fascynuje swą niezwykłością: oto wszystko jest takie dlatego, byśmy mogli to „wszystko” poznać. Jeśli to nieprawda, jeśli niezwykle cechy Wszechświata i przyrody znajdują lepsze wyjaśnienie, i tak nie zniknie powód do zdziwienia: dlaczego najgłębsze, podstawowe prawa fizyki są już „u źródła” przychylne myślącym istotom?



Kocham i nienawidzę!

Zaczęta przez Marka Oramusa dyskusja o grzechach polskiej science fiction nie może się skończyć. Wady fantastyki polskiej niepokoją nas chyba bardziej niż cieszą zalety.

Dziś napadają na polską SF dwaj autorzy i krytycy trzeciej generacji – Zbigniew T. Dworak i Maciej Parowski. Znamienne, że atakują fantastykę młodych, a więc uprawianą nie przez swoje pokolenie. Zbigniew T. Dworak pastwi się nad zmierzającym modelem fantastyki kosmicznej, „okropnościowej”, przygodowej; obok Parowski próbuje zbudować uniwersalny, „komputerowy” schemat opowiadania, realizującego poetykę, która wyklula się w ostatnich latach. Dworak nabija się m.in. z „wlezieńców”, będących jego własną kreacją; Parowski demaskuje schematyzm konwencji, którą lansuje jako redaktor i której basuje jako krytyk... Kocham i nienawidzę!... Takie odkrywanie szablonów, demaskowanie stereotypów i przejawów ułatwionego pseudofantastycznego myślenia na pewno dobrze zrobi nam wszystkim. Ale, przyznajemy, najnowszą fantastyka polska – i w cnotach i w grzechach – bogatsza jest chyba od schematów, w których próbują ją zamknąć dwaj gniewni panowie.

Redakcja

Opowiadanie fantastyczne

Zbigniew Dworak

Opowiadanie fantastyczne? Jakże, je pisać, skoro w tej dziedzinie wszystko zostało już wymyślone, powiedziane i przewidziane. Więc żeby napisać takie opowiadanie, trzeba osiągnąć niespotykaną oryginalność zarówno formy, jak i treści, pilnie zważając jednak, żeby oryginalność nie przekształciła się w bektol!

O treści było już wyżej. Forma? Darujcie, ale i nią nie można już zadziwić czytelników, zaskoczyć krytyków, przerazić purystów. Chyba, żeby zacząć pisać w najbardziej nieprawdopodobny sposób – pisać słowa wstak i „do góry nogami” i nie używać żadnych zdań, ale takich dziwactw żaden wydawca nie zechce przyjąć, nawet jeśli by go autor przekonywał – zaklinając na wszelkie świętości, na entropię, na nieskończoność wyrzowaną graficznie obaloną na wznak ósemką – iż jest to nowy, rewelacyjny, unikatowy wprost sposób przekazywania informacji. Rzeczywiście – unikatowy, tylko co komu z tego przyjdzie?

A i jakąż informację można w ten sposób przekazać? Najpewniej tę tylko, że z samym autorem coś jest nie w porządku – widocznie sam ma przewrócone w głowie... „Alboż to mało teraz wariatów? Co nam z jeszcze jednego?” – powie ten i ów, wzruszając obojętnie ramionami.

Młody autor gorąco pragnie napisać opowiadanie. Pragnie wyłożonymi przez siebie zasadami fantazji wprawić w osłupienie, przestraszyć, ugodzić czytelnika. Niejasno przeczuwa, że wielka to sztuka dopasować do ukończonego już pałacu jakiś szczegół, fragment architektoniczny, który by budowlę uświetnił i nie bardzo wie, jak się do tego zabrać. Wydaje mu się, że najlepszy będzie element grozy – czytelnik lubi i powinien się bać! – oraz nieprawdopodobny zespół zjawisk czasowo-przestrzennych. O podróżach w czasie można przecież pisać wiecznie. Co prawda fizycy i astronomowie mają na ten temat określone zdanie, ale to nie zraża młodego, początkującego opowiadacza.

„Literaturze wszystko wolno, a kto by się tam przejmował nauką!” – pokrzykuje ra-

dośnie autor, stawiając na zasadę licentia poetica. Siada też zaraz do maszyny. Wolałby co prawda dyktafon albo wprost czytelnik myśli, żeby się zbytnio nie trudzić, lecz zdaje sobie sprawę, że w naszych warunkach jest to czczą fantazją. Siada więc do maszyny i... i pisze.

Pisze opowiadanie takiej mniej więcej treści:

Młody, odważny pilot transgalaktycznych linii kurierskich, przeżywający właśnie nieszczęśliwą miłość – wybranka jego serca wzgardziła nim biorąc sobie za męża cyborga, który ma wszystko sztuczne i wiecznotrwałe (z wyjątkiem oczywiście pie-niedzy; te są co prawda nietrwałe, ale za to prawdziwe) – postanawia wybrać się w niezbadane rejony Wszechświata, żeby dokonać wiekopomnego odkrycia. Nie bardzo wiadomo (autor sam nie miał o tym zielonego pojęcia), czym się zajmował przybywszy w okolice galaktyki oznaczonej numerem NGC 13721, dość na tym, że wkrótce wybuchła tam supernowa i to III rodzaju!

W drodze powrotnej nasz bohater usiłuje przelecieć przez sam środek Antaresa, dobrze znanej wszystkim gwiazdy-nadolbrzyma, lecz nie udaje mu się dokonać tego manewru i tylko osmala stery swojej nadszybkowej rakiety. Dalej z bohaterem dzieje się coś dziwnego: z hiperrozpędu mija własną epokę i przybywa na Ziemię na rok przed swoim urodzeniem. Jest tym nieco zaskoczony, nie traci jednak głowy i w błyskotliwy sposób uwodzi własną matkę, zostając sam sobie ojcem.

Modemu opowiadaczowi nieobce są tajniki warsztatu pisarskiego – przynajmniej teoretycznie. Jest on dość dobrym narratorem – umie potęgować nastroj, spiętrać napięcie, zaskakiwać paradoksalnymi wydarzeniami i skojarzeniami, toteż młodociany czytelnik – on jest najczęstszym odbiorcą utworów science fiction – emocjonuje się coraz silniej.

Taki czytelnik dotarł właśnie do momentu, w którym autor posyła swego bohatera na maleńką zapomnianą wysepkę na Pacy-

fiku. Bohater zapuszcza się w gąszcz dziwacznej, ultratropikalnej roślinności i już niebawem stacza walkę za straszliwą mątwornicą – mieszkanką niewielkich, koliste-go kształtu jezior, rozsiansych dość gęsto w tej niezwyklej dżungli. Zaniepokojony spotkaniem z nieznaną mu florą i fauną, jak też przestraszony nieco własną brawurą, bohater opowiadania wraca na wybrzeże. Rozciąga się wygodnie na ciepłym piasku i kontempluje zachód Słońca. W chwili, gdy ostatni promień Słońca znika w oceanie, bohater uprzytomnia sobie, że osobliwość świata roślinnego i zwierzęcego jest wynikiem eksperymentów jądrowych, dokonywanych w zamierzonych epokach na wyspach Pacyfiku. Przeprowadzili je żli ludzie niedobrego XX wieku. Bohater jest oburzony i pragnie dać temu wyraz, kiedy nagle spostrzega z przerażeniem, że w jego kierunku zmierza cichcem ogromna mątwornica. Jest już bardzo blisko.

I nagle... Nagle młodociany czytelnik stwierdza, cały spotniały ze strachu, że to właśnie on jest tym bohaterem i że to w jego stronę pełźnie ohydna, zielonkawo-fioletowa mątwornica, potyskująca w upiornym i bez tego świetle księżycu. Wyciąga swoje odrażające macki, mrugając przy tym złośliwie malutkimi oczkami i... aaa!!!

Przybiegają zaalarmowani krzykiem rodzice i nie mogąc w żaden sposób uspokoić chłopca, wzywają lekarza.

Nie należy się dziwić, że po zbadaniu pacjenta lekarz smutnie kiwa głową, zaleca w domu absolutny spokój oraz wyrzucenie książek SF z biblioteczki i wypisuje skierowanie na miesięczny pobyt w sanatorium dla nerwowo chorych.

Kiedy młody opowiadacz dowiaduje się o tym wydarzeniu, jego radość nie zna granic. Chodzi „przenajogromniej” dumny i błądy i odnosi się wrażenie, że cały jaśnieje, promieniuje fantazją. On już wie, że pamiętać o nim nie zaginie, że imię jego wspomniane będzie przez następne pokolenia z nabożnym lękiem.

Pisze też natychmiast następne opowiadanie, a takie „przepastne”, a takie „zawrotne”, iż jest absolutnie przekonany, że sam Stanisław Lem „zzielienieje z zazdrości”, kiedy przeczyta jego „arcydzieło”. Nie zraża się nawet tym, że Stanisław Lem pisze mało pochlebna recenzję o jego utworu-potworku. Sądzi zadufany, że jest to właśnie pełny i zamknięty dowód... zazdrości. I co tchu płodzi nowe opowiadanie, po którego przeczytaniu połowa ludności kraju zbiega w ostępy leśne, a druga połowa barykaduje się szczerlinie i na głucho w swoich mieszkaniach. Zaś sam Stanisław Lem, zrozpaczony, rzuca się z okna...

Tu drobna uwaga dla tych, którzy prze-trwali opowiadania nowo kreowanego autora: nie należy iść i tłumaczyć młodemu fantascie, że czcigodny Stanisław Lem nie dlatego rzucił się z okna, iż zwątpił w siebie. Nie zaleca się wyjaśniać dalej, iż Lem zdecydował się na ten desperacki odruch powodowany rozpaczą i gniewem, iż tak się wynaturza literaturę – młody twórca uraczy nas bowiem w odwecie jeszcze jednym opowiadaniem.

Przeczytawszy które, zmuszeni będziemy, nie wdając się nawet w dyskusję, wyrzucić opowiadacza przez okno, a następnie gnać go – szczując oczywiście mątwornicami, wiezieńcami i innymi potworami! – póki najuroczyściej nie przysięgnie, że więcej fantastyką zajmował się nie będzie.

* których, jak wiadomo, nie ma.



PODRECZNY KALKULATOR WATKÓW MŁODEJ FANTASTYKI

BOHATER

ZNAJDUJE
TAJEMNICZĄ
RZĄDOWĄ KASETĘ

BIERZE UDZIAŁ
W MĘSKIEJ WALCE

PODGLĄDA CZŁOWIEKA
Z JEDNYM MARSJANINEM

WDEPTUJE W ZANIECZYSZ-
CZONE ŚRODOWISKO

ODKRYWA
SEKS

Z CZEGO MU JEDNOZNACZNIE WYNIKA, ŻE...

Politycy
są OK

Walka jest OK

Marsjanie
są OK

Środowisko
w sumie jest OK

Seks jest OK

Politycy
go kiwają

Walka jest
wstrefna

Marsjanie
nas kiwają

Środowisko
jest wstrefne

Kobiety
go kiwają

WIEC UDAJE SIĘ NA POSZUKIWANIE ŚWIATA, W KTÓRYM...

Politycy
są OK

Nie ma walki

Nie ma Marsjan

Środowisko
w sumie jest OK

Nie ma seksu

WSZYSTKO
WYGLĄDA INACZĘJ

I PRZEŻYWA DUŻO RÓŻNYCH PRZYGÓD

TO ZNACZY

W dodatku znajduje
to czego szuka!

Lewa nie znajduje
tego czego szuka!

WIEC GINIE

WIEC WARIUJE

WIEC ŻYCIE
TRACI DLA SENS

I SIĘ BUDZI

i...

I STWIERDZA, ŻE SAM
JEST MARSJANINEM